

Umberto Pesco

(Ireneusz Iredyński)



**Ryba
płynie za
mordercą**

Świat Książki

Utrzymany w lekkim tonie czarny kryminał. Włochy, lata pięćdziesiąte, zblazowany detektyw Umberto Pesco, tajemnicze morderstwo producenta filmowego i piękna Maria... Dowcipne dialogi, ironiczny humor, zaskakujące zwroty akcji.

„Był pisarzem wielkiego talentu, kuglarskiej łatwości pisania i oryginalnej wyobraźni. Migawkami widzę go znów w rozmaitych sytuacjach na przestrzeni wielu lat. Jakaś prywatka. Dziewczyny. Irek okrutnie żongluje uczuciami jednej z nich. Zafascynowana nim. On bawi się jej kosztem. Bawi także nas. W międzyczasie wystukuje na maszynie końcowy akt swojej pierwszej sztuki *Męczeństwo z przymiarką*. To znów między wyprawami do Bristolu, pokerem i awanturami pisze powieść kryminalną *Ryba płynie za mordercą*. Mieszkał wtedy przy Alei Szucha u Witka Migonia pod nieobecność jego rodziców. I, jak mówi Witek, inspiracją powieści stała się młoda urodziwa Włoszka, którą wtedy poznał”.

Marek Nowakowski

IRENEUSZ IREDYŃSKI (pseud. Paulo Corsini, Umberto Pesco; 1939–1985) – prozaik, dramatopisarz, scenarzysta, autor tekstów piosenek. Debiutował w 1955 wierszem *Podhale zimą*. Autor tomów poezji *Wszystko jest obok* (1959), *Muzyka konkretna* (1971); groteskowych powieści: *Dzień oszusty* (1962), *Ukryty w słońcu* (1973), *Manipulacja* (1975); dramatów: *Jaselka-moderne* (1965), *Zegnaj Judaszu* (1965), *Dacza* (1979) oraz słuchowisk radiowych *Głosy* (1974) i *Skąd ta wrażliwość* (1979).

www.zwiazkosiazki.pl



Cena 24,90 zł

Nr 6122

Umberto Pesco

(Ireneusz Iredyński)

Ryba płynie za mordercą

Świat Książki

Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Korekta
Anna Sidorek Grażyna Henel

Copyright © Dorota Anna Marczevska, 2008
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2008

Świat Książki
Warszawa 2008
Bertelsmann Media, sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Druk i oprawa Finidr, Czechy

ISBN 978-83-247-0830-7 Nr 6122

I

Dnia czwartego czerwca 195... roku siedziałem w moim biurze przy placu Garibaldiego. Przez okno wpadały promienie słoneczne, nadając intensywność pomarańczowemu obrazowi, który zdawał się płomieniem na tle białej ściany. Łokcie oparte miałem o blat biurka, głowę trzymałem w dłoniach; patrzyłem na leżący przede mną kartonik pokryty dużym, kanciastym pismem.

Pan Umberto Pesco - detektyw prywatny.

Będę w pańskim biurze w poniedziałek czwartego czerwca 195... r., o godzinie dziesiątej rano. Sprawa bardzo ważna.

Carlo Barenzo

Słowa: sprawa bardzo ważna były podkreślone. Bilecik otrzymałem w sobotę. Od czasu gdy go znalazłem na biurku wśród innej korespondencji, zastanawiałem się kilka

razy, co sprowadza do mojego biura Carla Barenzo, znanego potentata filmowego. Wiedziałem, że do mego przyszłego klienta należy kilka wytwórni filmowych oraz że jest on akcjonariuszem wielkiego amerykańskiego towarzystwa filmowego. Wiadomości moje pochodziły z tygodników filmowych i dzienników popołudniowych. Większość filmów włoskich zrobiona została dzięki pieniądzom człowieka, który wysłał do mnie tajemniczy bilecik.

Tyle wiedziałem do soboty. Przez niedzielę zebrałem o wiele więcej informacji. Jak się dowiedziałem, Carlo Barenzo wyemigrował w młodości do USA; wrócił z Ameryki jako bogacz w roku 1945. Obecnie miał lat czterdzieści sześć. Ożenił się przed trzema laty z aktorką filmową, która stała się sławną przez uczucie, jakie do niej żywił „król filmu”.

Carlo Barenzo najchętniej przebywał w swojej willi wybudowanej na krańcach miasteczka Lugaro. Majątek jego szacowano na około 80 milionów dolarów. W lirach wyniosło to setki, a właściwie tysiące milionów. Jedynym „hobby” milionera było dobre jedzenie. Z relacji moich informatorów wynikało, że trzymał on kilku kucharzy, specjalistów od narodowych kuchni. Słyszałem o kucharzu francuskim, perskim, hiszpańskim i angielskim. Co do umiejętności tego

ostatniego nie miałem większego przekonania. Ostatecznie jednak utrzymywał go Carlo Barenzo, więc moje zdanie nie było tu najważniejsze.

Wskazówki kwadratowego zegara stojącego na biurku wskazywały godzinę dziesiątą. Wtedy usłyszałem pukanie. Powiedziałem: „proszę”, otworzyły się drzwi i zobaczyłem niskiego grubasa. Lekkim, jak na jego wagę, krokiem podszedł do biurka, przy którym siedziałem. Przywitaliśmy się krótkim, silnym uściskiem dłoni. Wskazałem gościowi krzesło. W milczeniu podsunąłem mu pudełko papierosów. Wziął papierosa krótkimi, tłustymi palcami. Skóra jego dłoni była biała i delikatna. Zapaliliśmy.

- Dostał pan list? - spytał potentat filmowy.

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

Siedzący naprzeciw mnie mężczyzna uśmiechnął się zadowolony. Uśmiech trwał jednak bardzo krótko. Wargi skurczyły się i w chwilę potem zacisnęły na papierosie. Mogło się здаwać, iż facet zrzuca ze swojej twarzy maskę.

- To cholernie nieprzyjemna sprawa - odezwał się zza obłoczku dymu.

Uważałem za stosowne nie odzywać się.

- Tak - powtórzył - to cholernie nieprzyjemna sprawa.

Popatrzyłem nad jego głową na płonący gorącymi kolorami obraz.

- Dlatego tu właśnie przyjechałem – dorzucił tonem wyjaśnienia.

Strzepnąłem popiół z końca papierosa i zacząłem wpatrywać się w zegar.

- Ma tu pan coś do picia?

Skinałem głową i podniosłem się z krzesła. Z lodówki wyjąłem wermut i wodę sodową. Postawiłem płyny i szklaneczkę przed grubasem i zająłem poprzednią pozycję za biurkiem.

- Dużo o panu słyszałem - wysapał między jednym łykiem a drugim. Zacząłem oglądać paznokcie mojej prawej ręki.

- Dlaczego pan nic nie mówi? - spytał bogacz, odstawiając szklaneczkę.

- Nie mam na razie o czym - odpowiedziałem.

- Słusznie, słusznie - wyjął z kieszeni chusteczkę; otarł nią wargi i czoło. - Wie pan - przy tych słowach twarz jego wykrzywiła się w uśmiechu, który zaraz zniknął - wie pan, ostatnio boję się. - Zgasił papierosa, silnie naciskając niedopałkiem na popielniczkę.

Podsunałem mu paczkę, wziął świeżego papierosa, zapalił i zaczął wpatrywać się w okno.

- Nie jest to wymysł bogatego, nudzącego się człowieka - ciągnął, wpatrzony nadal w okno. - Po prostu dostaję ostrzeżenia telefoniczne. „Nie długo zginiesz” albo coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że telefonują ludzie, którzy

przyjechali z Ameryki. Miałem tam kilka nieprzyjemnych spraw, wprawdzie było to dość dawno, ale nikt inny nie mógłby grozić mi śmiercią. Dlatego mam dla pana pewną propozycję. Od jutra będzie pan przy mnie, nie będzie to długo trwało, najwyżej miesiąc. Sądzę, że sprawa po miesiącu powinna się wyklarować. Zgadza się pan?

Patrzył na mnie, poruszając przy oddychaniu swymi grubymi wargami; ruch jego warg skojarzył mi się ze skurczami pyszczki ryby wyjętej z wody.

- Mam przez miesiąc być przy panu, podczas jedzenia, przejażdżki, konferencji i innych rzeczy. Czy tak?

- Niezupełnie - odparł. - Nie będzie żadnych konferencji. Zamieszkamy w mojej willi położonej tuż za miasteczkiem Lugaro. Wie pan, gdzie to jest?

Skinąłem głową. Przez chwilę patrzyłem na obraz.

- Zgadzam się - powiedziałem.

- Pańskie wynagrodzenie jest płatne z góry - rzekł tonem wyjaśnienia.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął książeczkę czekową, wydarł z niej wypełniony już blankiet i położył go na biurku. Zauważyłem liczbę i napis: dwa miliony lirów. Kiedy

książeczka znikła na powrót w jego kieszeni, chwycił szklaneczkę, nalał do niej wermutu i wody i łąpczywie wypił.

- Przyjadę jutro po pana o godzinie jedenastej przed południem.

- Dobrze, będę czekał.

Carlo Barenzo wstał, podał mi mięką, białą dłoń, odwrócił się i odszedł lekkim, kołyszącym się krokiem. Cicho trzasnęły drzwi.

Popatrzyłem na zegar. Wizyta trwała zaledwie dziesięć minut. Wyciągnąłem z biurka roczniki pism kryminalistycznych z lat 1948-1949 i zagłębiłem się w lekturze. Od czasu do czasu notowałem ciekawsze wypadki. Zaciekawili mnie opis morderstwa popełnionego w Marsylii w roku 1948. Pewnego dnia znaleziono leżącego na ulicy mężczyznę. Sekcja zwłok wykazała, że mężczyzna został zamordowany cienkim, ostrym narzędziem wprowadzonym przez kark do czwartej komory. Tak zamordować potrafi jedynie człowiek doświadczony, tj. lekarz. Policja zaczęła szukać wśród przyjaciół i znajomych zamordowanego. Zidentyfikowano, iż zamordowany był adwokatem zajmującym się nie bardzo czystymi interesami. Mordercą okazał się lekarz, przyjaciel adwokata. Nie zdołano ustalić przyczyn morderstwa. Lekarz - zabójca został skazany.

Kiedy skończyłem czytać tę historię opisaną pompatycznym stylem przez francuskiego kryminologa, zadzwonił

telefon. Odsunąłem od siebie roczniki, przypadkowo spojrzełem na zegarek, była godzina jedenasta. Podniosłem słuchawkę. Do ucha wlatywały mi słowa wypowiedane przez jakiegoś mężczyznę.

- Pan Umberto Pesco? Tak?! - Niech się pan wycofa z tej imprezy, można oberwać razem z klientem, więc się lepiej wycofać. Czy to takie przyjemne nosić w brzuchu nóż albo kulkę? Co? Żądam w tej chwili odpowiedzi!

- Jeżeli żądasz odpowiedzi - odparłem, nie podnosząc głosu - to przyjdź, chłopczyku, do mego biura. Skuję ci pięknie buzię, tak że odzwyczaisz się przeszkadzać ludziom w pracy.

Z drugiej strony przewodu słuchawka opadła na widełki. Uśmiechnąłem się. Roczniki zajęły na powrót honorowe miejsce na biurku.

O godzinie dwunastej wszedł do mego biura Franco Garden, pracownik oddziału zabójstw przy Głównej Komendzie Policji w Rzymie, malarz amator, którego obraz wisiał w mym biurze.

- Warto by coś zjeść - powiedział na powitanie.
- Masz jeszcze godzinę - uspokoiłem go.
- Co nowego?

Opowiedziałem mu o wizycie Carla Barenzo i telefonie.

- Przyniosę ci piękny bukiet kwiatów na trumnę - pocieszył mnie Franco.

- Wieniec jest bardziej estetyczny od bukietu.
- Dobrze, będzie wieniec - zgodził się postrach morderców.

Rozmawialiśmy w ten sposób do godziny pierwszej. Potem wstaliśmy jak na komendę, spojrzeliśmy na płonący kolorami obraz i, uśmiechnięci, zgodnie podążyliśmy ku wyjściu.

Na ulicy czekała moja nowa lancia, którą kupiłem dzięki rozszyfrowaniu sprawy nazwanej przez dziennikarzy „Niebieską kartą”. Kilkanaście minut potem siedzieliśmy w dobrej restauracji. Wśród szumu rozmów wybijał się głos Franca, który głośno namyślał się, jakie wybrać przekąski.

II

Przy kawie dosiadła się do nas grupa przyjaciół Franca. Dziennikarze i karykaturzyści. Byłem trochę senny po obfitym obiedzie, dlatego chętnie wypilem dwa koniaki.

Jeden z dziennikarzy, chudzielec o latającej dużej grdyce wspominał jakąś angielską turystkę; jego kolega przerywał mu co chwilę, przypominając niektóre szczegóły. Zniecierpliwiony chudzielec machał rozpaczliwie ramionami, przeginał się do tyłu, wybałuszał oczy. Nic to jednak nie pomagało, kolega był bezlitosny, wtrącał w dalszym ciągu swoje uwagi.

- Prawda jest najważniejsza - skrzeczał.

Zniecierpliwiony chudzielec przestał snuć wspomnienia o Angielce, z czego skorzystał puciołowaty karykaturzysta, prosząc Franca, by opowiedział o ciekawym przypadku ze swej praktyki. Franco zaczął pleść bujdy. Były tam jakieś pogonie za tajemniczym wynalazcą, przewijały się piękne

kobiety trucicielki, szczękały maszyny do wyjaśniania myśli. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem, chudzielcowi miarowo poruszała się grdyka, puciołowaty karykaturzysta tarł kciukiem podbródek; było to bardzo wesołe. Patrzyłem na mojego przyjaciela, jak łąał z wesołym grymasem twarzy; był teraz bardzo podobny do swego dziadka Anglika, który przyjechał do Włoch na miesięczny pobyt, a pozostał na stałe. Portret dziadka wisiał w pracowni Franca na najlepiej oświetlonej ścianie.

Z ust Franca wyskakiwały właśnie nagie trucicielki, gdy stanął przed nim restaurator i z przeprasającym uśmiechem wskazał na telefon.

- Chodź, musimy się spieszyć - powiedział Franco po wyjściu z kabiny telefonicznej - zamordowano twojego klienta.

- Kogo zamordowano? - wykrzyknął chudy dziennikarz - niech nam pan powie!

- Zamordowano Carla Barenzo.

- Boże, wszyscy święci, cóż za sensacja, jak go zamordowano?!

- Nic jeszcze nie wiadomo.

- Słuchaj, jak się czegoś dowiesz, zatelefonuj - zwrócił się do Gardena.

- Dobrze, jak się tylko czegoś dowiem, zatelefonuję.

Poszliśmy ku drzwiom. Wychodząc, słyszeliśmy historyczne zawodzenie dziennikarza: „Święta Panienko, zamordowali go!”

Wsiedliśmy do lancii. Ja prowadziłem, a Franco opowiadał o telefonie z wydziału zabójstw.

- Wiedzą, gdzie zawsze jadam obiady. Zatelefonował sierżant Matara. Oni dostali meldunek z hotelu Santa Caterina. Drugorzędny hotelik. Dziś rano Carlo Barenzo wynajął tam pokój.

- To dziwne - rzekłem - miał przecież wspaniały apartament przy via Repubblica.

- Chciał coś załatwić tak, żeby nikt o tym nie wiedział - odparł Garden, nie odwracając głowy. - Swoją drogą to nie musiały być kryształiczne sprawy. Magnaci filmowi niezbyt często korzystają z brudnych hotelików.

- Spostrzegawczość godna porucznika policji - powiedziałem z uśmiechem.

- Będziesz się zajmował tą sprawą? - spytał.

- Wystawił mi czek na dwa miliony lirów. Miałem go bronić. Nic z tego nie wyszło. Będę szukał mordercy. Sprawa chyba jest jasna.

- Ostatecznie masz czek w kieszeni, nie musisz się do tego mieszać.

- Nie bądź durniem, coś mi się zdaje, że wyszedłeś na świat za pomocą kleszczy. A ten przyrząd zmienia kształt czaszki.

- Jak chcesz - mruknął, zapalając dwa papierosy. Jednego wsadził mi do ust. Podziękowałem skinieniem głowy.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Garden patrzył przed siebie; kątem oka dostrzegłem jego piękny profil. Usta miał zaciśnięte.

- Jak go zamordowano?

- Nożem.

Lancia wymijała na dużej szybkości auta i skutery. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w hoteliku. Nie odzywaliśmy się już do końca drogi.

Hotel Santa Caterina był dwupiętrową kamienicą zbudowaną w początkach stulecia. Z zewnątrz prezentował się okropnie. Odłupane ozdoby, jakich pełno jest na budowlach sprzed pięćdziesięciu lat, wytworzyły dziury; tynk był nieokreślonej barwy. Na wysokości pierwszego piętra nie było go wcale, ciemna cegła sprawiała przygnębiające wrażenie. Tablica z napisem „Albergo Santa Caterina” namalowana została przez nie najlepszego lakiernika. Przed bramą stał tłum gapiów. Przepuścił nas wysoki, przystojny policjant.

- Czy przyjechali wszyscy? - spytał Garden.

- Tak, panie poruczniku - odpowiedział policjant. Akcent miał sycylijski.

Weszliśmy do sieni. Po prawej stronie znajdowała się portiernia, oszklona od strony korytarza. Wewnątrz, obok tablicy z kluczami, siedział pomarszczony staruszek z fajką w zębach. Skóra na jego twarzy miała ciemnobrązową barwę, małe czarne oczka wbite były w jeden punkt. Przy

schodach stał policjant.

- Pierwsze piętro, panie poruczniku - odezwał się patrząc Gardenowi w oczy.

Na schodach leżał przetarty czerwony chodnik. Mosiężne pręty, przytrzymujące go na każdym stopniu, od dawna nie były czyszczone. Na korytarzu pierwszego piętra stała gruba kobieta. Miała na pewno czterdzieści pięć lat.

- Jaki wstyd dla mojego hotelu - lamentowała - taki porządny hotel i nagle taki wstyd. Każdy policjant w naszej dzielnicy może zaświadczyć, jaki to porządny hotel! Każdy policjant, o Święta Panno.

Minęliśmy ją, obejrzała się za nami i znowu zaczęła kontynuować swe okrzyki. Przy drzwiach pokoju nr 17 stał tajniak. Przyłożył palec do skroni na znak powitania. Garden kiwnął mu głową.

Pokój, w którym zamordowano Carla Barenzo, miał ściany obite zielonkawą tapetą. Sprzętów było mało. Mosiężne łóżko, dwa krzesła, pod stołem leżał nieduży, wytarty dywan. Okno wychodziło na ślepą uliczkę zabudowaną małymi, koślawymi kamieniczkami.

Po pokoju kręcił się fotograf; lekarz stał oparty o ścianę, a sierżant Matara siedział na krześle, trzymając ręce w kieszeniach.

- Czołem, szefie - powiedział, wstając.

- Wszystko zrobione? - spytał Garden.
- Ma się rozumieć, że wszystko - zatrajkotał fotograf.
- Nie żyje od godziny - stwierdził lekarz.

Odkryłem prześcieradło, którym był przykryty denat. Carlo Barenzo leżał na łóżku z wykrzywionymi ramionami. Brzuch sterczał mu jak miniaturowa góra. Na twarzy miał brzydki grymas. Łóżko było zalane krwią. Z lewej strony, przez odpiętą koszulę, widać było ranę. Pochyliliśmy się nad ciałem.

- W samo serce - dorzucił lekarz.
- Musiał się bać - powiedziałem cicho, przykrywając znowu mojego klienta.

- Tak, musiał się bać - powtórzył Garden, patrząc na bryłę przykrytą prześcieradłem.

- Idziemy - powiedzieli równocześnie fotograf i lekarz.

Garden skinął głową.

Lekarz wyszedł. Po chwili wrócił z dwoma mężczyznami. Zabrali ciało. Za nimi wyszedł fotograf.

- Paskudna robota, szefie - odezwał się Matara - zrobi się koło tego huk, to był sławny facet, a pan - zwrócił się do mnie - chce na pewno szybciej od nas załatwić tę sprawę, co?

- Bardzo możliwe - odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Zmieszał się i zaczął wpatrywać się w czubki swych butów.

- Rozmawiałaś już z tą grubą? - spytał go Garden.

- Trochę rozmawiałem, ale nic z tego nie wyszło. Lamentowała cały czas, że to dla niej wielki wstyd. A jeżeli nie jestem głupcem, to coś mi się zdaje, że ten hotel ma wiele wspólnego z burdelem.

- Wcale bym się nie zdziwił - zachichotał mój przyjaciel. - Zawołaj ją tutaj - powiedział do Matary.

Matara wybiegł i po chwili wrócił z grubą kobietą.

- Proszę usiąść - odezwał się Garden.

Kobieta miała tłuste policzki i ciemny zarost na górnej wardze.

- Wie pani, jak się nazywa zamordowany?

- Nie wiem, nie zdążył się wpisać. Taki wstyd, o Panno Najświętsza.

- O której godzinie przybył tutaj? - spytałem.

- Punkt dziesiąta, akurat myślałam, co kupić na obiad.

- Niech pani nie kłamie. O dziesiątej on był u mnie.

Spojrzała na mnie, a potem jej spojrzenie uciekło w bok.

- To może był trochę później.

- Chcę wiedzieć dokładnie!

- Nie wiem, on przyszedł około dziesiątej.
- Męża pani nie ma? - wtrącił się Franco.
- Zginął na wojnie.
- Gdzie?
- W Mediolanie, był policjantem i zabili go partyzanci.
- Kto to jest ten staruszek w portierni? - pytał dalej Garden.

- Mój ojciec.
- Czy ten, którego zamordowano, wychodził z hotelu.
- Tak.
- Ile razy?
- Raz wyszedł około jedenastej i wrócił po dziesięciu minutach.

- Co pani robiła od godziny dwunastej do pierwszej?
- Byłam na policji. Wszyscy mogą poświadczyć.
- Po co tam pani była?

Kobieta spojrzała na Gardena. Przez jej twarz przebiegł skurcz. Trwało to ułamek sekundy. Po tym spojrzeniu i błyskawicznym opanowaniu grymasu poznałem, że kobieta nie jest taka głupia, za jaką chce uchodzić.

- Zawsze chodzę na policję, kiedy mi jakiś policjant powie, że coś nie jest w porządku z moim hotelem.
- Czego chcieli policjanci?

- Widzieli koło hotelu jakieś kobiety zaczepiające mężczyzn, myśleli, że ja mam coś z tym wspólnego.

- Nie miała pani? - spytał Garden, wymieniając z Matarą porozumiewawcze spojrzenie.

- Co też pan mówi! To jest porządny hotel.

- Zawołaj Alberta - zwrócił się porucznik do sierżanta.

Ten wyszedł na korytarz i wrócił z tajniakiem.

- Przyrowadź ojca tej pani, siedzi w portierni - polecił Garden tajniakowi.

Po chwili do pokoju wszedł staruszek.

- Może pani już iść - powiedział Franco do hotelarki.

Popatrzyła na ojca i wyszła, kołysząc przesadnie szerokimi biodrami.

- Czy widział pan kogoś wchodzącego lub wychodzącego z hotelu między dwunastą a pierwszą?

- Nie słyszę! - wykrzyknął staruszek.

Franco powtórzył pytanie.

- Nie widziałem, nikt nie wychodził.

- Jest pan pewny?

- Proszę mówić głośniej, nic nie słyszę!

- Jest pan pewny?

- Hi, hi, nikt nigdy nie jest pewny. Mogłem się zdrzemnąć, ale chyba się nie zdrzemnąłem... chociaż, kto wie? Może się zdrzemnąłem. Macie panowie papierosa?

Podałem mu pudełko. Wziął dwa papierosy, jednego wsadził do kieszeni, a drugiego zapalił.

- Dziękuję panu - powiedział głośno.
 - Widział pan kogoś czy nie? - ponowił pytanie Franco.
 - Niech pan powtórzy, nic nie usłyszałem.
 - Widział pan kogoś czy nie?
 - Nikogo. Ale nie wiem, czy się nie zdrzemnąłem. On się musiał sam zabić.
 - A nóż gdzie?
 - Nic nie słyszę.
 - Nie znaleziono noża.
 - Święta Panno... - zdziwił się staruszek.
 - Może pan iść - powiedział Garden.
 - Co?
 - Może pan iść! - krzyknął staruszkowi do ucha Matara.
 - Pan porucznik mówi, że może pan odejść.
 - Dobrze, dobrze - zgodził się stary mężczyzna i podreptał ku drzwiom.
 - Tu nic nie zrobimy - powiedział zmęczonym głosem Franco. - Przypuszczam, że mnie dadzą tę sprawę. Idziemy.
- Wyszliśmy z hotelu, zostawiając za sobą lamentującą kobietę i wpatrzonego w przestrzeń staruszka.

III

Franco wraz z Matarą wsiedli do policyjnego wozu.

- Jeżeli mnie dadzą tę sprawę, to zatelefonuję - powiedział, żegnając się.

- Życzę szczęścia - odezwał się z samochodu Matara.

Ton jego głosu nie był zbyt pieszczotliwy.

Wsiadłem do lancii, włączyłem pierwszy bieg i pojechałem w kierunku ulicy Św. Antoniego. Zatrzymałem się przy automacie telefonicznym. Wyjąłem z kieszeni notes i ołówek. Nakręciłem numer.

- Halo, kto mówi? - spytał męski głos.

- Tu Pesco, dziękuję ci za informacje w sprawie „króla filmu”. Mam do ciebie jedną sprawę. Podaj mi nazwiska jego najbliższych przyjaciół, ewentualnie przyjaciółek. No i oczywiście adresy.

Zapisałem w notesie kilka nazwisk. Przy końcu rozmowy powiedziałem:

- Twój ostatni film bardzo mi się podobał. Stajesz się dobrym reżyserem.

- Och, ty stary kłamco - odpowiedział mi głos.

Wsiadłem do lancii i po piętnastu minutach jazdy stanąłem przed piętrowym domem. Ulica było cicha, wysadzana drzewami. Zadzwoiłem. Bramę otworzył mi młody mężczyzna.

- Słucham pana?

- Pan Satellini?

- Tak.

- Zamordowano Carla Barenzo.

- O! Proszę wejść. Jestem dzisiaj sam w domu. Dlatego będzie pan musiał poczekać, aż doprowadzę się do porządku.

Zauważyłem, że mężczyzna jest w kąpielowym płaszczu. Czekałem w pokoju wyłożonym purpurowymi kafelkami. Sprawiało to dość dziwne wrażenie.

- Czym mogę panu służyć? - powiedział mężczyzna, siadając przede mną. - Pan jest z policji?

- Nie.

Wyjąłem wizytówkę i położyłem ją na stole.

- Chciałbym się dowiedzieć, kiedy był pan ostatni raz w Lugaro.

- Dwa tygodnie temu.

- Przecież Ines Lona wyjechała miesiąc temu do USA kręcić film.

- Co to ma znaczyć?! - wykrzyknął.

- To, co pan ma na myśli.
- Proszę w tej chwili wyjść!
- Ani mi się śni. Carlo Barenzo był moim klientem.

Przed śmiercią oskarżał pana o wrogie zamiary.

Młody człowiek opadł na krzesło.

- To on wiedział o wszystkim, o Boże... - wyszeptał.
- Wiedział, ale za bardzo kochał żonę. Bał się skandalu i kochał żonę. To są powody, dla których nie zrzucił pana ze schodów. Jest pan podejrzany o morderstwo - dodałem.

- Ja... ależ to nieporozumienie.

- O czym pan rozmawiał w Lugaro z Carlem podczas ostatniego tam pobytu?

- O niczym. To znaczy o wszystkim. Wie pan, jak się rozmawia o pogodzie, polityce, znajomych.

- Wiem, ale to kłamstwo, co mi pan opowiada. Pan rozmawiał o czymś innym.

- Dość tego - poderwał się z krzesła. - Proszę w tej chwili wyjść albo panu pomogę... Ty obrzydliwy szpiclu!

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Wyjdź! W tej chwili!

Siedziałem, nie ruszając się. Facet przyskoczył i chwycił mnie za gors koszuli. Wstałem. Prawa ręka faceta poleciała do tyłu. Chciał uderzyć.

Uprzedziłem go. Lewy sierpowy w podbródek. Satellini opadł na szeroki fotel. Wziąłem wizytówkę ze stołu i schowałem do kieszeni. Facet leżał na fotelu, ciężko dysząc. Bał się podnieść.

- Spotkamy się jeszcze - powiedziałem, idąc ku wyjściu.

- Spotkamy się - zawtórował mi Satellini.

- Nie wiem, czy to będzie dla ciebie miłe, aktorze.

Nic nie odpowiedział. Po tym milczeniu poznałem, że odezwane było celne. Ta scena była za bardzo teatralna.

Pojechałem pod następny adres. Przez całą drogę gwizdałem „Marsza Żółtodziobów”. A gwizdząc wówczas, gdy jestem zadowolony.

- Chciałem się widzieć z panią Marią - powiedziałem pokojówce, która mi otworzyła drzwi.

Podąłem jej bilet wizytowy. Po chwili czekania pokojówka zaprowadziła mnie do środka. Przyjęła mnie kobieta piękna. Tyle tylko mogę o niej powiedzieć.

- Carlo Barenzo nie żyje - odezwałem się.

- O Boże - półgłosem rzekła kobieta.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kobieta nie płakała.

- Zamordowano go.

- Więc to była prawda - powiedziała wolno kobieta - więc to była prawda. Tak się bał. A ja mówiłam mu, że to

głupstwa, że nie ma czym się przejmować. Och! Jak się musiał bać, gdy zobaczył mordercę.

- Na twarzy został mu grymas strachu. Większość ludzi też by się bała. Znajdziemy mordercę.

- Dlaczego pan mówi „znajdziemy”?

- Bo pani mi pomoże.

- Bo pani mi pomoże... łatwo to panu mówić. Ale jak?

- Zadam pani kilka pytań.

- Dobrze. Tylko za chwilę. Muszę się przyzwyczaić do śmierci Carla.

Znowu siedzieliśmy w milczeniu. Po kilku minutach kobieta powiedziała:

- Proszę pytać.

- Kiedy widziała się pani po raz ostatni z panem Barenzo?

Kobieta popatrzyła na mnie i uśmiech rozjaśnił jej twarz. Prawą ręką wygładziła fałdę sukni.

- Jeżeli pan do mnie przyszedł, oznacza to, że jest pan poinformowany o moim stosunku z Carlem. Dlatego muszę panu powiedzieć, kiedy widziałam po raz ostatni Carla. Widziałam go dzisiaj rano. Spędził u mnie noc. Wstał wczesnie, oświadczając, że idzie do pana. Bał się. Nie chciał mi powiedzieć, mimo moich nalegań, kogo się boi. Wolał tę sprawę załatwić z panem. Przy mnie wypełniał czek dla pana.

- Przepraszam za pytanie, które teraz pani zadam. Co było powodem ostygnięcia stosunków między panem Barenzo a jego żoną? Gazety ciągle informowały, że małżeństwo jego jest nadzwyczaj szczęśliwe.

- To się skończyło zupełnie normalnie. Przez rok było im zupełnie dobrze... Przepraszam, źle się wyraziłam. Przez rok było im wyłącznie ze sobą dobrze. Potem się znudzili. Nie rozwiedli się, stali się przyjaciółmi. Zresztą Ines Lona, to jest jej pseudonim, zawdzięczała całą karierę względom Carla. Była... była mu bardzo wdzięczna. Ta wiadomość na pewno ją zmartwi, ale miejmy nadzieję, że pieniądze, jakie zostawił Carlo, otrą jej łzy.

- Czy pan Barenzo nigdy konkretnie nie wspominał o swych prześladowcach?

- Nie wiem, czy to można nazwać konkretem. Mówił, że są to na pewno jacyś ludzie przybyli z Ameryki.

- A dlaczego się bał?

- Podobno dostawał telefony z pogróżkami.

- Czy Carlo Barenzo był smakoszem?

- O tak! Trzymał kilku kucharzy, którzy teraz będą musieli wyjechać.

- Gdzie są ci kucharze?

- W Lugaro. Carlo ma... to znaczy miał tam willę. Właściwie jest to pałac. Piękny gmach zbudowany przez najlepszych architektów. Na pierwszy rzut oka jest trochę

dziwaczny ale wszystko ma tam swoje uzasadnienie. Carlo nazwał go skromnie willą i tak już zostało. Jednak to straszne... dziś rano rozmawiałam z Carlem. Bał się, ale miał nadzieję, że pan go obroni... to straszne, dopiero dziś rano z nim rozmawiałam.

Podałem jej papierosy. Wzięła jednego pomiędzy palec wskazujący a kciuk. Podałem jej ogień. Patrzyła gdzieś ponad moją głowę. Zauważyłem, że wzdrygnęła się.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś o życiu pana Barenzo w Ameryce?

- Nic prawie o tym nie wiem. Carlo niechętnie opowiadał o Stanach. Jedyne co wiem, to że zrobił tam majątek. Z Włoch wyjechał jako biedny chłopak.

- W jaki sposób zdobył pieniądze?

- Tego nie wiem. Nigdy o tym nie mówił.

- A czy przypuszcza pani, że były to legalne metody?

- Nie wiem, co o tym sądzić. Carlo pojechał do Stanów, gdy kwitła tam prohibicja.

- Czy nie wydawało się pani dziwne, że pan Barenzo nie lubił wspominać Stanów, mimo że tam zrobił majątek?

- Nie. Carlo był bardzo skromny, aż zanadto.

- Czy wie pani, w jaki sposób zamordowano go?

- Nie - wyszeptała histerycznie.
- Nożem.
- Gdzie się to stało?
- W hotelu Santa Caterina.
- Nigdy o nim nie słyszałam.
- Nic dziwnego. To brudny, mały hotelik na przedmieściu.

- A cóż tam robił Carlo?
- Tego ja też nie wiem, proszę pani.

Milczenie powracało między nas jak owad, który nie może wylecieć z pokoju. Patrzyłem na przyprószony siwizną popiołu ogień papierosa i zastanawiałem się nad mordem w Santa Caterinie.

- Czy zna pani Satelliniego?
- Tak. Spotkałam go na kilku przyjęciach. Podobno był on kochankiem Ines. Nie wiem, czy to jest prawda. Wie pan, w świecie filmowców powstaje tyle plotek.
- Czy pan Barenzo lubił alkohol?
- Pił wino, ale nie w nadmiernych ilościach.
- Nie wiem, czy zauważyła pani, że uśmiech u pana Barenzo pojawiał się i znikał. Był to raczej tik nerwowy niż uśmiech. Czy zawsze tak się uśmiechał, czy też stało się to w ostatnich czasach?
- Uśmiech Carla zawsze był taki nerwowy. Ma pan rację, to było dość denerwujące.

- Kto wskazał mnie panu Barenzo?
- Jest pan wystarczająco sławny, aby o panu wszyscy wiedzieli. Carlo czytał pańskie pamiętniki, zastanawiał się nawet, czy nie nakręcić z nich filmu. Zresztą, jeżeli to pana ciekawi, projekt podsunęłam mu ja. Był bardzo zadowolony. Wykrzykiwał: „Że też wcześniej na to nie wpadłem!”.

Rozmowa znowu się urwała. Patrzyłem na piękną kobietę, domyślałem się pod suknią kształtów jej ciała. Milczeliśmy. W palcach trzymałem dopalającego się papierosa, na plecach czułem kropelki potu. Pożądałem tej kobiety, mimo że wyobraźnia podsuwała mi obraz martwego Carla Barenzo z wykrzywioną strachem twarzą i obraz tej kobiety pieszczącej tłuste ciało milionera.

- Zobaczmy się jeszcze - powiedziałem, gasząc papierosa - mam nadzieję, że zbytnio pani nie przerażam.

Uśmiechnęła się. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wsiadłem do auta i pojechałem w kierunku przedmieścia. Po drodze zatrzymałem się w małej knajpce, gdzie wypilem kieliszek koniaku. Knajpka była nawiedzana przez snobujących się na lumpenproletariat inteligentów. O tej porze zajęty był zaledwie jeden stolik.

- Zamordowali Carla Barenzo. Jak to niedobrze być bogatym - powiedział do mnie barman.

- Skąd pan o tym wie?

- Niech pan przeczyta - podałem mi popołudniową gazetę.

Artykuł nie przynosił nic nowego. Był to raczej komunikat informujący o śmierci potentata filmowego. Autor notatki przypuszczał, iż morderstwo nastąpiło na tle rabunkowym.

- Człowiek biedny jest przynajmniej bezpieczny - dodał barman, kiedy zauważył, że skończyłem czytać.

- Ma pan rację - odparłem, kładąc należność na blicie.

Pojechałem w kierunku Santa Cateriny. W pewnym momencie gwałtownie zahamowałem. Spod maski wyskoczył jakiś zakonnik z wyrazem przestachu na twarzy.

- Oby Bóg bandytów na ciebie zesłał! - zawołał oburzony.

- Oby - odpowiedziałem wesoło i nacisnąłem gaz.

- Bandyta! Bóg go ukarze! - wykrzykiwał jeszcze za mną zakonnik.

W hotelu panowało podniecenie. Oszklona klitka, mająca udawać portiernię, wypełniona była kobietami w średnim wieku. Znajome hotelarki. Po moim wejściu gwar umilkł. Kobiety patrzyły na mnie z nieufnością, a niektóre nawet wrogo. W tej dzielnicy policja nie cieszyła się zbyt

popularnością, a prawdopodobnie wszyscy brali mnie tutaj za policjanta.

- Proszę, żeby wszystkie panie wyszły. Zostanie tylko właścicielka.

Kobiety, mrużąc nieprzychylnie, wyszły.

- Dlaczego pani stoi, proszę siadać - zwróciłem się do hotelarki.

Usiadła. Pochyliła się do przodu, jakby gotowała się do odparcia ataku.

- Niech pani nie będzie w przyszłości zbyt hojna dla policjantów. Ma to wprowadzić jedną dobrą stronę, to znaczy policjanci mogą poświadczyć, że między godziną dwunastą a pierwszą załatwiła pani z nimi pewne sprawy, lecz z drugiej strony dawanie łapówek policji nie należy do mądrych zwyczajów. Lepiej zlikwidować interes z dziewczynkami albo prowadzić go po cichu. Chociaż nie sądzę, żeby się to pani udało. To jest bardzo plotkarska dzielnica.

- Święta Panno, jaka świnia z tego Marca. Bierze pieniądze, a potem opowiada obcym ludziom.

- To nieważne, czy on mi to powiedział. Te sprawy nic mnie nie obchodzą, niech pani daje łapówki albo nie. To jest wyłącznie pani sprawa. Proszę mnie teraz zaprowadzić do pokoju nr 17.

- Dobrze, panie poruczniku.

- Nie jestem porucznikiem.

- Chodźmy tam - głos kobiety złagodniał. - Był tutaj, zaraz po wyjściu panów, taki jeden, który oglądał pokój.

- Co? Jak wyglądał?

- Niski, chudy, podobny do szczura. Miał czarne kręcone włosy. Pokazał mi legitymację, ale policjantowi nie patrzy się zbyt długo na różne świstki. Mógłby się obrazić. Dlatego nie wiem, jak się nazywa.

- Pani pozwoli, że zatelefonuję.

- Proszę bardzo. Nie widziałam jeszcze tak uprzejmego blacharza... ttooo jest... oficera policji.

Nakręciłem numer Głównej Komendy.

- Porucznika Gardena.

- Łączę - odpowiedziała telefonistka w Głównej Komendzie.

- Halo, mówi Umberto.

- Dobrze, że zadzwoniłeś. Przyznali mi tę sprawę.

- Bardzo się cieszę. Słuchaj, czy ty wysyłałeś kogoś do hotelu Santa Caterina? Nie? To ciekawe. Był tu jakiś facet. Podał się za policjanta. Jak ci na pewno wiadomo, właścicielka hotelu jest bardzo uprzejma, dlatego nie przyjrzała się tej legitymacji, którą facet wyciągnął z kieszeni. Jak wyglądał? Niski, chudy, podobny do szczura. Czarne, kręcone włosy. Nic nie możesz wykapować? To trudno. Do miłego zobaczenia.

- Pójdziemy - zwróciłem się do hotelarki po odłożeniu słuchawki.

Wspięliśmy się po schodach. Kobieta otworzyła mi drzwi numeru 17. Wziąłem z jej ręki klucz i powiedziałem:

- Proszę mnie zostawić samego. - Kiedy usłyszałem kroki na dole, wszedłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Pokój był uporządkowany. To mi trochę popsuło humor.

Przeszukiwałem pokój przez pół godziny. Jedyłą moją zdobyczą była złamana spinka od mankietu. Schowałem ją do portfela.

Schodząc na dół, usłyszałem męskie głosy. W portierni kilku mężczyzn z aparatami fotograficznymi otaczało hotelarkę, zadając jej pytania dotyczące morderstwa.

- Nic nie wiem - broniła się przed dziennikarzami hotelarka, a spostrzegłszy mnie dodała: - Ten pan jest z policji, on wszystko wyjaśni.

Dziennikarze otoczyli mnie kołem. Podniosły się aparaty. Zakryłem twarz dłońmi.

- Nie chcę, aby mnie panowie fotografowali. Nie jestem z policji. Moja fotografia mogłaby przeszkodzić śledztwu. Żegnam panów.

Wszedłem. Kiedy otwierałem drzwiczki auta, obok mnie rozjarzyła się lampa błyskowa. Odwróciłem się. Chwyciłem faceta za kłapy. Sekundę później wyrwałem mu

z rąk aparat. Wykręciłem film. Oddałem ogłupiałemu reporterowi leicę.

Przez kilka godzin pewien mężczyzna nie powinien się dowiedzieć, że jestem zainteresowany zbrodnią popełnioną w hotelu Santa Caterina. Wiedząc o tym, wyjechałby do jakiejś dziury. Powróciłby za kilka tygodni. A ja potrzebo- wałem wiadomości, których tylko on mógł mi udzielić.

Odjeżdżając, zobaczyłem, że reporter notuje numer me- go auta. To mi popsło plany. Nie miałem czasu do strace- nia. Zamiast jechać do Lu-aro, skierowałem lancję w ulicę prowadzącą do śródmieścia.

Kiedy zatrzymałem wóz przed bramą luksusowej kamie- nicy, wychodził z niej właśnie elegancko ubrany starszy pan; w prawej ręce niósł walizkę. Wyskoczyłem na chod- nik.

- Spóźniłeś się - powiedziałem, podchodząc do mężczy- zny - dziś nie skorzystasz ze swego auta.

- Masz szczęście, łapaczu - odpowiedział niby dobro- dusznie.

Wiedziałem, że jego umysł pracuje w tej chwili nad możliwościami ucieczki.

- Nie uciekniesz. Nie przemęczaj sobie mózgu. Siadaj do swego auta i jedź na plac Garibaldiiego. Będę jechał za tobą. Mam szybszy wóz i pewien dość ciężki przedmiot w kieszeni. Wiesz przecież, że jestem dobrym strzelcem.

- Przestań pić - powiedział zmęczonym głosem.
- Dobrze. Ciesz się wobec tego, że jedziesz własnym wozem, mimo że przed chwilą zapewniałem cię, iż jest to niemożliwe.

Po tych słowach wsiałem do lancii. Elegancki mężczyzna skierował się do swego auta. Po chwili jechaliśmy na plac Garibaldiiego.

Zaparkowaliśmy wozy przed gmachem, w którym mieściło się moje biuro. W windzie nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

- Napijesz się czegoś? - spytałem mężczyznę, siadającego pod pomarańczowym obrazem.

- Tylko coś mocniejszego.
- Będziesz miał to, co lubisz.

Wyjąłem z lodówki dzin i postawiłem go na stoliku. Po przyniesieniu kieliszka spytałem:

- Chciałeś wyjechać, co?

W odpowiedzi skinął głową.

- Skąd się dowiedziałeś, że biorę udział w tej sprawie?
- Domyśl się - odpowiedział.

- Domyślałem się - odrzekłem i pomyślałem o telefonie z pogroźkami, jaki otrzymałem po wyjściu Carla Barenzo. - Domyślałem się - powtórzyłem po chwili milczenia - i żałuję, że szybciej na to nie wpadłem. Mam szczęście. Miałem przyjechać do ciebie za kilka godzin. Przypadek sprawił, że

musiałem zobaczyć się z tobą jak najszybciej. Mam cholernie szczęście.

- Masz, a ja mam świńskiego pecha.

- Nie przeczę. Ale nie martw się. Nawet gdybyś ukrył się w jaskini, musiałbym cię znaleźć. Twoje informacje są mi bardzo potrzebne.

- Jego i tak nic nie wskrzesi.

- To nieważne. Chcę wiedzieć, w jaki sposób zrobił majątek Carlo Barenzo?

Na to i na kilka innych jeszcze pytań mógł mi udzielić dokładnej odpowiedzi jedynie elegancko ubrany mężczyzna, siedzący w moim biurze. Nie podam jego nazwiska. Ważne jest tylko to, że Elegancki (tak go będę w dalszym ciągu nazywał) znał włoskie środowisko przestępcze mieszkające w Stanach. Wprawdzie w 1953 roku Elegancki został deportowany wraz z kilkoma mu podobnymi do Włoch, lecz kontaktu ze Stanami nie stracił.

- Stany są tak duże... Przecież to nie żaden zakichany kraik Europy. Skąd ja mogłem wiedzieć, co robi Carlo Barenzo. Przecież każdy stan to duży kraj.

- Nie opowiadaj bajeczek. Ja ci mogę za to zdradzić pewien sekret. Dwa tygodnie temu dowiedziałem się o jeszcze jednej twojej sprawie. Nazwałem ją, oczywiście dla siebie, „Jubiler zamordowany w domku pod Mediolanem”. Nie

protestuj. Ja wiem, że nie ty go udusiłeś, a potem autem wywiozłeś na drugi koniec Italii. Mam jednak dowody, że facet działał z twojego rozkazu. Wiem, co się stało z klejnotami. Muszę do ciebie mówić jak do dziecka. Spokojnie... Po co sięgasz niepotrzebnie do kieszeni. Łącznie z tą sprawą znam ich osiem. Wystarczy, żeby sąd skazał cię, jak mówią prawnicy, na najwyższy wymiar kary... Uspokój się, powtarzam. Wszystkie te papiery są tak rozmieszczone u adwokatów i innych ludzi, że w wypadku mojej gwałtownej śmierci jesteś przegrany. Dlatego powinieneś mnie bronić przed różnymi typami. A ty co? Wiesz o tym, że umiem być wdzięczny. Opublikowanie tych rzeczy przyniosłoby mi mnóstwo sławy i pieniędzy. Będziesz mówił?

- Co mam mówić?

- Chcę wiedzieć, w jaki sposób Barenzo doszedł do majątku.

- Dokładnie nie wiem. Mówiono, że w latach trzydziestych pracował w Chicago. Gang, do którego należał, sprawował „opiekę” nad dowozem alkoholu i utrzymywał w kilku rzeźniach „porządek” wśród robotników. Potem Barenzo przeniósł się do Nowego Jorku. Pieniądze jednak zrobił w Chicago. Nikt nie wie dokładnie, w jaki sposób. W każdym razie przyszła za nim opinia do Nowego Jorku, że to facet stracony. Twierdzono, że w ostatnich latach zrobił

się mięczakiem. Nikt mu nie proponował żadnej roboty, a on też o nią nie prosił. Miał pieniądze. Nie wiem, kto puszczał w obieg wiadomości o nagłym załamaniu się tego kiedyś odważnego chłopaka. Miał obywatelstwo amerykańskie. Od udziału w wojnie jakoś się wykreślił. Nie zmarnował tych lat. Wszedł do najelegantszego środowiska finansjery nowojorskiej. Zaczął się interesować filmem. Zrobił na tym duże pieniądze. Miał głowę do interesów. W czterdziestym piątym zlikwidował swoje sprawy i przyjechał do Włoch. Przeczuli, że na filmach włoskich też będzie można zarabiać. To by było tyle.

- Jeszcze jedno pytanie. Jak się nazywał szef gangu, do którego należał Barenzo?

- Nie wiem. Podobno był to jakiś Polak. Nikt nie znał jego nazwiska. Mówiono o nim „Silny”.

- Nie kłam - powiedziałem cicho - i położyłem rękę obok kieliszka. Być może dobrze grasz w pokera, ale ja siebie też uważam za niezłego gracza. Mów!

- To się może źle skończyć - odpowiedział równie cicho - ty jesteś wielkim cwaniakiem i dobrze się ubezpieczyłeś. Nie zapominaj tylko, że ja też trochę siedziałem w tych sprawach. Pamiętaj! To się może źle skończyć. Jesteś obrrotniejszy ode mnie, bo jesteś młodszy. Dlatego mnie szantażujesz Ale to się może źle skończyć, Umberto... Lubię

cię...Sam byłem taki w młodości, ale za bardzo jesteś pewny siebie.

- Dziękuję za pochwały. Słuchaj, mnie nie weźmiesz na takie sztuczki. Mów prawdę, niczego innego od ciebie nie żądam. Jesteś wielki cwaniak we wszystkich rzeczach, których się dotkniesz, tylko nie w kłamstwie. Wybieraj: albo prawda, albo...

Siwy mężczyzna przełknął łyk dżinu.

- Szefem był Barenzo - wyjaśnił, obcierając chusteczką czoło.

- Dziękuję ci, to mi może wyjaśnić wiele spraw. Czy on był w porządku wobec reszty?

- Nie wiem. Różnie o tym mówili. Ale nie słyszałem o niczym konkretnym.

- Wierzę ci. To w tej chwili nie jest najważniejsze.

- Wobec tego odchodzę. Na przyszłość radzę ci być bardziej rozważnym.

Elegancki podniósł się z krzesła.

- Zastosuję się do twojej rady. Ale jeszcze nie zadałem ci jednego pytania. Dlaczego okazujesz zniecierpliwienie? Zaraz będziesz mógł odejść.

Mężczyzna usiadł na krześle i nalał sobie kieliszek dżinu.

- Pozwól, że też się napiję - odezwał się, patrząc, jak Elegancki nalewa do kieliszka alkohol.

Wyjąłem z lodówki wermut. Trzymając napełnioną

szklanę w rękę, mrugnąłem do partnera. Ten odpowiedział mi takim samym mrugnięciem. Płyn zabulgotał w naszych gardłach.

- W gruncie rzeczy jesteś klawym facetem. Też byłem kiedyś takim - powiedział, odstawiając kieliszek.

- Nim cię zapytam o pewną sprawę, powiedz mi, jak sobie radzisz z policją. Musisz przecież meldować się, co jest czasami niemożliwe przez twoje podejrzane wyjazdy.

- Każdy lubi pieniądze - odpowiedział sentencjonalnie.

- Napijemy się jeszcze? - zaproponowałem.

- Tego ci nie odmówię.

Wypiliśmy. Podałem tamtemu ogień. Dym otoczył jego kształtną głowę.

- Chciałbym wiedzieć - odezwałem się - kto w ostatnich miesiącach przyjechał ze Stanów. Ewentualnie, kto otrzymał jakieś polecenie stamtąd. Ty siedzisz w tych sprawach. Czy jest możliwe, by morderca przyjechał z Ameryki, czy też ktoś z tutejszych ptaszków dostał od Amerykanów rozkaz zgładzenia filmowca?

- Ani jedno, ani drugie. Gdyby mieli porachunki, zlikwidowałiby faceta przed wielu laty. Dlaczego członkowie gangu mieliby przyjeżdżać tutaj po kilkunastu latach i wbić mu nóż w ciało? To nielogiczne.

- Skąd ty tak szybko wiedziałeś o morderstwie i o moim udziale w śledztwie? - spytałem.

- Gazety, przyjaciele, zresztą pytałeś już mnie o to. Do miłego zobaczenia.

Odprowadziłem go do drzwi. Gdy trzymał rękę na klamce, zapytałem:

- Czy Barenzo był w Stanach karany?

- Nie.

Drzwi zatrzasnęły się. Wyjście tego mężczyzny miało wiele cech wspólnych z odlotem ptaka; a najważniejsza z nich to spłoszenie.

IV

Wyjechałem do Lugaro późnym wieczorem. Za miastem wstąpiłem do wiejskiej knajpki, gdzie zjadłem kolację; byłem teraz ociężały i śpiący.

Wiatr wpadał do wozu przez odchylone okna, przynosił ze sobą świeżość i ów nie dający się dokładnie określić zapach letniego wieczoru. W świetle reflektorów widziałem wstęgę asfaltu, czasami wyskakiwały po obu stronach szosy oświetlone domy i drzewa, nienaturalne przez dziwaczne cienie, jakie powstawały dzięki reflektorom wozu.

Ociężałość stopniowo mijała. Zapaliłem papierosa i patrząc na jasnokremową wstęgę asfaltu, zacząłem rozmyślać nad przypuszczalnymi motywami zbrodni. Nie mogłem się jednak skupić. Niezwykła barwa asfaltu, wytworzona przez światła, uczucie osamotnienia i cisza letniego wieczoru, podkreślona szumem silnika, wszystko to nie pozwalało na skupienie. Zatrzymałem wóz. Wskoczyłem na szosę. W

promieniu kilkuset metrów nie było żadnych zabudowań. Przeszedłem na łąkę obok drogi i obsunąłem się na trawę. Siedziałem tam przeszło godzinę. Wypaliłem dziesięć papierosów. Zastanawiałem się nad połączeniem znanych mi dotychczas faktów. Pierwszą koncepcję odrzuciłem jako produkt czystej fantazji, drugą uznałem za prawdopodobną.

Jadąc do Lugaro, miałem suche gardło. Gorycz, powstała wskutek wypalenia dużej ilości papierosów, osiadła mi na podniebieniu, a jednak nie kłamałem, jak to robię w podobnych wypadkach. Byłem zajęty prowadzeniem auta i rozmyślaniami nad moją koncepcją. Nie skłamię, jeżeli napiszę, że to drugie więcej mnie interesowało.

O godzinie jedenastej dwadzieścia w nocy wjechałem w uliczki Lugaro. Po kilku minutach jazdy zatrzymałem wóz przed budowlą, stanowiącą własność mego nieżyjącego klienta. Zgasiłem reflektory i wyszedłem z auta. Wahałem się, czy nazwać ten budynek willą, czy pałacem. Jedno i drugie określenie było niesłuszne. Najlepsza nazwa to dom. Z jednym zastrzeżeniem: dom o nowoczesnej architekturze. Dwukrotnie okrążyłem budynek, chcąc dobrze znać jego położenie. Przód domu, zwrócony do drogi wyłożonej kostką, stanowiła ściana z matowego szkła. Wśród niej odcinały się ciemną barwą metalowe drzwi. Tył opierał się na naturalnym pagórku. Sprawiało to wrażenie, że budowla

wypływa z pagórka, że jest tworem przyrody. Na dach można było wejść po stoku pagórka. Chodzenie po tym dachu wymaga szczególnej zręczności. Jest to płaszczyzna metalowa, wygięta na podobieństwo śmigła samolotu. Boczne ściany domu zostały zrobione z dużych kamieni. Jak się zdażyłem zorientować po układzie okien, dom był jednopiętrowy. Niektóre pomieszczenia miały jednak wysokość całego budynku. Przypuszczałem, że mieści się tam pływalnia.

Dom zbudowany został na kształt trapezu. Front był szerszy od ściany przylegającej do pagórka. Z okien, umieszczonych po bokach, płynęło światło. Od czasu do czasu widziałem sylwetki odcinające się w jasnych prostokątach okien.

Wsiadając do auta, usłyszałem szcęk drzwi frontowych. Odwróciłem się i zobaczyłem jakiegoś człowieka, biegnącego w kierunku grupy drzew. Odległość i ciemność nie pozwoliły stwierdzić, czy uciekający był mężczyzną czy kobietą. Pobiegnęłam za uciekającą postacią. Podczas biegu wyciągnąłem z kieszeni rewolwer i odbezpieczyłem go. Po minucie biegu znalazłem się wśród drzew. Był to mały lassek, a właściwie zagajnik. Wokół mnie panowała cisza. Zniechęcony wróciłem do auta. W tej sytuacji szukanie uciekiniera nie miało sensu. Nie miałem najmniejszej szansy na znalezienie go. Warunki dla tamtego czy tamtej były

znakomite. Ciemność, drzewa i odległość, jaka się wytworzyła między mną a uciekającym.

Po kilku minutach jazdy zatrzymałem się przed hotelikiem, jedynym zresztą w Lugaro. Przyjął mnie podchmielony, chudy właściciel. Dostałem pokój z balkonem i widokiem na ogród. Odwiedziny willi Carla Barenzo postanowiłem przenieść na dzień jutrzejszy. Po wypiciu kieliszka koniaku, nalanego z płaskiej flaszki, którą zawsze ze sobą wozilem, położyłem się do łóżka. Pościel była chłodna, lecz nie wilgotna. Wkrótce zasnąłem.

Zbudziłem się około godziny siódmej. Śniadanie zjadłem na dole w wysokiej, chłodnej sali umeblowanej w sposób prosty, a nawet surowy. Posiłek przygotowany przez żonę chudzielca nie był zły.

Wyprowadziłem wóz z garażu hotelowego i wolno pojechałem uliczkami miasteczka. Zatrzymałem się przy pierwszym napotkanym kiosku. Kupiłem rzymskie gazety poranne. Na pierwszych stronach widniała fotografia mężczyzny, z którym wczoraj rozmawiałem w moim biurze o życiu Carla Barenzo. Tłuste czcionki tytułów oznajmiały:

Zabójstwo znanego przywódcy amerykańskiego świata przestępczego

Przytaczam poniżej część reportażu.

W ruinach Koloseum znaleziono dziś o godzinie trzeciej w nocy trupa mężczyzny. Tłuczone rany głowy wskazywały na morderstwo. Z dokumentów, jakie znaleziono przy zamordowanym, wynikało, że nazywał się on XY (tu następowało nazwisko). Jak powszechnie wiadomo, zamordowany był jednym z przywódców amerykańskiego świata przestępczego, deportowanym do Włoch przed kilku laty. Dzieciństwo i młodość XY były nadzwyczaj burzliwe. Urodził się w Neapolu...

Koniec artykułu brzmiał:

Przypuszcza się, że XY zamordowany został przez swoich towarzyszy. Człowiek, o którym wiadomo powszechnie, że popełnia przestępstwa, a nie można było mu tego udowodnić, zginął od miecza, jakim sam wojował. Czyżby jeszcze jedna rozgrywka w tajemniczym świecie przestępczym?

Elegancki nie żył. Stojąc obok kiosku, przypominałem sobie jego piękną twarz i siwiejące włosy otoczone dymem papierosa. Przypominałem sobie jego wyjście, tak podobne do odlotu spłoszonego ptaka. Zrobiło mi się go żal. Był to twardy facet o dużej odwadze i energii. Wraz z jego śmiercią wiadomości, jakie miałem o wypadach jego ludzi, stawały

się dla mnie niebezpieczne. Za dużo o nich wiedziałem. Jednocześnie nie mogłem porozumieć się z nimi, aby uprzedzić, że przez moją śmierć wpadną do mamra jak dojrzałe owoce do koszyka. Szybciej czy później będą usiłovali mnie zlikwidować. Ale wśród tych myśli wybijała się jedna: kto zabił Eleganckiego?

Komu była potrzebna jego śmierć? Czy zabójstwo aktualnego przestępcy miało jakiś związek z morderstwem byłego szefa gangu - Carla Barenzo? Czy zrobiła to jedna i ta sama osoba?

Rzuciłem gazety na tylne siedzenie i włączyłem silnik. Po kilkunastu minutach jazdy wysiadłem przed domem potentata filmowego. Przycisnąłem guzik dzwonka. Otworzył mi stary mężczyzna, podobny do nieżyjącego bogacza. Twarz jego była pomarszczona i zmięta, przez co wydawał się karykaturą sławnego Carla.

- Czy pan jest krewnym pana Barenzo? - spytałem, wchodząc do obszernego pomieszczenia o czerwonej, szklanej podłodze.

- Tak. Jestem jego bratem - odpowiedział mężczyzna, zamykając drzwi.

- Wie pan o wszystkim? - pytałem dalej, idąc przez pomieszczenie, które mogłoby nosić nazwę hallu.

- Zawiadomiła mnie wczoraj po południu policja.

- Ach... tak.

Zauważyłem, że w tym domu nie ma drzwi w normalnym sensie tego słowa. Między pokojami były przegrody z grubego szkła, osadzone na metalowej osi. Stwarzało to wrażenie, że dom nie jest podzielony na pokoje. Brakowało tu przytulności, lecz było dużo światła, ciekawe formy architektoniczne i zimny ład przedmiotów i ścian, mający jeden cel: jak największej przydatności dla mieszkańców.

Weszliśmy do pokoju, którego jedną ścianę stanowiła szklana płyta. Pomyślałem: „jedno z okien bocznej ściany”. Pod ścianami stały niskie fotele, a właściwie kilka kolorowych płatów gąbki, ułożonych w stos; oparciem był również płat gąbki. Na środku pokoju stał niski stół, blat jego tworzyła płyta z masy plastycznej w kolorze żółtym. Wokół stołu, to jest przy każdej z jego metalowych nóg, stały proste stołki, zrobione z metalowych prętów i krążka żółtej masy. Usiedliśmy na gąbkach. Zwróciliśmy się do siebie twarzami. Popielniczka stała pośrodku niby kopczyk graniczny między dwoma wrogimi państwami.

- Kiedy pan Barenzo był tu po raz ostatni?
- Czy pan jest z policji? - odpowiedział pytaniem.
- Nie. Carlo Barenzo kilka godzin przed śmiercią był w moim biurze. Zapłacił mi za towarzyszenie mu przez cały

miesiąc. Bał się jakichś ludzi. W kilka godzin po wyjściu z mego biura zamordowano go. Mam obowiązek prowadzić śledztwo niezależnie od policji. Oto mój bilet. Podałem mu wizytówkę.

- O! To pan - mężczyzna uśmiechnął się.
- Tak, to ja. Chciałem zadać panu kilka pytań.
- Bardzo proszę.
- Po pierwsze: kiedy pan Barenzo był tu po raz ostatni?
- Przecież ja tu jestem. Też się nazywam Barenzo. Ale Maurizio. Carlo wyjechał przedwczoraj do Rzymu. Ostatni raz w tym domu był właśnie przedwczoraj.
- Dlaczego wyjechał?
- Dostał telegram, a godzinę później zatelefonowano z Rzymu.

Mówiąc to, miał w oczach wesołe iskierki. Ten człowiek nie martwił się śmiercią brata, przeciwnie, nawet się nią cieszył.

- Czy pan lubił brata?
- Pewnie, że lubiłem. On też mnie lubił. Kochaliśmy się z wzajemnością.

Mówiąc, oddzielał jedno zdanie od drugiego. Słuchaczowi wydawało się, że zdania niby twarde, obce ciała z trudnością wyskakują mu z gardła i ust. Jednocześnie pomarszczona twarz zmieniała co chwila swój wyraz. Podczas

jakiegoś grymasu na miejscu dotychczasowych zmarszczek wyskakiwały nowe.

- Czy wie pan, kto wysłał telegram i kto telefonował?

- Nie. Brat mi się nie zwierzał.

- Czy brat pana wspominał o wrogach? Na przykład z czasów pobytu w Stanach?

- Nie. Jak wynika z jego opowiadań, zostawił tam samych przyjaciół.

Iskierki w jego oczach zamigotały. Bardzo możliwe, że błysk na gałce ocznej powstał przez przeniesienie spojrzenia z jednego przedmiotu na drugi; konkretnie z mojej twarzy na ścianę.

- Czy brat pana był przeczulony? Może odczuwał momentami nie umotywowany strach?

- Nie i jeszcze raz nie. Kto jak kto, ale ja na pewno bym o tym wiedział.

- Czy jego zachowanie w ostatnich dniach uległo zmianie?

- Żadnej zmiany nie zauważyłem.

- Jaka reakcja nastąpiła po telegramie i telefonie?

- Nijaka, to znaczy normalna. Powiedział mi, że musi jechać do Rzymu.

- Nie powiedział panu, w jakim celu?

- Nigdy nie miałem powołania na spowiednika, więc brat szanował moją świeckość.

Bardzo ładne zęby ukazały się między jego wargami.

Zdawało się, że takie zdrowe zęby są przez pomyłkę umieszczone w zniszczonej twarzy. Brat zmarłego uśmiechał się.

- Pan się specjalnie nie martwi śmiercią brata - stwierdziłem raczej niż spytałem.

- Ma pan rację. Nie martwię się - odpowiedział zupełnie spokojnie.

- Czy zostanie pan spadkobiercą?

- Bardzo możliwe. Dokładnie nie wiem.

- Czy wie pan coś na temat amerykańskiej przeszłości brata?

- Wiem. Niepotrzebnie kładzie pan nacisk na słowo „przeszłość”. Carlo w młodości stał na czele przedsiębiorstwa dostarczającego ludziom alkohol. Niech pan nie zapomina, że było to w smutnych czasach prohibicji amerykańskiej. Sądzę, że w tym tkwi pewna wielkość Carla, iż w tak młodym wieku i pomimo konkurencji umiał prowadzić dużą firmę. A że nielegalnie, to jeszcze jeden dowód jego rzutkości.

- O ile pan jest starszy od Carla?

- O szesnaście lat.

- Pana zawód?

- Psychoanalityk. Jeżeli pan chce, możemy przejść do jednego z następnych pokoi. Tam położy się pan na wygodnej kanapce i przystąpimy do psychoanalizy. Podejrzewam silnie rozwinięty kompleks Edypa.

- Praktykuje pan?
- Bardzo rzadko. Przyjmuję wyłącznie przyjaciół i oczywiście nie pobieram honorariów. Dzięki hojności Carla nie musiałem zarobkować. Nie wiem, jak będzie teraz, ale muszę się panu przyznać, że nie lubię przyjmować przekwitających eh kobiet, które przez całe godziny opowiadają o obłych przedmiotach, które im się przyśniły. A może panu śni się coś podobnego?
- O moich snach pomówimy za chwilę - odpowiedziałem. - Chciałem się jeszcze pana zapytać, czy pan Carlo Barenzo kochał swoją żonę?
- Tak, jak należy kochać żonę.
- Kiedy i gdzie odbędzie się pogrzeb?
- Ciało mają przywieźć za kilka godzin. Mario już pojechał. Mario to lokaj. Carlo zawsze mówił, że chce być pogrzebany w Lugaro. Jego wola będzie spełniona - dokończył, podnosząc ręce do góry patetycznym gestem.
- Pytałem, kiedy będzie pogrzeb?
- Jutro. Prawdopodobnie po południu.
- Czy pani Ines Lona została zawiadomiona o śmierci męża?
- Wysłałem depeszę.
- Mam do pana prośbę - odezwałem się, zapalając papierosa - chciałbym zwiedzić dom.
- Proszę bardzo. Dom wraz ze mną służyć panu będzie wiernie.

Zachichotał. Popatrzyłem na niego i chichot nagle ucichł.

Oglądałem dom przez godzinę. Obejrzałem wszystkie pomieszczenia mieszkalne i pływalnię. Maurizio Barenzo towarzyszył mi przez cały czas.

- Nie jest wykluczone, że morderca siedzi pod powierzchnią wody - dowcipkował w pływalni.

- Wykluczone - odpowiedziałem z przekonaniem - właśnie morderca wystawia główkę z kieszeni pańskiej marynarki.

- Ach! Rzeczywiście... Zupełnie o nim zapomniałem - roześmiał się.

- Ile jest osób służby?

- Ośmioro. Czy chce pan z nimi porozmawiać?

- To zbyt wiele. Wystarczy mi pana towarzystwo.

Wróciliśmy do pokoju, gdzie zaczęła się nasza rozmowa. Na powrót usiedliśmy na gąbkach.

- Chciałem się do pana zwrócić w sprawie moich snów.

- Proszę bardzo - powiedział z zawodową uprzejmością.

- Dzisiejszej nocy śniło mi się, że około godziny jedenastej w nocy, z tego domu wybiegła pewna osoba i zniknęła w pobliskiej grupie drzew. Sądzę, że to pana zainteresuje jako psychoanalityka.

- Ma pan przed sobą przyszłość. Kto wie, może z pana

wyrośnie nowy Jung - odparł Maurizio Barenzo, ale widać było, że jego wesołość jest sztuczna.

- Radzę panu zmienić miejsce.
- Jakie miejsce?
- W lasku. Trzeba być ostrożnym.

Nic nie odpowiedział. Nie uśmiechał się już. Mięśnie jego twarzy stężały. Zmarszczki zdawały się rzeźbione. Zmrużone oczy straciły figlarny ognik.

V

W moim biurze byłem o godzinie pierwszej po południu. Zatelefonowałem do kobiety, która była kochanką Carla Barenzo. Zaprosiłem ją na obiad do zacisznej restauracyjki. Zaproszenie zostało przyjęte.

Godzinę potem siedziałem naprzeciw pięknej kobiety. Wraz z jej widokiem wróciło pożądanie. Rozpacz, jaką wczoraj okazywała, zmieniła się w smutek. Mimo że nie wykrzywiła twarzy, nie płakała i nie robiła tym podobnych rzeczy, smutek unosił się wokół niej jak zapach perfum. Poczulem dla niej litość. Czyżby to była tylko litość?

Obserwowałem siedzącą kobietę i czułem, że staję się coraz bardziej zły. Nie mogłem znaleźć niedoskonałego szczegółu. Przez chwilę myślałem, że nie jest to ładnie uwodzić kobietę nazajutrz po zabójstwie jej kochanka. Przyjrzałem się jej twarzy. Wszelkie skrupuły uleciały.

Podając jej przyprawę, byłem zarumieniony, gdyż nasze dłonie spotkały się. Podobnych stanów nie odczuwałem od czasów chłopięcych. Przyjaciele nazywają mnie smakoszem. Nie jest to pozbawione pewnych racji; lubię dobrze przyrządzone jedzenie. Ale przy Marii nie zwracałem uwagi na smak potraw.

- Mario, jest pani piękną kobietą.

Powiedziałem to po prostu. Kobieta okazała zdziwienie.

- Jest pan bardzo miły... W pewien szczególny sposób - dodała po chwili.

- Określiliśmy siebie. To bardzo dobrze.

- Ja też tak sędzę. Pewna stara kobieta powiedziała mi kiedyś, że jeżeli ludzie powiedzą sobie miłe rzeczy, to znaczy, że nie będą się kłócić.

Równocześnie roześmieliśmy się. Po kilku sekundach śmiech Marii urwał się. Usta nieznacznie się wykrzywiły. Przestałem chichotać.

- Pomyślałam o Carlu.

Wróciło to wczorajsze milczenie, kiedy zakomunikowałem, że Barenzo został zabity nożem. Męczące milczenie.

- Proszę mi mówić „Mario”. - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Czuję się taka samotna.

- Dobrze, Mario.

Do końca obiadu nie odezwaliśmy się. Maria wstała.

- Do zobaczenia, Umberto.
- Przyjdę wieczorem.
- Bardzo się cieszę - smutny uśmiech przeleciał po jej wargach.

Szła obok stolików. Głowy mężczyzn odwróciły się. Ruch jej bioder był śledzony przez kilkadziesiąt par oczu.

Przesiedziałem jeszcze pół godziny nad kieliszkiem koniaku. Potem wstałem i równym, odmierzonym krokiem przeszedłem przez salkę. Pojechałem do komisariatu policji sprawującego opiekę nad dzielnicą, w której się mieścił hotel Santa Caterina.

Przyjął mnie kapral o żółtej, chorobliwej cerze.

- Potrzeba mi pewnych informacji - powiedziałem po przywitaniu.

- A kim pan jest? - zapytał arogancko.

- Ach, to nie jest ważne. Założmy, że jestem facetem, który wie, iż bierzecie łapówki.

- Czy chcesz mieć całą mordę, świnio? Jeżeli tak, to zmykaj! - mówiąc to, wstał z krzesła i oparł duże dłonie na blacie biurka.

- Spokojnie. Chcę kilku informacji i nic więcej. Chyba że wolisz, aby tą sprawą zajęli się wasi szefowie. Mam dowody.

- Zmykaj! - ryknął policjant.

- Dobrze, przyjdę tu za chwilę - odpowiedziałem, wychodząc.

Z najbliższego automatu telefonicznego zadzwoniłem do Franca. Streściłem mu całą sprawę.

- Przyjeżdżam - odparł Franco - mam nadzieję, że chłopiec zmięknie.

Czekałem na Gardena w małym barze. Po piętnastu minutach czekania drzwi baru zostały hałaśliwie otwarte i wszedł mój przyjaciel. Zamówił kawę i nugat.

- Nie chce ci nic powiedzieć? To znaczy, że jest dobrym policjantem.

- Nie takim dobrym, bo bierze łapówki - odparłem.

- A dlaczego chcesz znać nazwiska i adresy miłych pań z tej dzielnicy? - zapytał wesoło Garden.

Znałem Franca od dawna. Dlatego poznałem, że jego wesołość jest udana. Porucznik był skupiony. Chciał przejrzeć moją grę.

- Domyśl się dlaczego - odpowiedziałem, uśmiechając się równie zniewalająco jak Garden.

- Podejrzewasz, że mógł to zrobić ktoś z tej dzielnicy?

- Podejrzewam wielu ludzi. Między innymi podejrzewam, iż panienki z tej dzielnicy mogłyby pewne rzeczy wyjaśnić.

- Ach, tak - rzekł Franco, przeciągając sylaby.

- Co wykazała sekcja? - spytałem, zapalając papierosa.

- Obecność w organizmie alkoholu. Śmierć nastąpiła od pchnięcia nożem.

- Czy coś ukradziono?

- Przypuszczalnie nic. To nie jest mord rabunkowy. Prawdopodobnie Barenzo w ostatnich chwilach swego życia był pijany. To, że grymas strachu pozostał na twarzy nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie zdarza się to często, ale nie jest niczym nadzwyczajnym - powtórzył dobitnie.

- Wiem, wiem. O ile się nie myłę, sam ci kiedyś o tym mówiłem.

- Bardzo możliwe. - Franco ugryził olbrzymi kawał nugatu. - Mnie jednak bardziej interesuje śmierć tego grubasa niż wymiana doświadczeń kryminologicznych.

- Co wczoraj robiłeś?

- Wczoraj... Nic... Absolutnie nic. Wiesz przecież, że lubię się zastanawiać przed każdą robotą. Stara szkoła angielska - zaśmiał się krótko - mózg i jeszcze raz mózg.

- Wolę cię jako malarza. Twój pomarańczowy obraz wi- si u mnie w biurze. Nie bądź fanatykiem. Pracą mózgu bez działania fizycznego nie rozwiążesz większości spraw. - Wafel nugatu ugiął się pod jego zębami. Duży kawał białej masy został przełknięty, jakby to była okruszka.

- Zobaczymy, kto pierwszy znajdzie mordercę. Coś mi się tak zdaje, że nie ty - zwrócił się do mnie.

- Nie jest wykluczone, że morderca nigdy nie wpadnie w nasze ręce.

Wzruszył ramionami.

- Wyprzedziłeś mnie tyle razy, że muszę się teraz zrewanżować. Zresztą to mi pomoże w awansie.

- W porządku. Wypij resztę kawy i idziemy.

Do komisariatu wszedłem pierwszy.

- Znowu tu, świnió, jesteś - ryknął siedzący za biurkiem policjant.

- Jestem - stwierdziłem z uśmiechem.

- Co?! Żartujesz sobie?! Ja cię nauczę porządku!

- Niczego nie nauczysz - usłyszałem za sobą głos wchodzącego Franca.

- Cooo?! - ryk policjanta przy końcowym „o” przeszedł w pisk. Twarz gwałtownie poczerwieniała.

Franco poszedł do biurka i położył na nim swoją legitymację. Policjant przeczytał ją i poczerwieniał jeszcze bardziej. Trzęsącymi się od niewyładowanej złości rękami podał Gardenowi legitymację.

- Słucham - powiedział służbiście.

- Wykona pan wszystko, czego tylko zażąda mój przyjaciel. - Widząc zdumienie policjanta, dodał: - Pracuje z Główną Komendą.

- Do zobaczenia, Umberto - zwrócił się do mnie.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

- Mam do pana prośbę - odezwałem się do policjanta, którego cera na powrót stała się żółta - niech mi pan poda nazwiska i adresy dziewczyn, kręcących się koło hotelu Santa Caterina.

Nic nie mówiąc, wyciągnął z szuflady biurka kartkę papieru. Wyjętym z kieszeni wiecznym piórem wypisał na niej nazwiska i adresy.

- Dziękuję. Niech pan zapomni o całej sprawie. Szczodrośliwość hotelarki będzie wyłącznie naszą tajemnicą - rzekłem, odchodząc.

Uśmiechnął się blado.

- Do widzenia panu - odezwał się i jego ręce zaczęły szybko przesuwac papiery leżące na biurku.

Lawirując wozem wśród wąskich uliczek, myślałem nad celowością mego planu. Nie byłem pewny, czy okaże się on skuteczny. W stacji benzynowej uzupełniłem zapas paliwa. Stamtąd pojechałem pod pierwszy widniejący na kartce adres, wypisany przez cholerycznego policjanta.

Budynek, w którym mieszkała dziewczyna, był starym pałacem, świecącym plamami cegły powstałymi wskutek odrywania się tynku. Większość pokoi była zrujnowana. Z innych, zajętych pokoi dochodziły krzyki kobiet, przeważnie strofujących swe dzieci. W głębi budynku jakiś męski, zachrypnięty głos śpiewał sprośną piosenkę. Był to jeden z

tych starych budynków, które zajmuje biedota rzymska.

Kiedy zatrzymałem auto, z okien wyjrzały męskie, kobiece i dziecięce głowy. Obserwowali mnie z ciekawością. Zamknąłem lancie na kluczyk i uśmiechnąłem się do brudnych chłopców, którzy w niewiadomy sposób wyrosli obok wozu. Przez olbrzymią i, jak wynikało ze rdzy, nigdy nie zamykaną bramę wszedłem do wysokiej, cieniejszej sieni i stamtąd po wytartych, kamienistych schodach wdrapałem się na pierwsze piętro. Stałem w korytarzu, biegnącym wzdłuż całego piętra. Po obu stronach korytarza widniały odrapane drzwi. Zapukałem do jednych z nich, oznaczonych numerem 26. Otworzyła drzwi brunetka o grubych, mięsistych wargach i profesjonalnym uśmiechu. Wymieniłem nazwisko.

- Tak, to ja - skinęła głową, a potem prawą ręką zrobiła gest zapraszający mnie do wejścia.

Pokój był duży i wysoki. Stare sprzęty i rozrzucona kobiecea bielizna dodawały mu malowniczości, która stała się modna dzięki filmowcom powojennym, robiącym filmy z życia przedmieść. W rzeczywistości ta malowniczość nie była ani wesoła, ani egzotyczna.

- Proszę usiąść - powiedziała kobieta, widząc, że stoję niezdecydowany na środku pokoju.

Popatrzyła na mnie dużymi, wilgotnymi oczyma. W tym

spojrzeniu było pytanie: „Po co tu przyszedłeś?”.

Nie chcąc przedłużać męczącej atmosfery, powiedziałem:

- Wiem, że pani lubi przebywać koło hotelu Santa Caterina. Wczoraj zamordowano tam mego przyjaciela...

- Słyszałam o tym - przerwała mi - to był podobno bogaty gość. Jego wykończyli gdzieś koło południa, co? Żałuję, że tam nie byłam, na pewno zobaczyłabym faceta, który go tak urządził...

- Nie wie pani, czy mój przyjaciel zwykł często bawić w tym hotelu? - spytałem.

- Jest pan... to znaczy był pan jego przyjacielem, a nie wie pan, co on robił?

- Czasami o pewnych sprawach nie mówi się nawet najlepszemu przyjacielowi.

- To o tym nikt nie wiedział?

- O czym?

Mięsiste wargi poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden głos.

- O czym? - ponowiłem pytanie.

- Kim pan właściwie jest? - zapytała

- Może gliną - odpowiedziałem z uśmiechem.

- E, co to, to nie. Gliny nie mają takich aut. Grubas nie położył się z żadną do łóżka, wie pan.

- Grubas... O! To ciekawe.

Uśmiech rozciągnął jej wargi. Pokiwała potakująco głową.

- Widzi pan - zaśmiała się z wyższością - jak się nie lubi dziewczynek, to się źle kończy.

- W tym dniu był u niego jakiś facet?

Nie odpowiedziała. Wsadziłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem plik banknotów, które położyłem na stole.

- Jak się nazywa ten facet? - spytałem powtórnie.

Popatrzyła na pieniądze i wymieniła mi nazwisko człowieka, który rozmawiał z Carlem Barenzo niedługo przed śmiercią. A może nawet był przy niej obecny.

- Gdzie mieszka?

- Nie wiem. Ale on co wieczór jest w Stelli. To taki lokal...

- Wiem. Dziękuję pani.

- Tylko niech pan nikomu nie mówi, że ja coś powiedziałam.

- Dobrze, może pani być o to zupełnie spokojna.

Piętnaście minut później stałem przed telefonem w małej kawiarence.

Wrzuciłem żeton do automatu i nakręciłem numer jednego z moich współpracowników.

- Pojedziesz do Lugaro. Zainstalujesz się w małym łasku koło domu, w którym mieszkał Barenzo. Co? Znasz tę sprawę? Reportaż z opisem pokoju, w którym popełniono

morderstwo? Kto napisał? Partini z „Tempa”? Dziękuję. Powracając więc do poprzedniej sprawy, pojedziesz tam, i to zaraz. Robota prawdopodobnie zacznie się wieczorem. Ktoś wyjdzie z domu i uda się do lasu. Masz go śledzić i zobaczyć, co ten „ktoś” robi w lesie. Jeżeli dzisiaj nic z tego nie wyjdzie, to poczekaś do jutra. Ale według moich obliczeń powinno to być dzisiaj. Jeżeli tylko czegoś się dowiesz, przyjeżdżaj do mego biura.

- Zrobi się, szefie - odpowiedział mężczyzna po drugiej stronie przewodu.

Pojechałem w kierunku śródmieścia. Zatrzymałem wóz przed gmachem, gdzie mieściła się redakcja „Tempa”. Był to duży oszklony budynek, zbudowany na wzór amerykańskich biurowców. W dole znajdowała się drukarnia, piętra zajęte były przez redakcję i administrację koncernu prasowego, który obok „Tempa” wydawał jeszcze kilka innych gazet i magazynów.

Wysiadłem z windy na czwartym piętrze. Po przejściu kilku kroków zobaczyłem obite skórą drzwi z umieszczonym nad nimi napisem: Partini - dział miejski. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do jasnego pokoju, w którym stały standardowe biurowe meble. Sekretarka, siedząca za biurkiem, nie przerwała lektury jakiejś powieści w niesamowicie kolorowej okładce.

- Czy jest pan Partini?

Podniosła leniwie głowę znad książki i ogładnęła najpierw moje pantofle, potem spodnie, koszulę i twarz. Na niej najdłużej zatrzymała swój wzrok.

- Jest. Zobaczę, czy jest wolny.

Podniosła się z krzesła i poszła w kierunku drzwi, wiodących do następnego pomieszczenia. Otworzyła je bez pukania.

- Ma pan gościa - powiedziała, wpychając głowę w szparę powstałą przez uchylenie drzwi.

- Prosić - zabrzmiał bas.

Sekretarka wycofała się i usiadła znowu na swoim krześku.

- Jest pan proszony - rzekła, zabierając się do lektury kolorowej powieści.

Gabinet kierownika działu miejskiego był urządzone ze smakiem. Na ścianie spokojne obrazy, przeważnie abstrakcje geometryczne. Fotele obite skórą i duże ciemne biurko.

- Pan Partini? - spytałem.

- Tak. Czym panu mogę służyć? Proszę siadać - wskazał mi ręką jeden z foteli obok biurka.

- Chciałem panu oddać spinkę.

- Spinkę? - zmarszczka pojawiła się na jego czole. - Jaką spinkę?

Wyciągnąłem z portfela spinkę znaną z pokoju, w którym zamordowano Carla Barenzo.

- Zgubił ją pan podczas wizyty w hotelu Santa Caterina.

Przestrzegam, żeby w przyszłości nie podawał się pan za policjanta. W niektórych wypadkach to jest karalne. Oto spinka. Dziennikarz cicho gwizdnął.

- Dziękuję panu. Jest pan diabelnie sprytny. Czego się pan napije?

- Wermutu.

- Nie ma, ale coś na to poradzimy. Mam wódkę Smirnowa. Z kolorową etykietą, jednak płyn nie jest zły.

- Niech będzie Smirnow.

Nalał wódkę do dwóch szklaneczek.

- Przysyłają mi ją z Kanady, tam mam przyjaciół - wskazał na butelkę.

Wypiliśmy. Patrzyłem na niego i przełknąłem płyn dopiero wówczas, gdy jego grdyka poruszyła się, przepuszczając wódkę do żołądka. Nie lubię niespodzianek. Chociaż ten facet nie wyglądał na takiego, który zabawia się dziecinny-
mi sztuczkami.

- Niezłe - odezwałem się, chcąc mu zrobić przyjemność.

Podsunałem mu papierosy. Wziął jednego i podał mi ogień. Bardzo dziwnie ten facet wypuszczał dym. Z jego ust wychodził idealnie równy stożek i trwał przez kilka sekund. Dopiero wtedy powoli rozpływał się w powietrzu.

- Czy ma pan numer ze swoim reportażem?

- Służę - odchylił się w bok i zdjął z półki wczorajszy numer „Tempa”.

Nie chciałem czytać reportażu przed przyjściem do face-ta. Czytając pierwszy raz przy nim, mogłem skonfrontować treść artykułu z osobą autora. To czasem daje zadowalające wyniki.

- Pozwoli pan, że jeszcze raz przeczytam w pana obecności - odezwałem się.

- Proszę bardzo.

Ten człowiek był nadzwyczaj uprzejmy, a reportaż był dobrze napisany. Właściwie były to impresje powstałe z odwiedzin dziennikarza w pokoju, gdzie popełniono morderstwo. Partini podziwiał wygląd mebli, ścian, a przez to osiągnął nastrój grozy. Wyczuwało się, mimo że nie było to dosłownie napisane, że wśród tych zwykłych mebli czai się jeszcze śmierć. Był to idealny reportaż dla pisma czytanego przeważnie przez łaknących sensacji urzędników.

- Czy pan jest z policji? - spytał Partini, widząc, że odłożyłem „Tempo”.

- Nie. Znalazłem po prostu spinę i odniosłem ją panu.

- Lubi pan grać w gry hazardowe - stwierdził raczej niż zapytał.

- Czasami to mi sprawia przyjemność - odpowiedziałem, patrząc mu w oczy.

- Napije się pan?

- Dziękuję. Nie.
- Czym mogę jeszcze panu służyć?
- Może mi pan opowie, dlaczego poszedł pan do hotelu zwiedzać pokój, w którym popełniono morderstwo?

- Przecież to proste. Dla reportażu.
- To wcale nie jest takie proste. Pana obserwowano.

Odezwanie się było celne. Partini lekko przygryzł wargi i poprawił się w fotelu. Oczywiście, trwało to zaledwie sekundę. Wytrawny gracz.

- Jak mnie obserwowano?

Uśmiechnąłem się. Zaskoczenie podbija nogi nawet świetnym graczom.

- To nieważne. Reportaż był bardzo dobry. Gratuluję panu. Gdybym był szanownym ojcem rodziny, to po przeczytaniu zaglądnąłbym pod łóżko, za szafę i we wszystkie inne zakamarki. Wielu urzędnikom będą się dziś śnili ociekający krwią mordercy.

- Jest pan strasznie uprzejmy.
- Czy znał pan Carla Barenzo? - spytałem szybko.

Zawahał się. Strzepnął popiół z papierosa.

- Tak, znałem.
- Czy można wiedzieć, gdzie go pan poznał?
- Można. Pod jednym warunkiem. Pan mi powie, kim pan jest.

- Pomagam policji. Sprawia mi to dość dużą przyjemność. Rozumie pan?

- Jednym słowem, detektyw amator?

- Niezupełnie. W każdym razie nie jest pan daleki od prawdy. I nie pozostaje panu nic innego, jak odpowiedzieć na moje pytania.

- Wprawdzie nie jestem do tego zobowiązany - odpowiedział z uśmiechem - ale mam zwyczaj nie kłamać. Obiecałem panu odpowiedzieć. A więc pana Barenzo poznałem na konferencji prasowej, urządzonej z okazji nowego filmu wyprodukowanego przez jedną z jego wytwórni. Wraz z innymi dziennikarzami zadawałem mu pytania. Potem zostałem zaproszony na bankiet. Tam rozmawiałem z nim prywatnie.

- Czy można wiedzieć, o czym?

- Nie jest pan zbyt uprzejmy. Jeżeli jednak chce pan koniecznie wiedzieć, prowadziliśmy rozmowę na temat kuchni francuskiej. To dosyć zajmujące - dokończył uprzejmie.

- Czy pan zna panią... - tu wymieniłem nazwisko Marii.

- Nie. Kto to jest?

- To zupełnie nieważne. Czy spotkał się pan z nazwiskiem Satellini?

- Owszem. To aktor. Dosyć sławny.

- Czy może pan, jako dziennikarz, powiedzieć coś o jego życiu prywatnym?

- Plotka łączyła go z Ines Loną. Zastrzegam, że to plotka, a nie rzecz sprawdzona. Jest to pozer, bardzo często ma „zagrania”, co mu zresztą przynosi sławę. Egoista, niezbyt odczytany, ale bardzo sprytny. Inteligentny. To chyba wszystko.

- Tak. Satellini ma „zagrania”. Tylko nie wiem, czy pan nie przesadza z tą inteligencją.

- Nie przesadzam. Powiedziałem panu, że Satellini jest nieoczytany, powiedzmy, niewykształcony, ale za to jest inteligentny i sprytny. Ma to, co ludzie nazywają inteligencją wrodzoną. Musi pan zresztą przyznać, że aktor nie musi za dużo czytać.

Roześmieliśmy się.

- Jaki jest pana pogląd na plotki łączące Satelliniego z Ines Loną?

- Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

- Dziękuję. To także jest odpowiedź.

- Niech pan nie będzie dziecinny - odpowiedział. - Po prostu nie mam swego zdania. Świat filmowców nie wychowuje dziewic ani kawalerów uprawiających platoniczną miłość. Z drugiej strony jest wielu ludzi, którzy się ze sobą nie przespali, a plotka umieszcza ich we wspólnym łożu.

- Co pan sądzi o zamordowaniu...? - tu wymieniłem nazwisko Eleganckiego.

- Jeżeli się nie mylę, to ten deportowany ze Stanów gangster? Czy tak?

Przytaknąłem.

- No cóż... Za takim człowiekiem wlecze się przeszłość, uzbrojona czasami w jakieś tępe narzędzie. Przecież taki facet musiał być wmieszany w mnóstwo spraw.

- A czy nie widzi pan związku między tym morderstwem a zbrodnią, popełnioną na filmowcu? - spytałem, nie podnosząc głosu.

Partini przez chwilę nie odpowiadał.

- Więc jaki jest pana sąd? - ponowiłem pytanie.

- „W świecie przestępczym krzyżują się szlaki” - jak napisał jeden z naszych autorów powieści kryminalnych. Bardzo możliwe, że istnieje związek między tymi dwoma sprawami. Ja go nie widzę.

- Załóżmy - odezwałem się ciepłym głosem - że pewnego dnia oskarżyłbym pana o dokonanie morderstwa na osobie Carla Barenzo...

- Postarałbym się znaleźć alibi - odpowiedział z zabawnym grymasem dziennikarz.

- A gdybym to alibi obalił?

- Prawdopodobnie by się to panu nie udało. Ale zamiast straszenia proponuję kieliszek.

Kiwnąłem aprobowująco głową.

- Gdyby trafił pan na człowieka bez poczucia humoru - odezwał się po wypiciu wódki - to ten człowiek poczułby

do pana głęboką urazę. I kto wie, czy przy pierwszej lepszej okazji nie postarabły się pana zlikwidować.

- To, co pan mówi, nie jest pozbawione pewnej słuszności - odpowiedziałem kurtuazyjnie.

- Cieszy mnie to bardzo. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Owszem. Na przykład chciałbym się zapytać, co pan wie o człowieku, który się nazywa Maurizio Barenzo?

- A... psychoanalityk. Dość ekscentryczny. Gazety co pewien czas donoszą o jego nowych pracach z dziedziny psychoanalizy. Prawdopodobnie nie mają one większej wartości naukowej, ale przynoszą mu popularność. Charakterystyczne jest, że pan Maurizio Barenzo nie wykorzystuje popularności do zwiększenia liczby swych pacjentów. Jak głośno fama, bardzo rzadko przyjmuje normalnych pacjentów i bierze od nich honoraria. Przeważnie leczy swych znajomych ze sfer plutokratycznych i arystokratycznych. Przy tym niezrozumiałym postępowaniu jest bardzo łasy na pieniądze. Musi pan pamiętać, że od swoich przyjaciół nie przyjmuje pieniędzy za leczenie, a jak powiedziałem, leczy przeważnie przyjaciół. Jego skąpstwo, szczególnego rodzaju skąpstwo, w pewnych kręgach jest przysłowiowe. Objawia się to w ten sposób, że Maurizio Barenzo skupuje drogie kamienie. Podobno ma ich piękną kolekcję.

- Skąd pan to wszystko wie?
- Jestem przecież dziennikarzem, no i Carlo...
- Opowiadał o tym - dokończyłem za reportera.
- Tak - odezwał się z wahaniem. - Carlo Barenzo wspomniał raz o dziwactwach swego brata. Pamiętam, powiedział wtedy, że na urodziny kupuje bratu drogie kamienie.
- Czy zna pan jakąś pracę tego miłego dziwaka?
- Czytałem „Błędy Junga”. Muszę się panu przyznać, mimo że nie jestem fachowcem, iż argumenty wydawały mi się cokolwiek szarłatańskie. Zastrzegam sobie prawo do pomyłki, przecież jestem laikiem.
- Czy według pana Maurizio mógł zamordować swego brata?
- Nie... Kto morduje opiekuna, dostarczającego pieniędzy? Zresztą mord popełniony przez Maurizia byłby bardziej wyrafinowany.
- To co pan mówi, nie jest zbyt mądre - przerwałem dziennikarzowi - nie zna pan przecież testamentu, a człowiek o inteligencji takiej jak Maurizio, chętniej zabije nożem, gdyż jest to zbrodnia prostacka i przez to odsuwa na dalszy plan wszelkie podejrzenia co do własnej osoby. Ale mniejsza z tym.
- To ciekawe. Mam zamiar napisać sprawozdanie z

naszej rozmowy. Publiczność czytałaby z wielką przyjemnością.

- Nie zrobi pan tego - odpowiedziałem, zapalając świeżego papierosa - gdyż znam pana zachowanie w pokoju hotelowym. Sądzę, że wystarczyłoby poinformować policję, iż przybył jej jeszcze jeden współpracownik. Ta drobnostka, nie mówiąc już o poprzedniej sprawie, jest wcale dobrym hamulcem pańskich zapędów dziennikarskich.

- Tym razem jestem pobity - odparł bez śladu zażenowania. - Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać pana. Sądzę, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

- Będę się bardzo cieszył.

Wyszedłem. Sekretarka, siedząca w następnym pomieszczeniu, tym razem podniosła głowę znad książki i posłała mi miły uśmiech.

Zatelefonowałem z najbliższego automatu do Franca. Podziękowałem za pomoc i oświadczyłem, że za kilkanaście minut będę siedział obok jego biurka. Zgodnie z moją zapowiedzią, kilkanaście minut po telefonie, ścisnąłem dłoń Franca i z uśmiechem spoglądałem na flaszkę wermutu.

- Stary, muszę ci powiedzieć, że wcale nie jest wesoło. Szef się dowiedział, że bierzesz udział w tej sprawie, i wścieka się. Zapowiedział mi, że w wypadku znalezienia przez ciebie mordercy nie mam co liczyć na awans, i to

przez kilka przyszłych lat; nie mogę sobie odmówić przyjemności powtórzenia ci słów szefa. Powiedział: „Jakby ten gość był mniej sławny i bogaty, to zamknęłoby się go i spokój, a tak to wszędzie wpycha swój śmierdzący nos”.

- Uprzejme to nie jest - powiedziałem wargami cierpkimi od wermutu.

- Nie jest - zgodził się Garden - ale gwóźdź dzisiejszego programu leży gdzie indziej. Mam do ciebie prośbę: jeżeli znajdziesz faceta, powiadom mnie o tym.

- To ma być gwóźdź?

- Niestety tak. A teraz jeżeli chcesz, opowiedz mi o celu tej wizyty.

- Po prostu chciałem ci oświadczyć, że za kilka dni przyprowadzę ci mordercę... Albo ci go wskażę. Prawdopodobnie nastąpi ta druga ewentualność.

Gwizdnął przez zęby.

- To zapowiada się wcale interesująco.

- Posłuchaj rady kolegi. A rada ta brzmi: pospiesz się. Mogę ci pomóc przypomnieniem, a właściwie ułożeniem faktów. Resztę musisz wykonać sam. I nie opowiadaj bajeczek o pracy mózgu, co robiłeś dzisiaj z dużym powodzeniem przy kawie z nugatem.

- Mów, chętnie posłucham. „Uporządkowanie - to połowa pracy” jak mówił sir Robert Peel.

- Dobrze, słuchaj uważnie i wyciągaj jakie tylko chcesz wnioski.

Mówiłem przez godzinę. Oświetlałem z różnych pozycji fakty, które się zdarzyły po śmierci Carla Barenzo. Nie wspomniałem natomiast o rozmowach i wypadkach, które powstały przy mojej pomocy. Z Gardenem rozumieliśmy się dobrze. Byliśmy wobec siebie lojalni, ale wyniki naszej pracy zostawialiśmy dla siebie. Oczywiście, że w nagłych wypadkach udzielaliśmy sobie pomocy, ale każdy pracował sam.

Nie wspomniałem o Satellinim, o Marii ani o bracie zamordowanego. Nie wspomniałem o Partinim.

Po wyjściu z mieszkania Franca skierowałem się do najbliższego automatu telefonicznego. Zadzwoiłem do Ricarda. Francesco i Ricardo byli to moi najlepsi ludzie.

- Halo, Ricardo, będziesz śledził człowieka nazwiskiem Partini. Przyjdzie ci to tym łatwiej, że ów człowiek jest dziennikarzem takim, jak ty kiedyś byłeś. To znaczy zdolny, ale leniwy.

- Szefie, co też szef mówi. Niech mnie jasna krew wraz z telefonem zaleje, jeżeli jestem leniwy.

- Dobra, dobra... - przerwałem potok elokwencji - zapisz sobie lepiej adres redakcji. Jutro rano chcę mieć informacje. Będę w biurze. Podaję adres...

- Czołem, szefie, co z tą miłą blondynką?
- Żyje. Nie widziałem jej od kilku dobrych dni.
- Cholera! Taką blondynkę puścić - stęknął Ricardo - przecież to grzech. Niech się w świnię przemieni, jeżeli to nie jest grzech.
- Przemień się - poradziłem życzliwie i położyłem słuchawkę.

Jechałem ulicami Rzymu. Zapadał zmierzch. Koło Stelli jechałem dosyć wolno, niestety lokal był jeszcze zamknięty. Mimo to melodia „Marszu Żółtodziobów”, gwizdana przeze mnie, zagłuszała muzykę płynącą z radia umieszczonego w desce rozdzielczej.

Jedną z nielicznych rzeczy, które bardzo lubię, są wieczory rzymskie. Kobiety nabierają wdzięku niedostępnego dla nich w świetle dziennym. Mężczyźni stają się zręczniejsi i łatwiej się poruszają. Wiedzą, że nadchodzi czas rozrywek. Alkoholicy uśmiechnięci wchodzą do barów. Dzieci hałasują, wykorzystując każdą chwilę przed udaniem się do łóżek. Panuje nastrój oczekiwania na bliżej nieokreślone przeżycia, które ze sobą przyniesie noc. Przedmioty i ulice widać jeszcze wyraźniej, ale już nie tak, jak podczas dnia; guma wieczoru przejechała się po domach, zamazała wyraźny, naturalistyczny rysunek. Za chwilę przyjdzie noc, odrealni miasto przez światła i neony, zrobi z niego labirynt

czerwonych, niebieskich, żółtych i zielonych żył, korytarzy, liter zachwalających papierosy, sklepy, makaron i dalekie podróże.auta, skutery i ludzie będą krążyli ulicami, twarze ich będą niebieskie lub czerwone, zależnie od neonu.

Jechałem powoli, otaczało mnie łagodne powietrze letniego wieczoru, nie zapalono jeszcze świateł. Prowadziłem wóz automatycznie, myślałem o rzymskich wieczorach i błyskających światłami nocach, wskrzeszałem w sobie obrazy pozostałych za mną wieczorów i kobiet. Wszystkie kobiety, ich imiona i uśmiechy, ubiory i powiedzonka przeleciały przez moją pamięć w ciągu paru sekund, a właściwie te smutne i wesołe twarze zlały się w jedną, doskonale piękną twarz Marii.

Mogłem do niej jechać. Umówiłem się z nią na wieczór, a więc niezbyt dokładnie, wolałem jednak odłożyć spotkanie o godzinę. Oczekiwanie jest przyjemniejsze i podnieca mnie bardziej niż rzecz dokonana. Kiedy oczekuję, pracuje wyobraźnia, kiedy działam, pracuje ciało i instynkt.

Zatrzymałem wóz przed małym barem. Wszedłem do środka i zamówiłem kieliszek wermutu, kupując jednocześnie paczkę papierosów. Usiadłem przy barze na wysokim krzeselku. Nie chciałem za dużo pić. Wyobraźnia pracowała. Trzymałem w dłoni kieliszek z wermutem, patrzyłem na

niego i widziałem Marię leżącą obok mnie. Nagle moje spojrzenie natrafiło na mężczyznę wpatrującego się we mnie z pozorną nonszalancją, tak dobrze mi znaną. To mnie otrzeźwiło. Przypatrzyłem mu się uważniej. Odwrócił wzrok. Zrobił to naturalnie. Twarz mężczyzny była mi znajoma. W spojrzeniu tego człowieka, w przesadnie niedbałej pozie, było coś, co musiał zauważyć niejeden ze skazańców w twarzy i postaci swego kata, przygotowującego się do egzekucji. Pomogła mi rutyna. Widziałem wielu ludzi, którzy mieli do mnie strzelać, pchnąć mnie nożem czy uderzyć kastetem. Niektórzy z nich mieli to „coś” w ruchach i na twarzy.

Otworzyłem świeżą paczkę i zapaliłem papierosa. Rozejrzałem się. Prawdopodobnie ten facet nie miał w barze współników. Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam jego twarz. Zeskoczyłem z krzeselka. Facet poruszył się nieznacznie. Do toalety, której drzwi przykryte były zasłoną z paciorków, wszedłem, nie oglądając się. Nie zamknąłem za sobą drzwi. Patrząc przez szparę powstałą przez odchylenie drzwi i przez dziurkę w zasłonie, odbezpieczyłem jednocześnie w kieszeni rewolwer. Nie używałem nigdy broni automatycznej. Wolałem pewny bębenkowiec, który nie może się zaciąć. W wyjątkowych okazjach, jak przy likwidowaniu wraz z Gardenem gangu „Niebieskich krawatów”,

używałem pistoletu maszynowego. Ale tam musieliśmy mieć osłonę ogniową. Facet siedział, nie poruszając się. Wychodząc z toalety, umyślnie skrzypnąłem drzwiami. Mężczyzna odwrócił się. Szedłem sprężystym krokiem z triumfującą miną urzędnika, który załatwił swą potrzebę naturalną.

Wskoczyłem na krzesło i radośnie zabujałem nogami. Musiałem mieć minę skończonego idioty. Położony na brzegu baru papieros podczas mojej nieobecności spadł na podłogę; zapaliłem nowego. Kiedy zauważyłem, że siedzący przy barze mężczyzna trzyma w ustach camela i obmacuje się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek czy zapalniczki, rozkosznie zagruchałem:

- Służę panu ogniem - i wsadziłem mu pod nos moją zapalniczkę, płonąca równym płomieniem z krótko obciętego knota.

- Dziękuję - mruknął, nie wyjmując z ust papierosa.

- Nie ma za co, przecież to drobnostka - zapewniłem go serdecznie - może się pan napije?

- Dziękuję, muszę już wyjść.

- Och! Jaka szkoda. Taki przyjemny wieczór - befkotałem milutko.

Facet wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki banknot, położył go na kontuarze i zeskoczył z krzeselka. Długimi krokami poszedł ku wyjściu.

Gdy tylko je przestąpił, rzuciłem barmanowi banknot i podbiegłem do drzwi. Facet wsiadał do fiata 1100. Zapisałem numer rejestracyjny. Odczekałem, aż fiat odjedzie. Wyszedłem z baru i wsiadłem do lancii. Wiedziałem, a właściwie czułem, że gra z facetem, który odjechał, nie skończyła się. Wprost przeciwnie: zaczęła się.

Jechałem wolno ulicami Rzymu. Podniecenie wróciło. Wiedziałem, że jadę w kierunku mieszkania Marii.

O godzinie dziesiątej wieczorem Maria obróciła się na drugi bok. Patrzyłem na jej piersi, płaski brzuch i szczupłe nogi. Wzięła moją twarz w dłonie i powiedziała:

- Musisz już iść, kochany.

Przytuliłem ją jeszcze raz do siebie i pocałowałem lekko w usta. W oczach jej była tkliwość. Zeskoczyłem z łóżka i zacząłem się ubierać. Kilkanaście minut po godzinie dziesiątej wychodziłem z kamienicy, w której mieszkała Maria. Wsiadłem do auta i spuściłem boczne szyby. Uruchomiłem silnik. Wiatr wpadł do wozu, burząc mi włosy.

Zaparkowałem wóz niedaleko Stelli. Portier przepuścił mnie z ukłonem. Przeszedłem obok stolika zajętego przez

parę młodych ludzi, wpatrzonych w siebie z owym szczególnym wdziękiem zakochanych; zauważyłem, że dziewczyna miała na rękę bransoletę o bardzo dziwacznej formie, złożoną z kutyh w srebrze i złocie, a może i innym metalu, otwartych krokodylich pysków. Była to dobra wróżba, widok gadów, obojętnie czy żywych czy też ich wizerunków, zawsze przynosił mi szczęście.

W Stelli znalazłem się po raz pierwszy przed dwoma laty, wszedłem tu wówczas przypadkowo, aby wypić coś silniejszego. Duża sala, dosyć niska, lecz o świetnej klimatyzacji, sufit szklany, z którego sączyło się liliowo-różowe światło. Duży, na kształt baszty zbudowany bar, wokół którego biegły wysokie krzeselka - oto szkic tego lokalu. Stoliki umieszczone były pod ścianami, bar zajmował środek

Pragnienie osiadło mi w przełyku i na podniebieniu. Po godzinach spędzonych z Marią został we mnie, a właściwie w moich ustach, cierpki, przyjemny smak smażonych migdałów; dlatego poprosiłem o coca-colę. Spojrzałem na kelnera. Miał duże, ciemne oczy i czerwone wargi. Wsunąłem mu w rękę banknot.

- Gdy się zjawi pan Enrico Ranzoni, proszę go do mnie przyprowadzić - powiedziałem uprzejmie.

- Dobrze - odpowiedział kelner.

Po chwili na stoliku zjawiała się cola. Wypiłem ją, nie odrywając szklanki od ust, a potem zapaliłem papierosa. Spojrzenie moje padło na bar. Siedzieli przy nim przeważnie młodzi mężczyźni w modnych ubraniach. Wśród nich znajdowały się trzy kobiety, jedna stara, jaskrawo umalowana, prawdopodobnie Amerykanka, i dwie młode dziewczyny. Stara Amerykanka była pijana i co chwila głośno wykrzykiwała angielskie słowa do swego towarzysza, nobliwego pana w złotych okularach. Ten uśmiechał się niewyraźnie i zamiast odpowiedzi, przykładał swój kieliszek do ust.

Ktoś mnie delikatnie trącił w ramię. Obejrzałem się. Za mną stał kelner, trzymając za ramię chłopca najwyżej dwudziestoletniego, o brutalnej urodzie apasza.

- Dziękuję - zwróciłem się do kelnera, wskazując jednocześnie chłopcu krzesło. Kelner odszedł.

- Czego się pan napije?

- Niczego. Jaki ma pan do mnie interes? - spytał ostro.

Pomyślałem: „Zgrywa się”.

- Za chwilę o tym porozmawiamy. Na policjanta chyba nie wyglądam, co?

- Dlaczego akurat na policjanta? - udał zdziwienie.

- Drogi panie - odpowiedziałem grzecznie - to ja mam

do pana interes, a nie odwrotnie. Sądzę, że do załatwienia tego interesu mogłoby się znaleźć jeszcze kilku innych takich jak pan. Czy zostałem zrozumiany?

- Słucham.

- Polecili mi pana moi znajomi...

- Którzy?

- To nieważne. Wybaczam panu to pytanie ze względu na młody wiek.

- Pan nie jest o wiele starszy ode mnie - odpowiedział.

Tego się spodziewałem; przypuszczałem, że musi zostać przez mego rozmówcę wypowiedziane jakieś cieplejsze zdanie.

- Zupełnie o tym zapomniałem - odparłem, uśmiechając się.

Odwzajemnił uśmiech.

- Czego się napijesz? - przeszedłem na „ty”.

- Cocktaile na oliwce.

„To jeszcze chłopiec” - pomyślałem. Zawołałem przechodzącego kelnera.

- Dwa cocktaile na oliwce.

Kelner skłonił się, lecz w jego wzroku, a właściwie w wyrazie twarzy zauważyłem skrywaną ciekawość.

- Interes polega na tym, że będziesz przenośli kilka razy w miesiącu walizki z jednego mieszkania do drugiego.

Po wyrazie twarzy siedzącego naprzeciw mnie młodzieńca poznałem, iż uwierzył w tę bajeczkę.

- Dlaczego ja?

- Dlatego, że jesteś przystojniak. W grę będą wchodzić kobiety.

- To może być ciekawe - rzekł i cwaniacko przymrużył oko.

Kelner przyniósł cocktaile.

- Czego tu stoisz? Zjeżdżaj - mruknął w jego kierunku Enrico Ranzoni, widząc, że sługa gastronomii zbyt długo ściera stół z nieistniejących kurzów. Kelner odszedł, mając na ustach pogardliwy uśmiech obrażonej damy dworu.

- Znasz tu wszystkich - zauważyłem lekko.

- Zna się trochę ludzi - jakby w przestrzeń powiedział chłopiec.

- Dziewczynki cię też znają.

- Widzę, że ma pan dobre informacje.

- Cóż zrobić - wzruszyłem ze skromnością ramionami.

- Tylko u niektórych kobiet mam brzydką opinię. Myślałem, że jak się z nimi nie pójdzie do łóżka, to się jest nie-normalnym. Nie lubię mieć kobiet za pieniądze - dokończył pogardliwie. Roześmiałem się. Popatrzył na mnie zdziwiony, a potem również się roześmiał.

- Dopijmy te mydliny i wychodzimy - powiedziałem stanowczo.

Ranzoni skinął potakująco głową. Po kilkunastu minutach stanęliśmy przed moim wozem.

- Dokąd jedziemy?

- Do mnie - odpowiedziałem krótko.

W czasie drogi milczeliśmy. Gdy wprowadzałem wóz do garażu, Ranzoni spytał:

- Jak się pan nazywa?

- To nieważne. Dowiesz się w swoim czasie. Otworzyłem drzwi mego mieszkania.

- Przyjemnie tutaj jest - powiedział Ranzoni.

- Siadaj w fotelu i zmień w końcu płytę - rzekłem oschle.

- Co to znaczy?

- Przestań szczebiotać. Co robiłeś wczoraj przed południem?

- Niech mnie pan wypuści - chłopiec podniósł się z fotela - w przeciwnym wypadku pójde poskarżyć się policji.

- Nie zgrywaj się. Jeżeli tak marzysz o policji, to mogę po nią zadzwonić. Mnie uwierzą szybciej niż tobie. Tam siedzą moi znajomi.

- Musi mnie pan w tej chwili wypuścić. Słyszysz pan?

- Słyszę, i to dość dobrze. Nie krzycz. Nic ci to nie pomoże.

- Świnia - wrzasnął histerycznie - znam takich, ty świnio!

- Jeżeli nie przestaniesz mnie obrażać... Jeżeli w ogóle powiesz jedno słowo nie zapytany, rozkwaszę ci buzię.

Odchyliłem głowę w prawo. Ciężka, metalowa popielniczka przeleciała obok mnie w odległości paru centymetrów. Facet skoczył, chwycił rękoma miękkie metalowe krzesło, i w tejże samej chwili otrzymał silne uderzenie w podbródek. Podskoczył na wysokość około trzydziestu centymetrów w górę i runął w dół. W ostatnim momencie udało mi się go chwycić za kłapy, a przez to uratować jego głowę od zetknięcia z podłogą. Przeniosłem go z powrotem na fotel. Usiadłem naprzeciw, na krzeselku, którym miał mnie zamiar uderzyć. Czekałem, aż otrzeźwieje. Po pięciu minutach facet przyszedł do siebie. Popatrzył na mnie tępym wzrokiem. Po chwili twarz jego zmieniła swój wyraz: pojawiła się nienawiść, co najdobitniej objawiało się w zmruczeniu oczu.

- Co robiłeś wczoraj przed południem?

Nie odpowiedział.

- Radzę ci mówić. W przeciwnym wypadku sprawię ci taką łaźnię, że nie zapomnisz o niej przez wiele lat - powiedziałem pieszczotliwie.

- Spałem.

- Gdzie?

- A gdzie się śpi? - spytał retorycznie. - Śpi się w domu.

Podniosłem się z krzeselka i podszedłem do Enrica.

- Jeżeli nie będziesz mówił prawdy... Zresztą wiesz już, jak ja biję.

- Byłem w pewnym hotelu.

- W porządku. Zaczynasz być rozsądny. Oszczędź sobie informacji. Wiem, że byłeś z Carlem Barenzo.

Nie próbował już ukrywać strachu. O ile poprzedni grymas pojawił się i znikł, jakby był tikiem, to teraz strach wykrzywił mu mięśnie, otaczające usta, i grymas trwał, zmieniając twarz Enrica w dziwną maskę.

- Ja mu nic nie zrobiłem. Kazał mi się wynosić i powiedział, że go takie rzeczy nie interesują. A po południu przeczytałem w gazetach, że go ukatrupili. Dlatego wczoraj nie byłem w Stelli. Bałem się. Skąd ja mogę wiedzieć, że pan go nie ukatrupił? Skąd ja mogę to wiedzieć! - wykrzyknął nienaturalnie wysokim głosem i rozplakał się.

- Jakie rzeczy go nie interesowały?

- Chciałem mu sprzedać... Widziałem, to można zaraz poznać, że gość był ładowany.

- Co chciałeś sprzedać?

- Kokainę.

- O której wyszedłeś z hotelu?

- Kilka minut po wpół do jedenastej - odpowiedział po chwili zastanowienia.

- Uspokój się. Byłeś przedtem twardy, to bądź nim teraz. Nie nadajesz się do takich rzeczy, jakie teraz robisz. Przestań płakać i zmień fach. Albo go nie zmieniaj. Nic mnie to nie obchodzi.

- Co teraz będzie ze mną? - spytał, ocierając łzy.

- Możesz iść. Na drugi raz, rzucając popielniczką, pamiętaj o refleksie przeciwnika. I jeszcze jedno. Przyciśnij palce do tego papieru. W porządku. Nie miej do mnie pretensji. Kto wie, czy nie uratowałem cię od czegoś znacznie gorszego. No, zmykaj.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, potem przeniósł wzrok na swoje palce, które dopiero co położył na papierze o lekko brunatnym nalocie, następnie szybkim ruchem wyjął z kieszeni chusteczkę, powycierał twarz i zerwał się z fotela. Chciał się uśmiechnąć, ale twarz wykrzywiła mu się boleśnie.

- Do jutra powinno ci przejść – powiedziałem miękko, widząc jego skrzywienie. - Jesteś na razie mały cwaniak, ale już niedługo będziesz dużym cwaniakiem. Wtedy sobie to wynagrodzisz. Czołem.

Odprowadziłem go do drzwi. Potem wszedłem do łazienki i wziąłem gorącą kąpiel. Po kąpeli ogoliłem się i owinięty kąpielowym płaszczem w biało-czarne, poziome pasy, udałem się do pokoju. Usiadłem na krześle obok stolika, na którym stał telefon, i nakręciłem numer mieszkania

Franca.

- Halo! - wykrzyknąłem - dobrze, że jesteś.
- Ale zaraz mnie nie będzie. Wychodzę.
- Baw się miło! Bądź tylko tak dobry i powiedz mi, kto pierwszy doniósł o morderstwie w hotelu?
 - Właścicielka. Wróciła z posterunku policji, gdzie, jak ci wiadomo, załatwiała swoje sprawy, i idąc korytarzem pierwszego piętra zauważyła otwarte drzwi numeru siedemnastego. To, co zobaczyła, skłoniło ją do zawezwania policji.
 - Chciałbym znać twoje zdanie. Dlaczego nie wezwała policjanta z komisariatu mającego w opiece tę dzielnicę?
 - Widocznie im nie ufała.
 - W porządku. I jeszcze jedna sprawa. Czy masz fotografię odcisków?
 - Tak i to dość dużo. Niepokoją mnie szczególnie odciski męskich palców. Jest ich bardzo dużo.
 - Gdzie się teraz wybierasz?
 - „Me serce nie zdradza tajemnic swych” - zaśpiewał Franco.
- Szkoda. W takim razie wpadnę jutro do wydziału o godzinie dziesiątej... przepraszam, dzisiaj. Jest godzina zero dziesięć.
- Będę czekał, formalisto - pożegnał mnie Garden i położył słuchawkę.

Wszystko układało się pomyślnie. Enrico prawdopodobnie mówił prawdę. Na jego korzyść przemawiały godziny. Mógł się widzieć z Carlem po wpół do jedenastej, ponieważ Barenzo wyszedł z mego biura o godzinie dziesiątej dziesięć. Jazda autem z placu Garibaldiego do hotelu zabiera około piętnastu minut. Tak, to by się zgadzało. Następny punkt, to życzenie potentata, by Enrico opuścił hotel. Zakładając, iż to jest prawda, Barenzo miał się z kimś spotkać. W takim razie dlaczego umawiał się z kochankiem? Można to tłumaczyć požądaniem, ale jeszcze pozostaje pytanie, dlaczego tak bogaty człowiek umawiał się w obskurnym hoteliku. W przypadku Enrica jest to zrozumiałe. Chciał uniknąć rozgłosu. Jednak w tym miejscu koło się zamyka. Mógł przecież zrezygnować ze spotkania z chłopcem lub też nieznanymi czy nieznanym. Zakładając, że Barenzo chciał utrzymać w tajemnicy również drugie spotkanie, należy wy badać hotelarkę, czy hotelik był stałą meliną filmowca, czy też trafił do niej przypadkowo.

Z tego wszystkiego wynikało, że Barenzo nie prowadził tak krystalicznego życia, jak mnie o tym zapewniała większość rozmówców. Można by przypuszczać, iż go ktoś szantażował. Nie jest to jednak zbyt prawdopodobne. Facet był bogaty i sprytny. Ostatecznie miał za sobą przeszłość

przestępczą. Elegancki wspominał o jego załamaniu, ale to prawdopodobnie była niechęć do ryzyka, zupełnie niezrozumiała u człowieka, który zrobił forszę.

Nie jest wykluczone, że strach, jaki okazywał w moim biurze, był udany. Z drugiej strony, może wiedział, co mu grozi i bał się. Pośmiertny grymas strachu na twarzy filmowca o niczym nie świadczy. Wybierając drugą ewentualność, że strach był prawdziwy, trzeba się zastanowić, czy Barenzo wiedział, iż był śledzony. Za tym, że był śledzony, przemawia telefon, jaki odebrałem po wyjściu Carla z mego biura. Możliwe jest jednak, że Barenzo opowiadał o zamierzonej wizycie w moim biurze. No tak... kilka osób o tym wiedziało. Między innymi Elegancki. Śmierć magnata filmowego była połączona jakąś nicią ze śmiercią Eleganckiego. Lecz to tylko przypuszczenia, które podpowiadał mi instynkt...

Dalsze rozmyślania przerwał zegar, wydzwaniający kwadrans na pierwszą. Położyłem słuchawkę na widełki. Przez te kilka minut rozmyślań trzymałem ją w ręku. Roześmiałem się głośno z własnego roztargnienia. Zrzuciłem z siebie płaszcz kąpielowy i zacząłem gimnastykę, poleconą mi przez jednego z hinduskich przyjaciół.

Kilkanaście minut potem zjeżdżałem windą do garażu. Sprawdziłem stan benzyny, przetarłem szybę i otworzyłem

ciężkie, żelazne drzwi garażu.

Snop światła reflektorów lancii padł na chodnik, oświetlił małego pieska, który przez chwilę stał nieruchomo, po czym umknął. Spojrzenie moje powędrowało na drugą stronę ulicy, stał tam jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu, zasłaniając twarz rękami.

Światło reflektorów oślepiło go. Sylwetka wydała mi się znajoma. Tak... To był człowiek z baru. Wyszarpnąłem z kieszeni rewolwer.

Podczas odbezpieczania na sekundę spuściłem głowę.

Kiedy wybiegłem z garażu, człowiek z przeciwległego chodnika znikł. Stałem w świetle reflektorów z lancii. Kula uderzyła o żelazne drzwi garażu. Uskoczyłem w cień. Przy końcu ulicy zapuszczano motor. W świetle lampy, na rogu ulicy, zobaczyłem odjeżdżającego fiata 1100. Brzydko zakląłem. Pościg nie miał sensu.

Mieszkałem w dzielnicy willowej, o niezliczonej ilości wąskich uliczek, alei, zagajników, skwerów, wśród których łatwo się jest ukryć.

VI

Odczekawszy kilka minut, wyprowadziłem wóz z garażu i zamknąłem żelazne drzwi. Pojechałem w kierunku przedmieścia. Auto zostawiłem za zakrętem ulicy przy której stał hotel Santa Caterina. O tej porze dzielnica zasypiała. Rzadko widziało się oświetlone okna. Jedyne z knajpki dochodził szum głosów i muzyka z automatu. Podeszedłem pod hotel. Dwadzieścia metrów od niego stał fiat 1100. Nie było w tym nic dziwnego, moi rodacy bowiem gustują w fiatach i z tego powodu są ich tysiące... Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie numer. Był mi znajomy. Wyjąłem notes i cicho gwizdnąłem. Numer stojącego o kilka metrów fiata był zapisany w moim notesie. Tym wozem odjechał człowiek, w którym wyczułem wroga, a nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam jego twarz

Przeszedłem kilkanaście metrów i ukryłem się za oszlawaniem z desek. Moja kryjówka nie była wprawdzie

najbezpieczniejsza, ale za to dość wygodna. Myślałem z sympatią o właścicielu domu, stojącego naprzeciw hotelu; jego pomysł, by otynkować dolną część kamienicy, co wymagało oszalowania z desek, był nader szczęśliwy. Usiadłem na skrzynce, która w niewiadomym mi celu została położona za oszalowaniem, i przez szparę między deskami, szerokości kilku centymetrów, zacząłem obserwować hotel. Przypuszczałem, że pasażerowie czy pasażer fiata bawił właśnie tam. Siedem okien było oświetlonych. Trzy na pierwszym piętrze, cztery na drugim. Wszystkie okna były zasłonięte. Od czasu do czasu na zasłonach w oknach pierwszego piętra pojawiały się sylwetki. Nie mogłem rozróżnić czy kobiece, czy męskie.

Nagle w dole ulicy zabrzmiał jakiś dźwięk. Zesztywniałem w oczekiwaniu, ale to tylko spóźniony przechodzień głośno wyśpiewywał piosenkę o tęsknocie i stałości. Piosenka stawała się coraz głośniejsza; śpiewak szedł w moim kierunku. Głos miał czysty i dźwięczny. Słuchanie piosenki nie stanowiło przykrości.

Śpiewający mężczyzna stanął w świetle lampy, żółte światło otoczyło go jak aureola. Człowiek ten oddalony był ode mnie około dziesięciu metrów. Zobaczyłem jego profil. Ułamek sekundy dzielił mnie od zagwizdania „Marsza Żółtodziobów”. Ten profil znałem dobrze. Widniał na fotografii,

dołączonej do akt „Zabójstwa jubilera w domu pod Mediolanem”. W tejże samej chwili przypomniałem sobie, skąd znam człowieka z baru. Jego twarz, wprawdzie trochę zamazana, widniała na tej samej fotografii. Ludzie Eleganckiego.

Zdjęcia dostarczył mi Vittorio. Zrobił je w restauracji, wiedząc, że w grupie siedzącej przy bogato zastawionym stoliku znajduje się facet znany policji z meldunków o zgubieniu zegarka. Vittorio dostał ode mnie za tę fotografię 50 000 lirów. Pomogła mi ona odgadnąć, kto jest sprawcą napadu na jubilera.

Facet włożył ręce do kieszeni i śpiewał:

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że chudnę i więdnę jak kwiat.
Tęsknię za tobą tak bardzo,
że przestał istnieć dla mnie świat.

Szczęknięto otwierane okno na pierwszym piętrze. Stał w nim mężczyzna i zawołał aroganckim tonem:

- Mógłbyś już iść spać, pijaku - po czym zatrzasnął okno na powrót.

Mężczyzna, stojący w świetle latarni, zaśpiewał:

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że chudnę i więdnę jak kwiat.

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że przestał istnieć dla mnie świat.

Śpiew urwał się nagle. Mężczyzna rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, i równym krokiem, na który by się nie zdobył żaden pijak, podszedł do fiata. Otworzył drzwiczki i zajął miejsce przy kierownicy. Przez chwilę siedział odchylony do tyłu, a potem złożył ręce i głowę na kierownicy. Zdawał się spać. Światła postojowe jarzyły się słabo.

Z knajpki czyjeś ramiona wypchnęły wśród przekleństw pijaka. Upadł na chodnik. Leżał nieruchomo przez minutę. Nagle jego ręce zatrzepotały jak skrzydła wiatraka, facet podźwignął się i zataczając nogami łuki elipsy, powlókł się w kierunku miasta. Mężczyzna w fiacie siedział nieporuszony.

Zza rogu wyszły jakieś postacie. Głośno człapały butami. Wkrótce rozróżniłem dwóch facetów. Duży i mały. Trzymali ręce w kieszeniach spodni. Byli typowymi okazami podmiejskich opryszków. Zniszczone ubrania, kołyszący chód. Przechodząc obok fiata kopnęli, ot tak od niechcenia, koła. I splunęli. Siedzący za kierownicą mężczyzna nie podniósł głowy. Faceci, obejrzeni się i nie widząc spodziewanej reakcji, zgodnym chórem powiedzieli: „Świnia” i poszli dalej.

W jednym z okien drugiego piętra zgasło światło. W tej samej chwili gdzieś w górze, na dachach, rozległ się - niezwykły w tym miesiącu - pisk kotki. Był to odgłos podobny do krzyku mordowanego człowieka. Facet w fiacie poruszył się.

Z okna kamienicy, pod którą siedziałem, dał się słyszeć płacz dziecka. Trwał około trzech minut; dziecko zachłystywało się, piszczalo, buczało i wydawało wszystkie dzieciom właściwe odgłosy. Płacz skończył się równie nagle, jak rozpoczął.

Głowa faceta spoczywała na kierownicy. Brama hotelu była oświetlona staroświecką latarnią z mosiądzu i szkła. Wewnątrz niej umieszczona została żarówka, prawdopodobnie czterdziestowatowa. Szybki w latarni były dwukolorowe: białe i żółte. Za chwilę w jej świetle zobaczyłem człowieka z pubu; albo kogoś zupełnie innego.

Powiał ciepły wietrzyk. Z jezdni podniósł się mały kłęb kurzu. Noc zabarwiała pył na granatowo. Zapaliłbym chętnie papierosa. Niestety, było to niemożliwe.

W oknach pierwszego piętra częściej migają sylwetki. Ulicą przebiega mały, zaniedbany pies. Biegnie z podkulonym ogonem. Okrąża dużym łukiem plamę światła, padającą z knajpki. Wietrzyk przynosi zapach zjełczałego tłuszczu. Pies zawrócił, umyka przed czymś, czego jeszcze nie

widzę, grzbiet ma wygięty. Mimo zaniedbania ma szlachetną sylwetkę. Tak... pies uciekł przed młodym mężczyzną, prowadzącym motocykl. Mężczyzna jest przygarbiony, opiera się na kierownicy. Patrzącemu wydaje się, że to motocykl go ciągnie, a nie odwrotnie. Motocyklista przystanął przy fiacie, popatrzył do środka, zastukał palcem w szybę, facet przy kierownicy podniósł głowę, motocyklista roześmiał się głupkowato i ruszył na powrót w swą wędrowkę. Głowa mężczyzny spoczęła na rękach, opierających się o kierownicę. Młodzieniec z motocyklem przechodził obok mojej kryjówki, zauważyłem, że spojrzął z zainteresowaniem na oszalowanie. Po dwóch minutach znikł za zakrętem. Do hotelu nikt nie wchodził ani też z niego nie wychodził. W fiacie pojawił się płomyk zapalniczki, facet przytknął go do długiego papierosa, który trzymał w ustach. Płomyk oświetlił twarz z silnie rozwiniętymi szczękami.

Wsadziłem rękę do kieszeni. Wyjąłem z niej rewolwer. Odbezpieczyłem go i położyłem na kolanach. Na drugim piętrze zgasło światło w pozostałych trzech oknach. Widocznie okna należały do jednego pokoju. W fiacie co pewien czas rozjarzał się ognek papierosa.

Myślałem właśnie o możliwości zapalenia, gdy otworzyła

się brama hotelu. Na ulicę wyszedł facet, który przed niecałą godziną strzelał do mnie. Zawarczał motor fiata. Facet szedł w kierunku auta. Podniosłem rewolwer, oparłem lufę na desce stanowiącej dolny brzeg szpary.

Moja walka wewnętrzna trwała krótko. Schowałem broń. Nie mogłem płoszyć bandy i chciałem się jak najszybciej zobaczyć z hotelarką. Na tych facetów nie przyszedł jeszcze czas. Ich śmierć niczego by mi nie dała. A nie mogłem myśleć o wzięciu ich żywcem. Facet, idący do samochodu, był już potencjalnym trupem, ale drugiemu, siedzącemu w wozie, mogłaby się udać ucieczka. Mimo te wszystkie zastrzeżenia nie bez żalu patrzyłem za odjeżdżającym fiatem. Wóz gangu Eleganckiego odjechał w przeciwnym kierunku niż miejsce postoju mojej lancii. Zapaliłem papierosa. Dopiero gdy go wypaliłem krótkimi, mocnymi pociągnięciami, wyszedłem z mojego ukrycia.

Brama hotelu była otwarta. W oszklonej portierni nie było nikogo. Wszedłem na pierwsze piętro. Z uchylonych drzwi z napisem Biuro padała na korytarz smuga światła. Pchnąłem je. Cofnęły się bez skrzypnięcia. Zobaczyłem siedzącą przy stole hotelarkę, wpatrującą się w zamyśleniu w stojącą na stole butelkę. Dwa próżne kieliszki osaczały butelkę z dwóch stron. Hotelarką nie podniosła głowy, widocznie nie zauważyła mego wejścia. Szybkim ruchem

wyjąłem z kieszeni jedwabne rękawiczki i wciągnąłem je na dłoń. Dopiero wtedy chrząknąłem. Kobieta podniosła głowę. Oczy miała mętne. Na twarzy wypieki. Górna warga, pokryta czarnym włosem, była podciągnięta w górę i odsłaniała żółte zęby. Spojrzałem na butelkę. Brakowało połowy przezroczystego płynu. Najprawdopodobniej hotelarka była pijana.

- A... to szpicel... Co nowego? - mówiła niewyraźnie. Pasemko śliny pociekło jej po brodzie.

Zamknąłem za sobą drzwi. Zauważywszy tkwiący w zamku klucz, przekręciłem go. Wtedy dopiero zbliżyłem się do stołu i usiadłem na krześle stojącym naprzeciw kobiety.

- Łapacz! Dlaczego nic nie gadasz? Mów coś!

- Uspokój się. Mam pewną propozycję...

- A ja myślałam, że przyszedłeś na dziewczynki - zaniósła się pijackim śmiechem. - No i co? Przyszedłeś na dziewczynki?

Spojrzenie kobiety ślizgało się po całym pokoju. Rozejrzałem się także. Była tu istna rupieciarnia. Stare biurko z przypiętym pluskiewkami do blatu zielonym papierem, dwa krzesła pamiętające zapewne czasy dziadka hotelarki, kuchenny zegar ścienny sprzed kilkudziesięciu lat, porysowana szafka z jasnego drzewa i oleodruk na ścianie, przedstawiający obłąpanie nimf przez brodatych satyrów.

Kobieta widząc moje zainteresowanie dla urządzenia pokoju, powiedziała:

- Co? Podoba ci się tu? Czy... - dalszy potok wymowy przerwała jej czkawka.

- Jeżeli nie postarasz się być trzeźwą, jutro znajdziesz się w mamrze.

- Spokojna twoja głowa. Są silniejsi od ciebie. Obronią mnie. Wiesz co - zniżyła tajemniczo głos - wiesz, co oni mogą? Oni całą policję mają w dupie! Słyszysz? W du-uupieeee.

- Słyszę. Czy Enrico był częstym gościem w tej ruderze?

Popatrzyła na mnie, mrugając powiekami. Potężne czknięcie wstrząsnęło jej ciałem. Zaśmiała się chrypliwie.

- Jasne, że bywał. Gości sobie sprowadzał. No i co mi za to zrobisz? Nic mi nie zrobisz!

Spojrzałem w bok. Cholera! Jedna butelka była już opróżniona i stała teraz w kącie, wdziecząc się swą etykietą. Fłaszka o objętości litra. Licząc, że ten drugi wypił połowę, na kobietę przypadło pół litra z opróżnionej butelki i ćwierć z napoczętej.

Płyn zawierał 40 procent alkoholu.

- Czego chciał ten facet, który z tobą pił?

- Nic cię to nie obchodzi. Czego chciał, to chciał. Moja sprawa. Oni się nikogo nie boją. Rozumiesz... Oni się ni-ko-go nie bo-ją! Im na niczym nie zależy. Jeden glina mniej,

jeden więcej, dla nich wszystko jedno.

- Jutro przyjdą panią aresztować - powiedziałem sucho.
- Jeżeli pani nie odpowie na moje pytania, może to się źle skończyć.

Otrzeźwiała nieco.

- Jak sobie człowiek łyknie, to tak zawsze - bąknęła.
- Czy Carlo Barenzo... to ten zamordowany, przyszedł tu wtedy po raz pierwszy?
- Nie. Był już kilka razy. Napije się pan?
- Nie. Czy Carlo Barenzo przychodził tu z innymi ludźmi albo czy do niego ktoś przychodził?
- Nic o tym nie wiem. Co ja mam lornetkę wystawiać przez okno, czy co?
- Dlaczego pani powiedziała, że Carlo Barenzo był tu po raz pierwszy?
- A co? Miałam mówić, że się tu urodził czy jak? Zaraz by się zleciały gliny i nowy kłopot. Potrafią tylko forszę ciągnąć, ale teraz się skończyło ich używanie. Szlag ich trafi, a nie dostaną ani lira.
- Ja też jestem glina - zauważyłem spokojnie.
- Z kogo pan chce frajera zrobić! Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Ty jesteś - w tym miejscu, wyciągnęła w moim kierunku palec, jak by chciała mnie nim przygwoździć - ty jesteś łapacz prywatny.

- A skąd pani o tym wie?
- Byli tacy, co mi powiedzieli.
- Proszę mi odpowiedzieć, skąd pani zna człowieka, z którym piła pani dzisiaj wódkę? Zastrzegam, że jest on oskarżony o kilka zbrodni. Za pomaganie takim facetom siedzi się.

- Ciągłe chcesz ze mnie zrobić frajerkę? Niedługo mogłabym być twoją matką, a ty ze mnie chcesz zrobić frajerkę. Święta Panienko, jakie to czasy przyszły... - zaszlochala nagle.

- Proszę się nie ośmieszać. Za chwilę pójdzie pani do łóżka. Jeszcze tylko kilka pytań. Proszę mi odpowiedzieć, skąd pani zna tego faceta?

- Z łóżka. No i co, zadowolony jesteś?

Łzy rozmazały się jej na policzkach. Wyglądała staro i brzydko.

- Bez głupich zgryw! - powiedziałem ostro. - Jeżeli chcesz siedzieć w mamrze, to nie odpowiadaj.

- Ja w mamrze? Są jeszcze tacy, co mnie obronią.

- Jutro będzie ich szukać policja po całym Rzymie. Mają ich fotografie. Mogą ci tylko zaszkodzić takie znajomości.

- Będzie ich szukać policja - rzekła, niezręcznie mnie parodiując. - Niech ich szuka! Oni się nie boją!

- Jesteś doświadczona - perswadowałem jej jak dziecku

- po co się pchasz w tę całą kabałę. Powiedz, czego chciał od ciebie ten facet, a spróbuję cię obronić przed policją.

- Hi, hi, bierze mnie pod włos...

- W porządku. Zatelefonuję po policję. Będziesz inaczej śpiewać.

- Po co ten krzyk? Napijmy się lepiej.

- Nie piję.

- No, to ja się napiję. Może mi nie wolno? Co?

Nalała wódki do kieliszka i wychyliła go jednym łykiem. Spojrzałem na moje dłonie w rękawiczkach. Wtedy usłyszałem krzyk. Kobieta osunęła się na podłogę. Twarz miała spokojną i wygładzoną. Ująłem ją za przegub. Nie wyczułem pulsu. Wyszarpnąłem z kieszeni lusterko i przytknąłem je do warg leżącej. Nie pokryło się najlżejszym choćby oparem.

Podniosłem się z klęczek i wyjąłem z kieszeni metalowy flakonik. Nalałem do niego odrobinę wódki z flaszki stojącej na stole. Przykręciłem metalową zakrętkę i schowałem flakonik wraz z lusterkiem do kieszeni. Spojrzałem na kobietę. Lekarz już się jej na pewno nie przyda. Podszedłem do biurka. Szuflady były zamknięte. Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki skórzany portfel, z którym się nigdy nie rozstawałem. Wewnątrz były małe, lecz silne i precyzyjne narzędzia z chromowej stali. Otworzyłem jednym z nich szufladę; zawierała mnóstwo papierów. Zacząłem

je przeglądać. Były to jakieś rachunki, notatki gospodarcze, przepisy na potrawy i na wódki, kilka trzeciorzędnych powieści o rycerskich hrabiach i niedoświadczonych pokojówkach, zdjęcia jakiegoś młodzieńca o twarzy boksera, butelka szamponu, pudełko spinaczy, kilka magazynów, kalendarz terminowy bez żadnych zapisków, stara książka telefoniczna, paczka kalek ołówkowych, kilkanaście ołówków, długopis z niebieskiej masy. Schowałem do kieszeni jedynie książkę z zapiskami gospodarczymi. W pozostałych szufladach nie było nic oprócz kurzu.

Stojąc przy drzwiach, spojrzałem jeszcze raz na pokój. Kobieta leżała na boku, lewą rękę miała przyciśniętą do piersi, prawą odrzuconą do tyłu. Na twarzy rozlała się godność, jakiej nigdy nie widziałem u hotelarki za życia. Cicho przekręciłem klucz w zamku. Wytarty kokosowy chodnik na korytarzu stłumił odgłos moich kroków. Oszklona portiernia była pusta. Będąc za bramą, spojrzałem na staroświecką latarnię. Dopiero teraz zauważyłem jej podobieństwo do latarni zawieszanych niekiedy u konnych karawanów, jakie się jeszcze czasami widuje w małych miasteczkach.

Z pobliskiej knajpki wychodzili ostatni goście. Po raz wtóry schroniłem się za drewniane oszalowanie. Odczekawszy, aż

ostatni facet zniknie za zakrętem, wyszedłem z ukrycia. W drodze do samochodu zdjąłem z rąk jedwabne rękawiczki.

Po dwudziestu minutach jazdy wprowadzałem wóz do garażu. Obejrzałem drzwi garażu. Kula trafiła w sztabę umacniającą je i przez to ich nie przebiła. Nie było sensu szukać łuski. Jeżeli miałem chwycić tego faceta, to nie po to, by odpowiadał za nieudany zamach. Na jego koncie przypuszczalnie było dość zbrodni.

Gdy tylko znalazłem się w swoim mieszkaniu, zacząłem czytać zapiski gospodarze, prowadzone przez hotelarkę. Specjalnie zaciekała mnie pozycja:

1000 lirów - taksówka, rozmowa z A.

A kilka kartek potem:

14 000 lirów od A.

Oprócz tych pozycji nie było tam nic interesującego. Sprawdziłem system alarmowy i udałem się na spoczynek.

O godzinie szóstej minut trzydzieści zbudził mnie dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę.

- Halo, Umberto. Tu Franco. Właścicielka hotelu Santa Caterina nie należy do grona żyjących. Właśnie tam jadę. Może ty także się tam znajdziesz?

- Ma się rozumieć. Bardzo ci dziękuję. Będę na miejscu za pół godziny.

- Klawo. Do zobaczenia.

Wziąłem zimny prysznic. Dziesięć minut po otrzymaniu telefonu wyjeżdżałem z garażu.

Franco czekał na mnie przed wejściem do hotelu. Na ulicy stały już dwa auta. Jedno, którym przyjechał Garden, i karetka.

- Idziemy - powiedział Garden do siedzącego przy nim sierżanta.

Podczas wędrowki po schodach malarz i policjant w jednej osobie streścił mi, w jaki sposób znaleziono trupa hotelarki. Otóż dyżurujący tej nocy w portierni niejaki Giovanni Borrao, pracownik hotelu, wyszedł na kieliszek wina do pobliskiej knajpki. Trwało to niedługo. Ot, pół godzinki. Gdy wrócił, nie stwierdził nic nadzwyczajnego.

Ładne pół godzinki - pomyślałem.

- Zaniepokoił się dopiero, gdy właścicielka nie zeszła o zwykłej porze do portierni, by spytać, co nowego i powiedzieć dobranoc. Niepokój wzrastał z minuty na minutę, więc Giovanni Borrao wszedł na pierwsze piętro i zajrzał do biura. Zobaczył trupa. Zadzwoił zaraz na policję. Dzielnicy komisariat, poinformowany przeze mnie o konieczności natychmiastowego komunikowania oddziałowi zabójstw o wszystkich ważniejszych sprawach, dziejących się na terenie hotelu Santa Caterina, zadzwonił... Dalej już wiesz...

- Hojny pan jest w informacjach, panie poruczniku. Przecież taki detektyw jak pan Pesco, powinien sam się dowiedzieć o wszystkim - zauważył z przekąsem sierżant Matara.

- Nie bądź taki dowcipny - skarcił go Garden, uśmiechając się do mnie porozumiewawczo.

Matara w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Hotelarka leżała w niezmienionej pozycji, od czasu gdy ją tu zostawiłem. Powtarzała się niezmienna w takich wypadkach procedura. Lekarz i fotograf uwijali się po pokoju, spełniając swoje obowiązki. Spojrzałem na stół. Nie było na nim butelki z resztką wódki ani dwóch kieliszków. Wypróżniona butelka spod ściany znikła, jakby miała skrzydełka.

- To jest trucizna - odezwał się lekarz. – Sekcja wykaże szczegóły. Ta kobieta jest martwa od czterech do pięciu godzin.

Dlaczego facet zostawił truciznę w butelce? Dlaczego nie chciał być świadkiem śmierci? - te dwa pytania tłukły się po mojej głowie jak uwięzione ptaki.

VII

Wyniki muszą być na dzisiaj, na godzinę dwunastą. - Tymi słowami pożegnał Garden lekarza i fotografa, wychodzących za ludźmi, którzy nieśli ciało hotelarki.

- A teraz przesłuchamy pana Giovanniego Borrao - ciągnął. - Skocz no po niego! – zwrócił się do stojącego pod ścianą, z rękami w kieszeni, tajniaka.

Tajniak przyprowadził tęgiego mężczyznę o świecącej się twarzy i małych, ukrytych za grubymi powiekami oczkach.

- Proszę siadać - Franco wskazał na jedyne wolne krzesło.

Siedzący obok mnie na biurku Matara przekreślił gałkę przenośnego magnetofonu. Każde wypowiedziane w tym pokoju słowo miało być utrwalone na taśmie. Tajniak zajął poprzednią pożyję pod ścianą.

- Nazwisko?

- Giovanni Borrao - odpowiedział mężczyzna, podciągając w górę dawno nieprasowane nogawki.

- Proszę opowiedzieć raz jeszcze, w jaki sposób odkrył pan trupa.

Opowiadanie portiera nie różniło się wcale od tego, jakie usłyszałem od Gardena na schodach.

- Tak - powiedział Franco, kiedy Borrao skończył mówić - to jest wcale interesujące. Ale mam do pana jeszcze kilka pytań. Czy może pan dokładnie określić czas pobytu w knajpcie?

- Powiedziałem już. Około pół godziny.

- Czy pan jest tego absolutnie pewny?

- No... może trochę więcej, ale gdzieś koło pół godziny.

- Dlaczego nie zostawił pan nikogo w zastępstwie?

- Iii... taki hotel. Przecież tu nie ma tak dużo gości. Kto się będzie w nocy tłuc...

- Niech pan nie przesadza. Główne zyski takich hoteli płyną właśnie z nocnych gości - powiedział Garden.

- Pół godzinki to nic wielkiego - upierał się przy swoim Borrao.

- Zostawmy to. Jest pan wobec tego pewny, że podczas pana nieobecności mógł ktoś wejść do hotelu.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Wiem, wiem. Ale jest pan tego pewny - uspokoił go dobrodusznie porucznik.

Portier zrobił kwaśną minę.

- Gdzie jest ojciec właścicielki?

- W swoim pokoiku. Odmawia różaniec i płacze.

- Kto go zawiadomił o śmierci córki?

- Ja.

- A jak pan sądzi, czy to jest samobójstwo, czy też morderstwo?

Borrao zmarszczył czoło z miną filozofa. Nie odzywał się przez minutę, a potem przekonywającym głosem powiedział:

- Ani jedno, ani drugie. Pani źle się ostatnio czuła. To chyba śmierć naturalna.

- A dlaczego zadzwonił pan na policję?

- Tak zawsze się robi. Piszą o tym w książkach. Gdzie miałem zresztą zadzwonić?

- W porządku. Wyklucza pan zatem możliwość samobójstwa lub zbrodni?

- Tak. Pani nie miała wrogów i lubiła życie.

- Nie miała wrogów? Czy mówi to pan serio?

- Oczywiście.

- Gdzie jest reszta służby?

- W swoich pokojach. Wiedzą o wszystkim.

- A co pan sądzi o morderstwie popełnionym w tym hotelu dnia 4 czerwca, czyli przedwczoraj?

- Wszędzie są gałgany. Ja tego faceta widziałem po raz-

pierwszy i to w dodatku, gdy był już trupem. Tego dnia miał dyżur ojciec pani.

- Co to znaczy: „Wszędzie są gałgany”?

- Mówiłem o mordercy. Nadarzyła mu się okazja, to go zabił w hotelu. Jakby zdarzyła mu się okazja gdzie indziej, to zabiłby go gdzie indziej.

- Dlaczego pan mówi o okazji?

- Tu jest niespokojna dzielnica. Jest dużo różnych łobuzów, więc łatwo zgubić ślad.

- Hmm - mruknął w odpowiedzi Franco - to dość przekonujące, co pan mówi.

- Pewnie, że tak musiało być - zapalił się portier - dzisiaj cudów już nie ma.

- Jest pan niewierzący?

- Zachowaj mnie, Boże. Święta Panno, co też pan mówi... Ja i niewierzący... Skądże. Jestem religijny, tylko trzeźwo patrzę na tę sprawę.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Sycylii. Urodziłem się w Alcame Marina.

- Jak się zapatruje reszta personelu na to morderstwo?

- Tak jak i ja. Nikt się chyba nie cieszy, gdy policja o wszystko pyta i we wszystkim grzebie - dodał z chytrym uśmiechem.

Matara groźnie chrząknął.

- Z kim właścicielka utrzymywała bliższe stosunki? - pytał dalej Garden.

- O niczym takim nie wiem. Przecież nie była już taka młoda - westchnął.

- Czy miała jakieś przyzwyczajenia czy namiętności? Na przykład może lubiła dobrze zjeść, napić się, a może zbierała pieniądze?

- O! Popić to ona lubiła...

- Czy piła sama, czy z kimś?

- Przeważnie sama, a niekiedy ze mną. Miała zwyczaj wypijać butelkę koniaku co wieczór.

Przypatrzyłem się uważniej temu tęgiemu mężczyźnie.

- Czy dzisiejszej nocy też wypiła tę swoją butelkę?

- Nie.

- Skąd pan o tym wie?

- Wieczorem obiecała mi, że mnie zawoła. A tego nie zrobiła.

- Dlaczego w takim razie szedł pan do knajpki na wino?

Przez chwilę panowała cisza. Słychać było tylko sapanie Matary i cichutkie pogwizdywanie tajniaka.

- Dobrze się czuję między ludźmi - odpowiedział w końcu portier.

Matara prychnął jak rozdrażniony kot.

- O której godzinie właścicielka wołała pana przeważnie „na kieliszek”?

- Różnie.

- Dlaczego więc poszedł pan na wino do knajpki? To jest trochę nieprzekonujące, co pan mówi.

- Dobrze... powiem wszystko. Nie byłem w knajpce. Poszedłem... do jednej pani. Jest kelnerką i nie ma dużo czasu. Muszę wykorzystywać każdą jej wolną minutkę. Chcę się z nią żenić.

Tak. To było prawdopodobne. Siedząc za oszalowaniem, nie widziałem, by ktoś po zamknięciu knajpki wchodził do hotelu.

- Chciałbym się o coś spytać.

- Proszę bardzo - odpowiedział mi Franco.

- Czy pan mieszka w hotelu?

- Nie. Wynajmuję pokój przy via Jacopo Nardi.

- Czy ruszał pan coś w biurze?

- Jak tylko zobaczyłem panią nieżywą, pobiegłem na dół do telefonu.

- Dziękuję. Jeszcze dwa pytania. Właścicielka przechowywała alkohol tutaj... w biurze. Czy tak?

- Tak, proszę pana.

- Czy nie sądzi pan, że powinna tu się znajdować pełna lub próżna butelka?

- Tak. Powinna - odrzekł i na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Czy pytać dalej? - zwróciłem się do Gardena.

- Proszę cię bardzo - odrzekł.

- Może przeszukamy wobec tego pokój?

Franco skinął głową. Tajniak oderwał się od ściany, a Matara ostrożnie położył magnetofon na stole i dopiero

wówczas zeskoczył na podłogę. Zaczęli przeszukiwać pokój. Pomimo dziesięciminutowych poszukiwań butelki nie znaleźli.

- Czy oprócz pana wchodził ktoś do tego pokoju? - spytałem.

- Nikt nie mógł wchodzić - ubiegł portiera z odpowiedzią Garden. - Pan Giovanni Borrao oświadczył policji przez telefon, że zamknął drzwi na klucz.

- Wobec tego gdzie jest butelka? - zasycał Matara.

- Nie wiem - wyjąkał portier.

- Nie wiem, czy panu wiadomo, że pana pracodawczyni została otruta albo też sama się otruła.

- O Boże! - wykrzyknął Borrao i położył swe szerokie dłonie na udach.

- Odkąd dowiedzieliśmy się o jej zwyczaju picia wódki co wieczór - ciągnął dalej Franco - butelka ma dla nas wielkie znaczenie.

- Czy właścicielka piła wprost z butelki? - spytałem szybko.

- Nie - wyrwało się portierowi.

- Wobec tego brakuje także kieliszków - stwierdziłem z pogodą. - Może pan mi powie, jakich kieliszków używała pana pracodawczyni.

- Dwa pękate. Może to wszystko jest w mieszkaniu.

- Idźcie sprawdzić - zwrócił się Garden do Matary i tajniaka - to pokój numer osiem.

- Wiem o tym - uciął Matara i skinął głową na tajniaka.

Po ich wyjściu Garden wyciągnął papierosy i poczęstował portiera.

Kiedy Borrao zapalał, zauważyłem, że trzęsie mu się ręka.

Po kilku minutach wrócili. Tajniak uśmiechnięty pogardliwie, Matara nachmurzony.

- Są tylko strzeliste kieliszki. I to komplet - oświadczył sierżant, sadowiąc się na biurku.

- Jak pan sądzi, co się mogło stać z butelką i kieliszkami? - spytałem.

- Nie wiem - odpowiedział Giovanni Borrao i zacisnął palce na papierosie.

- Wie pan - odparłem spokojnie - tylko nie chce pan powiedzieć.

- Mów! - warknął Matara - inaczej my cię nauczymy!

- Dobrze, powiem - odezwał się portier.

Matara obejrzał się na mnie, dumny ze swoich metod. Uśmiechnąłem się.

- Butelka i kieliszki są schowane w skrytce pod schodami. Gdy wszedłem do pokoju, zobaczyłem jedną próżną flaszkę pod ścianą, a drugą napełnioną do połowy na stole. Na stole był również przewrócony kieliszek. Drugi stał

normalnie. - Słowa płynęły jak wody rzeki, która przerwała tamę: gwałtownie i szybko. - Wtedy się zląkłem. Wszyscy wiedzieli, że czasami piję z panią. Pomyślałem, że wina spadnie na mnie. Myślałem, że umarła przez wódkę. Schowałem szybko butelkę i kieliszki. To by było wszystko.

- Nie wierzę mu - ryknął Matara.

- Dlaczego więc pan powiedział o zwyczaju picia co wieczór butelki wódki? Przecież nas to naprowadziło na trop?

- Dlaczego miałbym nie mówić? Przecież wszyscy o tym wiedzieli. Jeżeli ja bym o tym nie powiedział, to inni by panu powiedzieli. Po co miałem wzbudzać podejrzenie - odpowiedział łagodnie Borrao i otarł brudną chustką czoło.

- Dobrze. Poczekaj pan teraz na wyjaśnienia. Albert, idź po resztę służby - zwrócił się Garden do tajniaka - przyprowadzaj ich pojedynczo.

Tajniak wyszedł i po chwili otworzył drzwi, wpuszczając ładną brunetkę w ciemnej sukience.

Przesłuchanie jej i pozostałych osób nie wniosło nic nowego. Sensacją stała się dopiero rozmowa z ojcem zamordowanej. Ten wszedł, obcierając chusteczką oczy i trzęsąc brodą.

- Proszę usiąść - zwrócił się do niego Franco.

- Źe co?

- Proszę usiąść - powtórzył porucznik.

- A... Usiąść. Dziękuję.

- Czy córka mówiła panu coś ważnego przed śmiercią?
- Czy mówiła coś ważnego?
- Tak, o to się właśnie pytałem - krzyknął głośno Garden.

- Mówiła mi, że od tego dnia nie będziemy mieli żadnych kłopotów.

Matara skrzywił się, jakby jadł cytrynę. Widocznie to zeznanie maćło mu klarowną hipotezę, iż Giovanni Borrao jest mordercą hotelarki.

- Czy nic więcej nie mówiła?

- Nie słyszę. Może pan łaskawie powtórzy - powiedział starzec, wycierając bez przerwy oczy.

- Czy nic więcej nie mówiła?

- A mówiła. Że odprawi tego pana, co siedzi w kącie, bo gdzieś chodzi i nie pilnuje hotelu - starzec brodą wskazał na siedzącego w kącie portiera.

Na twarzy Matary wykwitł słodki uśmiech.

- I co jeszcze mówiła?

- Nic więcej.

Tym razem starzec usłyszał.

- Dziękuję.

- A nie ma pan papierosa?

Matara dał mu całą paczkę.

Po wyjściu staruszka przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją głos Franca.

- Przykro mi bardzo, panie Giovanni Borrao, ale będzie pan zmuszony udać się z nami.

- Po co ten Wersal. - Matara odwrócił głowę w stronę porucznika. - Sędzia będzie dla niego mniej uprzejmy.

- Będzie uniewinniony - powiedziałem, wypuszczając jednocześnie ustami dym.

- Nie jestem tego tak pewny - odparł sierżant, przekręcając gałkę magnetofonu.

Franco spojrział na mnie uważnie. Miał minę, jakby chciał o coś zapytać, lecz widocznie zrezygnował z tego zamiaru i skinął na tajniaka. Ten odbił się od ściany i podszedł do portiera. Wyszliśmy wszyscy z biura. Na ulicy pożegnałem się z Gardenem i przypomniałem mu, że będę w wydziale o godzinie dziesiątej. Wkrótce auto policyjne ruszyło.

Patrząc za odjeżdżającym samochodem, zrozumiałem, dlaczego facet z baru nie czekał na śmierć hotelarki. Zrozumiałem także, że pozostawienie kieliszków i butelki było bardzo mądrym posunięciem. W butelce, którą teraz pieczołowicie ścisnął Matara, siedzący w aucie policyjnym, na pewno była trucizna.

Odjeżdżałem w kierunku śródmieścia, zostawiając za sobą dzielnicę nędzy, zniszczony hotel i starca siedzącego w oszklonej portierni, trzęsącego żałośnie brodą. Paczka papierosów Matary leżała nad tablicą z kluczami.

VIII

Zatrzymałem wóz przed małą restauracyjką. Zjadłem tam śniadanie składające się z kawy i dwóch bułek z masłem. Nie lubię wprawdzie takich śniadań, ale w dniu, kiedy mam rozwiązać jakąś sprawę, nie jadam innych. Lekkie śniadanie nie niszczy świeżości porannej, a nawet ją wspiera. Kawa musi być mocna i nie za bardzo słodka. Po skończeniu śniadania spojrzałem na zegarek. Była godzina ósma minut dwadzieścia dwie. Poszedłem do automatu i zatelefnowałem do mojej gospodyni, która co dwa dni przychodziła robić porządki, że nie będzie mnie dzisiaj w domu, wobec czego niech odłoży swoje sprzątanie na pojutrze. Stara kobieta po drugiej stronie przewodu zamruczała coś na temat nieodpowiedzialności mężczyzn i położyła słuchawkę.

Wysłałem pikolaka po gazety. Do godziny ósmej czterdzieści pięć czytałem gazety przyniesione mi przez chłopca.

Większość z nich zawierała artykuły o śmierci Carla Barenzo. Dziennikarze przy końcu tych elaboratów nieodmiennie zadawali retoryczne pytanie w rodzaju: „A co na to policja?“, „Gdzie ramię sprawiedliwości?“, „Czy mordercy wielkiego człowieka ujdą bezkarnie?“ itp.

O śmierci Eleganckiego przeczytałem tylko jeden artykuł, zamieszczony w gazecie mieszczańskiej i konserwatywnej; dlatego też był przetykany cytatami z Biblii. Styl był napuszony, artykuł zaś w złym smaku. Autor kończył również cytatem: „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”.

Charakterystyczne było, że nikt nie nawoływał do znalezienia sprawców śmierci Eleganckiego. Niechęć ludzi, mających pieniądze, do człowieka, który mógł im kiedyś te pieniądze odebrać. Wprawdzie działał w innym kraju, ale ludzi mających pieniądze łączy na całym świecie pewna więź.

„Piccolo Giornale” donosił, że znany detektyw prywatny, Umberto Pesco, szuka morderców Carla Barenzo. Po czym następowala opowieść, jak to Umberto Pesco wyrwał aparat fotoreporterowi i ten jedynie dzięki przytomności umysłu zapisał numer auta. Przez to dowiedział się, kto jest tajemniczym człowiekiem, wykręcającym filmy z aparatów. Pomimo że pan Umberto Pesco pozbawił naszą redakcję

kilku dobrych zdjęć - pisał dziennik - mamy nadzieję że jego interwencja będzie skuteczniejsza niż praca policji. Pan Umberto Pesco jest w naszym kraju instytucją o wiele bardziej romantyczną niż policja, dlatego sympatia opinii publicznej jest z nim. Powtarzamy: już sam p. Umberto Pesco jest instytucją. Nie wspominamy tu o jego biurze i o wielu cichych, oddanych pracownikach.

Roześmiałem się głośno. Podbiegł zaniepokojony kelner. Widząc jego niepokój, wyjąłem z kieszeni pieniądze, zapłaciłem i wyszedłem z restauracji, zostawiając na stoliku plik gazet. Był już najwyższy czas, by jechać na spotkanie z Gardenem.

Franco przyjął mnie z wylewnością, jakbyśmy się nie widzieli co najmniej od kilku miesięcy.

- Opowiedz, co odkryłeś - poprosił.
- Nic nie odkryłem. A jak ci dobrze wiadomo, nigdy nie opowiadałem o tych rzeczach przed zakończeniem sprawy.
- Jak chcesz.. Masz, tutaj są twoje odciski.
- Moje jak moje... Bardzo ci za nie dziękuję. Jeżeli pierwszy coś czy kogoś znajdę, ogłoszę wszem i wobec, że stało się to dzięki twojej pracy. Nie będzie to zresztą niezgodne z prawdą.
- Jak sądzisz, czy ona popełniła samobójstwo?
- Nie. Zamordowano ją. Ale ten facet, którego wzięliście, jest niewinny.

- Mnie się też tak zdaje. Sprawdziliśmy, czy był w nocy u tej kelnerki. Niestety mówił prawdę. Matara był wyraźnie zmartwiony, ale oświadczył, że ten szczegół o niczym nie świadczy. Jedna z pobożnych sąsiadek kelnerki z oburzeniem opowiadała nam, że Borrao odwiedził w nocy kelnerkę i że zachowywali się dość głośno. A ściany czynszowych kamienic zbudowanych przed trzydziestu laty nie są zbyt grube - zakończył z uśmiechem mój przyjaciel.

- Szybko działacie.

- Trzeba się spieszyć, szef przed chwilą telefonował. Wczoraj wieczorem zadzwonił do niego minister. Pytał się, kiedy to skończymy.

- I co odpowiedziałeś?

- Że jestem w trakcie i że to musi potrwać dłużej niż dwa dni

- Mądra odpowiedź. Trzeba jeszcze było zaproponować szefowi, by cię zastąpił - powiedziałem, wstając. - Dziękuję ci jeszcze raz za fotografię.

- Poczekaj - odpowiedział Garden, przytrzymując mnie za rękę - ty wiesz coś więcej.

- Powiedziałem ci już - odpowiedziałem, wyciągając przy tym rękę z uścisku - że portier jest niewinny.

- Do zobaczenia, Umberto.

- Czołem, Franco.

Pojechałem do mego biura. Przejrzałem tam olbrzymi

stos korespondencji, a potem zabrałem się do czytania roczników pism. Wgłębiałem się właśnie w tajniki pracy policji holenderskiej, gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Dzień dobry, szefie. Poznałem głos Francesca.
- Załatwiłeś?
- Tak.
- To przyjeżdżaj - odparłem.

Zatarłem ręce. Ze skruchą muszę przyznać, że podskoczyłem w górę. Węzeł zaczynał się rozplątywać. Uśmiechając się, zasiadłem do wertowania roczników. Niedługo jednak oddawałem się temu bogobojnemu zajęciu. Pukanie, i w biurze zjawił się Francesco.

- Szlag by to trafił, szefie. Myślałem, że cały zdrętwieję w tym pieprzonym lesie - zaczął już od drzwi. - Siedzę, siedzę i nic. Klnę, palę i nic. Wysiusiałem się nawet. To też nic nie pomogło... To sobie pomyślałem, że szybciej zobaczę cesarzową abisyńską w moim łóżku niż jakiegoś faceta czy facetkę w tym pieprzonym gaiku. I nic. Więc sobie pomyślałem: Francesco, pomagasz tylko policji i reumatyzmowi w tym lesie. Wtedy wstałem. Ale jeszcze przedtem pomyślałem: co mi zależy, mogę popatrzeć na ten domek jeszcze raz. Od patrzenia nie ma nagniotków. I poszedłem. Patrzę... - tu zrobił dramatyczną przerwę - patrzę... a tu ktoś

z domu wychodzi. To ja wtedy nogę dałem do lasu i mówię sobie: ale byś z siebie zrobił sakramencką świnie, Francesco... Tak sobie powiedziałem. Patrzę... a to jakiś facet. Ogląda się, jakby się psów bał, czy co? Ogląda się, ale idzie do lasu. No to dobra - myślę sobie i patrzę. On krok naprzód, to ja krok do tyłu. W końcu on doszedł do drzew. To ja przycupnąłem za jednym i czekam. Teraz ja go miałem przed sobą. Przygotowałem aparat i idę za nim. Ciemno wprawdzie jest, ale księżyc świeci, a on dopomaga sobie latarką. Idzie prosto, a ja od drzewa hop-hop jak jakiś żołnierz. W pewnej chwili on staje. Myślę sobie: usłyszał, że idę za nim i teraz będzie rozróbka. I rzeczywiście. Facet zaczyna grzebać koło spodni. No to, myślę, spluwę wyciąga. To ja też łap za kopyto. Patrzę i mało mnie szlag z ukrytego śmiechu nie trafi. Facet siusia. Schowałem spluwę i czekam. Facet sobie siusia i cichutko nuci. A mnie skręca ze śmiechu. I nawet mu powiedzieć nie można, żeby to robił szybciej. Cholera, może potrafiłem jakąś gałązkę czy inne świństwo, fakt, że facet rozejrzał się podejrzliwie i zgasił latarkę. Odczekałem spokojnie jak na dżentelmena przystało, facet się uspokoił, zaświecił latarkę i chodu. Ja za nim. Gonił tak przez dobry kawałek, w końcu zwolnił. Zmęczył się osiołek - pomyślałem sobie. Ten się patrzy na drzewo, to

rozgląda się po ziemi, jakby szukał butelki wina. Coś tu będzie wesotego - pomyślałem sobie. Facet jakby się spieszył. Zrobił krąg latarką i poszedł dalej. Ale niedaleko. Stał i znowu szuka. Nagle klepnął się w czoło i cyk drugą ręką pod marynarkę. Patrzę, a on wyciąga składaną łopatkę, taką co kiedyś mieli Amerykanie. Przyklęknął, w lewej ręce trzyma latarkę, a prawą kopie. Kopie, kopie, myślałem już, że nowy Rzym wykopie, a tu nic. Jemu też się coś nie podobowało to kopanie, bo tak zaklął, że drzewa się poruszyły. A z początku nie wyglądał na takiego, co umie kłać. Najlepszy dowód, jak klękał, to podciągał nogawki, nie chciał wiedzieć, że i tak się ubrudzi. No to sobie myślę, spokój trzeba zachować, może się facet namyśli i nie będzie mnie w niepewności trzymać. Ten się oglądnał jeszcze raz, wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Potem odszedł dwa kroki; oparł się o pień i palił. Stałem od niego ze trzy kroki i czułem dym w złości, że zapalić nie mogę, chciałem mu posłać lufę, ale sobie pomyślałem, że Francesco, pieprzony, zwalisz całą sprawę i gównu zarobisz. Dla papierosa nie będziesz się nadstawiał na awanturę u szefa. No to czekam. A ten sobie pali. Zaciąga się, dym w kółka wydychuje i latarką cały czas świeci. W końcu skończył. I znowu zaczął kopać. Kopie, pieprzony, i kopie. Ja czekam. Nagle jest. Łopatka zgrzytnęła o coś, jak w tym filmie Skarb sułtana, co się te

babki przed sułtanem rozbierają. Patrzę, a facet wyciąga małą kasę. Dobra jest, myślę sobie, teraz go cyknę. Podnoszę aparat, a facet łapie się za kieszeń i wyciąga kluczyki. To sobie pomyślałem: poczekaj, Francesco, poczekaj, przyjdzie odpowiedni moment i przyszedł. Facet wsadza kluczyk do dziurki i otwiera pieprzone pudełko, przyświeca latarką i zagląda do środka. Ja go wtedy cyk. Lampa błysnęła i facet odskoczył. Ja wtedy za spluwę i mówię: spokojnie, tylko pokaż pan te jajka. I swoją latarkę zaświeciłem. Facet chciał zatrzasać pudełko, a ja do niego - mówiłem przecież, pokaż pan te jajka. Wtedy facet poczuł cykorię. Podniósł ręce do góry, mimo że tego nie kazałem. Świecę i widzę ładne kamyki w tym pudełku. Wkręciłem więc nową żarówkę do lampy i cyk zdjęcie tych kamyków. Przez chwilę miałem ochotę zwać z tymi świecidełkami, ale pomyślałem o panu, szefie, i wydało mi się, żeby mi się to nie opłacało. No, to powiedziałem do faceta: idź przodem. Jak doszliśmy do domu, oddałem mu pudełko i kazałem mu wejść. Wszedł. To ja nogę. Przyjechałem i wywołałem zdjęcia.

- Dziękuję za ścisłą relację - powiedziałem z uśmiechem.
- Teraz pokaż mi te zdjęcia.

Francesco sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Patrzyłem z uśmiechem na siedzącego przede mną

mężczyznę. Był kiedyś właścicielem dużego majątku. Odebrał staranne wychowanie, ale lubił snobować się na lumpenproletariusza. Najlepszym tego dowodem był monolog, wygłoszony przez niego przed kilkoma minutami. Każda rozmowa między nami rozpoczynała się właśnie w ten sposób: można by to nazwać haraczem, spłacanym przeze mnie jego zdolnościom i dziwactwu. Nie było jeszcze sprawy, w której Francesco okazałby się partaczem. Nie tylko, że tolerowałem jego dziwactwo, ale nawet cieszyłem się tym. Zdania, jakie wygłaszał w slangu, były tak odmienne od jego powierzchowności eleganckiego, czterdziestoletniego mężczyzny, że słuchacz musiał wykrzywiać twarz, by się głośno nie roześmiać. I tylko początki rozmów z tym człowiekiem były stylizowane na lumpenproletariat. Potem wychodziła z niego niezwykła erudycja i odczytanie. Powiedzenia jego były błyskotliwe i inteligentne.

Wziąłem od niego zdjęcia. Spojrzałem na nie.

Maurizio Barenzo prezentował się w całej krasie na tle drzew.

- Spodziewałem się tego.
- Ach! Mistrzu, jaki pan jest inteligentny. Proszę coś opowiedzieć ze swoich przygód - zapiszczał Francesco, naśladowując głos rozwydrzonej panienki.

- Daj mi, dziecko, spokój - odpowiedziałem grubym głosem.

- Ale ja bardzo proszę - nalegał ciekim głosem.

- Co widziałeś w Lugaro?

- Dużo rozmawiających ludzi. Mówili przeważnie o pogrzebie Carla Barenzo, który się ma dzisiaj odbyć. Morderstwo wywołało sensację w tej dziurze. Ludzie snują najprzeróżniejsze domysły. Rozmawiałem z nimi trochę, ale nic mi to nie dało. Na opinię najwyraźniej wpływają sądy starych panien i emerytowanych urzędników. Doszukują się w tym romantycznej zemsty kochanki, kary boskiej i tysiąca tym podobnych rzeczy. Zawsze się zastanawiałem, skąd się bierze ta sadystyczna wyobraźnia ludzi z małych miasteczek. Można ją przypisać nudzie panującej w tych szacownych grodach, nudzie, która wyolbrzymia każdą, najdrobniejszą nawet sprawę, podaje ją w karykaturalnych proporcjach. Pozostają jednak precyzyjne opisy zabójstwa, którego, rzecz jasna, ci ludzie nigdy nie widzieli. Dopatruję się w tym pozostałości średniowiecza, gdzie męczenie publiczne zbrodniarza stanowiło jedną z najbardziej pożądanых rozrywek.

Rozmawiałem z jednym starym człowiekiem. Opowiedział mi, jak to porzucona kiedyś kochanka pana Carla Barenzo zakradła się do hotelu po rynnie i z okrzykiem: „Giń

przeklęty!”, utopiła mu nóż w sercu. Musi pan wiedzieć - ciągnął dalej ten starzec - że nóż pogrążał się bardzo wolno. Nóż zawsze wchodzi bardzo wolno w ciała grzeszników, gdyż Bóg jest mądry w swej dobroci i pozwala tym nicponiom na wzbudzenie żalu doskonałego. Piękne, co? Roześmieliśmy się.

- Oprócz opisów mordu, opinia miasta Lugaro zajmuje się przewidywaniem, kto będzie dziedziczył w większości majątek po zmarłym. Powstały dwa obozy. Jedni są za bratem zamordowanego, a drudzy za żoną. Przypomina to wojnę Południa z Północą. Tylko tam dochodzili do siebie z pistoletami w dłoniach, a tu z różańcami. Obie bronie są jednak skuteczne – dokończył z zabawnym grymasem.

Wstałem, zbliżyłem się do lodówki i wyjąłem z niej flaszkę dobrego wina.

- Czy nie za wcześnie, mój chlebodawco? - spytał Francesco.

- Mogę schować - zaproponowałem uprzejmie.

- O! Co to, to nie. Trunek czuje się zawsze pewniej w żołądku niż w naczyniu, tak jak człowiek czuje się lepiej przy barze niż w trumnie.

- Wobec tego...

Podnieśliśmy w górę napełnione szklanki.

- Alla santé.

- Alla santé.

Promienie słoneczne wpadały do biura i zamieniały pomarańczowy obraz w nieruchomy płomień. Zapowiadał się pogodny dzień. Była identyczna sytuacja jak przedwczoraj. Tak samo siedziałem naprzeciw mężczyzny, który pił alkohol, tak samo słońce przeistaczało obraz, tak samo...

- Nigdy nie przypuszczałem - przerwał moje rozmyślenia Francesco - że będę fotografował ewentualnego spadkobiercę.

- Chciałem zaznaczyć, że fotografowanie to twój pomysł.

- Czy może zły? - zapytał żywo.

- Nie. Wprost przeciwnie. Bardzo dobry. Tylko powiedz mi, skąd się dowiedziałeś, że człowiekiem którego sfotografowałeś, jest brat zamordowanego?

- Nie zapominaj, że Lugaro jest małym miasteczkiem. Opisałi mi go tam dość dokładnie. Pomocą była mi również amatorska fotografia z jakiejś uroczystości, gdzie bracia stoją obok siebie w otoczeniu starszyny miasteczka.

- Czy nie było jakiś innych normalnych przypuszczeń co do śmierci producenta?

- Ja ich w każdym razie nie słyszałem - zaśmiał się Francesco.

- Jak sądzisz, czy kamienie w tej kasie przedstawiały dużą wartość?

- Jeżeli tylko nie były sztuczne, to tak. Za sumę, jaką osiągnąłbym u paserów, żyłbym wygodnie przez kilkadziesiąt lat. Powtarzam, za sumę, jaką by mi oferowali paserzy, a nie jubilerzy.

- Nie przesadzaj, pieniążki znikłyby po roku.

- Cóż robić, to nie jest moja wina. To głos natury - zaśmiał się Francesco, rozkładając z udanym zakłopotaniem ręce.

- Nie dowiedziałeś się przypadkowo nic o służbie?

- Wiesz przecież, że zawsze interesowałem się służącymi i kucharkami. One zresztą odpłacały mi się pięknym za nadobne. Otóż jest jedna zastanawiająca sprawa. Na osiem osób służby przypada pięciu kucharzy. Jeden włoski, drugi francuski, trzeci hiszpański, czwarty perski, piąty angielski.

- Wiem o tym. W tym nie ma nic nadzwyczajnego. Carlo Barenzo był smakoszem.

- No to co z tego. Pomyśl o proporcjach. Pozostają za ledwie dwie pokojówki i jeden lokaj. Ludzie do sprzątnięcia przychodzą z miasteczka. To jest trochę nienormalne, szefie.

- Jakie z tego wyciągasz wnioski?

- Nie wnioski, a wniosek - poprawił mnie Francesco. - Ten, że nie tylko ludzie w małych miasteczkach są zbikowani - wyrzekł z kamienną powagą.

Roześmieliśmy się.

- Według mnie, służba w tym wypadku nie odgrywała żadnej roli. Brat Carla też nie wygląda na mordercę.

- Tak... Lecz pewni ludzie przypuszczają, że ty wyglądasz jak Eskimos.

- To nędzne kłamstwo! - zawołał z patosem. - Tak mogą przypuszczać jedynie durnie i syfilitycy.

- Wypij wino - powiedziałem, napełniając znowu szklanki - ten trunek łagodzi złość.

- Ines Lona nie będzie na pogrzebie. Zjawi się we Włoszech dopiero za kilka dni.

- I to też musiałeś wy wachać, spryciarzu.

- Sądziłem, cholera, że to szefa zainteresuje.

- Zainteresuje, zainteresuje - potwierdziłem, przeciągając sylaby.

- Czy będą jeszcze jakieś rozkazy?

- Nie wiem. Gdyby coś było, zawiadomię cię.

- Jam nędzny podnózek pod stopami waszmości - zadeklamował.

- Jak wynika z twoich zapewnień, musisz się gdzieś spieszyć. Nie zatrzymuję cię. Do zobaczenia, Francesco.

Wyciągnąłem z szuflady biurka trzydzieści tysięcy lirów i położyłem je na stole. Francesco wziął banknoty ruchem tak delikatnym i pełnym wdzięku, jakby brał do ręki piękny i egzotyczny kwiat.

Po jego wyjściu zamknąłem drzwi na klucz. Przez chwilę porządkowałem biurko, usuwając z niego roczniki oraz butelki i szklanki. Podczas tych czynności pomyślałem, iż przydałaby mi się sekretarka, ale po chwili odrzuciłem tę myśl. Garden i paru innych przyjaciół kilkakrotnie zapytywali mnie, dlaczego nie zaangażuję sekretarki lub sekretarza. Odpowiedziałem im zgodnie z prawdą, iż biuro detektywistyczne powinno być kierowane przez jedną osobę, która dozoruje całość prac. Wtedy się jest pewnym absolutnej dyskrecji. A obecność sekretarki czy sekretarza łamałaby tę zasadę. Jednak w moich dwóch filiach w Mediolanie i we Florencji pracowały sekretarki, lecz te agencje zajmowały się przeważnie sprawami drobnymi, jak załatwienie się z szantażystami, śledzenie mężczyzn, których żony podejrzewają o zdradę itp. Ja sam na szczęście nie musiałem się zajmować tymi niezbyt godnymi mężczyzny sprawami. Zwalniała mnie od nich pozycja majątkowa i sława.

Po uporządkowaniu biura wyjąłem z kieszeni fotografie odcisków, jakie dostałem od Gardena. Zaczęła się praca. Porównałem fotografie policyjne z odciskami Enrica i jeszcze paru innych osób. Po skończeniu tych porównań zagwizdałem „Marsza Żółtodziobów”. Niestety, nie dane było mi go skończyć. Ktoś zapukał do drzwi. Schowałem

fotografie i kartoniki do szuflady biurka i poszedłem otworzyć. Przez sprytnie urządzenie, oparte na zasadzie peryskopu, zobaczyłem stojącego przed drzwiami Ricarda. Nacisnąłem przycisk automatycznego zamka i drzwi się otworzyły. Mój pracownik wszedł z cwaniackim uśmieszkiem i bez pytania rozwalił się na krzesło, robiąc uszczęśliwioną minę. Wróciłem za biurko.

- Ładna pogoda, szefie. Człowiek powinien siedzieć nad morzem, a nie w tym starym mieście.

- Czego się napijesz?

- Przecież ja tego nie mówiłem dlatego, żeby się napić. Jest nawet cokolwiek za gorąco na poważne picie - zastrzegł się Ricardo. - Jeżeli jednak szef chce się napić, to ja nie mogę odmówić. Tylko w taką pogodę najlepiej pić wino.

- Niech będzie wino.

Powtórzył się rytuał nalewania sprzed kilkunastu minut.

- Co z Partinim?

- Dowiedziałem się różnych rzeczy. Gdybym był w dalszym ciągu pracownikiem popołudniowego pisma, napisałbym artykuł pod sensacyjnym tytułem: „Zagadkowa postać popularnego reportera” po czym dałbym trzy wykrzykniki.

- Do rzeczy, Ricardo - napomniałem go.

- Dobrze, tylko jeszcze jeden łycalek. O tak... teraz już

mogę mówić. Zacząłem szukać informatora wśród dziennikarzy. Postawiłem różnym typom kilka kolejek i nic. Wtedy wpadłem na dobry pomysł. Dowiedziałem się, kto przedtem był kierownikiem działu miejskiego. Poprzednik Partiniego został wyrzucony z „Tempa” za jakieś skandale i awantury, tak że związek zawodowy nie mógł mu nic pomóc. Facet jest wściekły na cały świat i dopomaga jeszcze tej wściekłości przez siedzenie w barach. Robi to całymi dniami, z małymi przerwami na pisanie notatek do pewnego brukowca, w którym pełni odpowiedzialną funkcję „redaktora działu miejskiego”. Nie dziwię mu się wcale, że nie cieszy go ta posada, gdyż gazetka, w której pracuje, jest zwykłą szmatą. Tytuł jej: „Formica”. To mówi samo za siebie. Więc postanowiłem spotkać się z tym zawiedzionym facetem i spróbować pogadać z nim na temat jego następcy w „Tempie”. Wydostałem adresy wszystkich barów, w których zwykły przebywać, i zacząłem wędrowkę. Chwyciłem go dopiero w trzecim. Okazało się, że znam go z jakiejś knajpy, ale nie wiedziałem, jak się nazywa. Przywitaliśmy się więc naturalnie i bez tych wszystkich zagadywań, jakich wymaga zawieranie znajomości w barze.

Ricardo przerwał, by zapalić papierosa. Miał inteligentną, trójkątną twarz ze ściętym podbródkiem, przez co

pojawiał się na niej czasami grymas brutalności. Jeżeli chciał zaakcentować jakiś szczegół opowiadania, napinał mięśnie policzków, i wtedy pojawiały się na jego twarzy bruzdy, biegnące od kącików ust do ściętego podbródka. Twarz jego upodabniała się wówczas do fizjonomii aktorów grających czarne charaktery w filmach amerykańskich. Taki sam grymas powstawał w chwili, gdy Ricardo zaciągał się papierosem.

- Wypiliśmy na początek po jednej szkockiej whisky, choć bardzo tego nie lubię. Ale facet lirycznie głądził o whisky, tak że musiałem wypić przesiąknięty zapachem dymu i drzewa żółtobrzowy płyn.

- Coś mi się tak zdaje, że już kiedyś piłem whisky i wiem, jak to smakuje - przerwałem ponownie Ricardowi.

Byłem jednak pewny, że moja uwaga nie powstrzyma Ricarda od tysięcy dygresji i cofnięć.

- Przypuszczam, szefie, że kosztował pan niekiedy tego świństwa... Wcale nie przeczę, szefie. Wypiliśmy więc i zaczęliśmy narzekać na życie, a szczególnie na ciężką dolę dziennikarza w dzisiejszej Italii. Facet się rozgadał, więc przy drugiej kolejce, ot tak od niechcienia, spytałem go o jego zastępcę. On nigdy nie przestanie być adwokatem - oznajmił mi pijus. - To nie jest reporter z prawdziwego

zdarzenia. Po tym zdaniu umoczyliśmy wargi w resztkach żółtego świństwa i wtedy ja spytałem: Czy on był adwokatem? - Jasne, że był. Prowadził dość zyskowną kancelarię, aż pewnego dnia przewróciło mu się w głowie i wmówił w siebie, że ma talent reporterski.

Nic więcej się już od niego nie dowiedziałem. Zapłaciłem wtedy za dwie kolejki i wyszedłem z baru.

Ricardo strzepnął popiół z papierosa i zapatrzył się w otwarte okno.

- Tak... To nie była łatwa sprawa – powiedział po chwili milczenia. - Piękna pogoda, aż grzechem jest siedzieć w mieście - westchnął i wypił łyk wina.

Z kolei ja zapaliłem papierosa. Popatrzyłem znacząco na Ricarda. Zrozumiał. Poprawił się na krześle, jakby było ono szalenie niewygodne, zrobił brutalną minę i zaczął na nowo swe sprawozdanie.

- Po wyjściu z baru udałem się do swego przyjaciela, który zbiera stare książki telefoniczne. Otworzyłem książkę z roku 1954 pod literą „P” i rozpocząłem poszukiwania. Nie trwały one długo. Przeczytałem: Cristoforo Partini, adwokat, via del Mandorio. Pożegnałem mego przyjaciela kolekcjonera i pojechałem na via del Mandorio nr 3. Miałem szczęście,

że na schodach spotkałem niebiesko ubranego chłopczyka, który na pytanie: „Gdzie tu mieszka pan Partini?” odparł: „Na drugim piętrze, mogę pana zaprowadzić”. Ledwie mi się udało uwolnić od zniewalającej uprzejmości tego chłopca. Grzecznie wszedłem na drugie piętro i przeczekałem tam, aż chłopiec wyniesie się z kamienicy. Gdy to tylko uczynił, zszedłem na dół i obejrzałem sobie tynk koło bramy. Zgodnie z moimi przewidywaniami, była jaśniejsza plama po zdjętej tabliczce. O! Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że na drzwiach mieszkania Partiniego przybity jest bilet wizytowy: Cristoforo Partini - dziennikarz.

Ricardo umoczył usta w winie. W niepojęty dla mnie sposób wino nagle znikło ze szklanki. Mój pracownik przesunął po mnie obojętnym spojrzeniem i od niechcienia przytknął paznokciem w szklankę. Zabrzmiało to jak sygnał. Nie mogłem być nieczuły. Szklanka Ricarda przy mojej wydatnej pomocy napełniła się po raz drugi. Ale dałbym słowo, że on tylko umoczył usta w winie...

- Poczułem się głupio... Wystarczyło przecież wziąć nową książkę telefoniczną i popatrzeć pod „P”. Mimo wszystko nie byłem zupełnie niezadowolony z obejrzenia tego domku. Partini mieszkał w dawnej kancelarii. To mogło wskazywać na zubożenie właściciela albo był to czysty przypadek.

Ja też zrezygnowałem z niepotrzebnego mieszkania. Tak... Dalej już wszystko poszło gładko. Pogadałem z jednym adwokatem. Zna Partiniego. Podał mi adres jego pomocnika. Jest to podobno stary facet, w tej chwili dość biedny. Tutaj jest adres.

Ricardo położył wydartą z notesu kartkę z adresem pomocnika Partiniego. Pismo Ricarda było duże i wyraźne.

- Partini przestał praktykować w roku 1956. Od tego czasu, jak pan sam wie, zdążył się stać popularnym reporterem. Dział miejski jest zwykle obsadzony przez plotki, które biegają z notesami i węszą, gdzie kto wpadł pod samochód czy skręcił kark, wyskakując z szóstego piętra. Z Partinim jest inaczej. „Tempo” zawdzięcza swoją popularność właśnie jemu. Nie umieszcza on krótkich notatek, ale raczej małe opowiadania na wzór niektórych pism amerykańskich. Czytelnicy mają więc i informację, i literaturę piękną. Przebrałem kilka ostatnich reportaży Partiniego. Są to przeważnie opisy miejsc zbrodni. Ten facet ma wyobraźnię. Zwykle, odrapane kamienice, nieładne wewnątrz, nabierają w jego reportażach niezwykłych cech. To taki dziennikarski Poe, potrafi wytwarzać nastrój grozy i niesamowitości. Nic więc dziwnego, że nakład „Tempa” wzrósł w ostatnich dwóch latach o czterdzieści tysięcy. Dopiero przed kilkoma

godzinami dowiedziałem się, że Partini jest bogaty, ale co ciekawsze, stał się nim dopiero przed dwoma laty, tj. jak przestał być adwokatem. Nie sądzę, żeby dziennikarka, pomimo sławy jaką osiągnął, dawała mu takie dochody. Zacząłem węszyć, ale nie udało mi się odkryć źródła dochodów tego pana. To by było wszystko.

- Dziękuję, Ricardo.

Podąłem mu wyjęty z biurka plik banknotów. Dwadzieścia tysięcy lirów.

- Z tą babką już skończone na serio, czy to żart, szefie?
- spytał, chowając pieniądze.

- Skończone.

- Cholera, taka babka...

- Do zobaczenia, Ricardo.

- Czołem, szefie.

Po wyjściu tego zdolnego chłopca jedna uparta myśl zaczęła koło mnie krążyć jak nitka z pajęczyny przyczepiona do włosów podczas letniego wiatru; ale to wszystko były przeczucia. Następne godziny powinny przynieść rozwiązanie, będzie ono jednak na pewno w ramach dwóch hipotez, które powziąłem niedługo po zamordowaniu Carla Barenzo.

Wsadziłem do kieszeni kartkę z adresem pomocnika Partiniego i wyszedłem z biura.

IX

Mieszkanie Eduarda Darnavale, byłego biuralisty z kancelarii mecenasa Cristofora Partini, odznaczało się schludnością i pedanterią. Właściciel dbał o czystość swego mieszkania w sposób przesadny i znamionujący starego kawalera o niewielkich dochodach. Przedstawiłem mu się jako człowiek potrzebujący sekretarza. Powołałem się na Partiniego. Zaszuszy biuralista uwierzył.

- Zaraz zrobię kawy - zapewnił mnie Eduardo Darnavale i zaczął krzątać się po pokoiku.

Przy kawie rozmawialiśmy około pół godziny. Mówiliśmy o polityce, o partii chrześcijańsko-demokratycznej, do której ten mężczyzna należał, napomknąłem coś o mającym nastąpić przesileniu gabinetu.

- Niemożliwe, nic o tym nie słyszałem - zawołał.

Najwięcej rozmawialiśmy o przyszłej współpracy. Nie miałem żadnych skrupułów, okłamując mego rozmówcę,

gdyż postanowiłem zostawić mu sumę wystarczającą na wygodne przeżycie kilku miesięcy.

Zamieniliśmy również kilka zdań o Partinim.

- Szkoda, że zlikwidował kancelarię. Pracowało się tam bardzo dobrze - powiedział Darnavale.

Grzecznie przytaknąłem.

A później ten spokojny człowiek wypowiedział zdanie, które skłoniło mnie do zmiany dotychczasowych poglądów na całą sprawę. Pomyślałem nawet o wycofaniu się ze śledztwa. Wprawdzie zamiar ten odrzuciłem już na schodach kamienicy, w której mieszkał Darnavale, ale został we mnie jakiś osad. Osad psujący harmonię. W moim wypadku harmonię dotychczasowego śledztwa.

X

Obiad zjadłem w małej restauracyjce, słynącej z wyszukanych zakąsek podawanych przed obiadem. Sam obiad również nie był zły.

Po wyjściu z restauracji wsiadłem do lancii i pojechałem do stacji benzynowej. Tam uzupełniłem zapas benzyny i kazałem wyczyścić wóz. Nie trwało to długo. Z Rzymu wyjechałem o godzinie pierwszej minut dwadzieścia. Upał towarzyszył mi aż do Lugaro.

W miasteczku panowało podniecenie. Mnóstwo pięknych aut jeździło wąskimi uliczkami. Przyjechali nimi uczestnicy mającego się odbyć o godzinie piątej pogrzebu. Nie było sensu rozmawiać przed pogrzebem z bratem zamordowanego. Z miasteczka płynęły tłumy w kierunku domu producenta filmowego.auta przeciskały się między przechodniami, którzy szli nie tylko chodnikami, ale i jezdnią; ludzie rozstępowali się niechętnie, klaksony rozlegały

się ustawicznie. W połowie drogi do nowoczesnego domu zrezygnowałem z dalszej jazdy. Przeczekałem, aż przejdą chętni do uczestniczenia w pogrzebie i zawróciłem w kierunku miasteczka. Zatrzymałem wóz przed miejscowym hotelem i wszedłem do wysokiej, chłodnej sali jadalnej. Usługiwała tu niedorozwinięta dziewczyna. Widocznie właściciele także poszli na pogrzeb.

Chłód panujący w tej wysokiej i rozległej sali sprzyjał skupieniu. Zamówiłem szklankę soku pomarańczowego i zacząłem się zastanawiać nad wyeliminowaniem pewnych osób ze śledztwa.

Siedząc w tej sali, mając za sobą krzątającą się dziewczynę, postukującą naczyniami, postanowiłem uciec się do zwykłej mojej metody, czyli zrobienia „rachunku sumienia”, jak dowcipnie nazwał tę metodę inspektor Balestra, pracownik Interpolu, współdziałający ze mną nad rozwiązaniem zagadki dwóch identycznych napadów rabunkowych w Paryżu i Turynie.

Wyjąłem notes i ołówek.

Przestałem pisać. Ktoś zachichotał. Obróciłem się. To śmiała się dziewczyna, wpatrzona w trzymaną przez siebie szklankę. Oczy miała wybałuszone, z kącików ust ciekła ślina. Wróciłem do poprzedniej pozycji. Pochyliłem się nad przeczytaną kartką i przeczytałem jeszcze raz. Potem podarłem ją na drobne kawałeczki i spaliłem na popielnicze.

Paleniu towarzyszył cichy, o jednostajnym rytmie i przejmującej melodii śpiew dziewczyny.

Wypiłem do godziny siódmej wieczorem cztery szklanki soku pomarańczowego i wypaliłem paczkę papierosów. O godzinie siódmej zapłaciłem należność właścicielce, która wróciła z pogrzebu i dzieliła się wrażeniami z nienormalną dziewczyną. Ta słuchała chlebowdawczynie z otwartymi ustami i obojętnością w oczach.

Wyszedłem przed hotel. Ludzie stali grupkami, dzieląc się uwagami na temat śmierci i pogrzebu Carla Barenzo. Przysłuchiwałem się chwilę tym rozmowom, ale zniechęcony ich jałowością, wsiadłem do lancii i pojechałem w kierunku domu producenta filmowego.

Wokół domu stało kilkanaście aut. Zatrzymałem wóz obok czarnego pontiaca. Drzwi domu otworzył mi dostojny lokaj, o którym opowiadał mi wczoraj Maurizio Barenzo. Przez szklaną płytę zobaczyłem siedzących przy stole ludzi: kilkunastu mężczyzn i cztery kobiety. Przez twarz gospodarza przebiegł skurcz; sądzę, że obecni tego nie zauważyli. Maurizio Barenzo nie darmo był psychoanalitykiem. Podniósł się z krzesła z tą wzruszającą powagą, cechującą najbliższych krewnych zmarłego, i okrągłym gestem wskazał mi miejsce. Kiedy zbliżałem się do krzesła, podbiegł do mnie i serdecznie uściskał mi dłoń. To było hasłem do

powstania od stołu reszty gości i rozbicia się na małe grupki. Witając się z Barenzem, spostrzegłem znajomego reżysera, który pierwszy poinformował mnie o stosunkach panujących w świecie filmowców i udzielił mi wiadomości o samym Carlu Barenzo. Reżyser, widząc mnie, podszedł uśmiechnięty z wyciągniętą dłonią.

- Nie wiedziałem, że panowie się znają - stwierdził cierpko Maurizio Barenzo.

- O! Nawet dość długo - zapewnił go życzliwie reżyser.

- Niestety, nie mogłem być na pogrzebie - zwróciłem się do psychoanalityka - miałem niecierpiące zwłoki zajęcia.

- Rozumiem, rozumiem - pośpieszył zapewnić mnie Barenzo - w pana zawodzie musi się to często zdarzać.

- Nie wiedziałem, że cię tu spotkam - przerwał mu reżyser, zwracając się do mnie.

- Pana na pewno sprowadzają tu sprawy zawodowe? - spytał gospodarz.

- W pewnym sensie tak, ale mówiąc prawdę, sam nie jestem tego bardzo pewny.

- Cóż za przezorność - roześmiał się dyskretnie człowiek, lubiący nocne wędrówki po lesie.

- Czy to coś ciekawego? - zapytał z głupia frant reżyser, patrząc na mnie porozumiewawczo.

- Zależy dla kogo. Dla mnie tak. Nie wiem tylko, czy to

jest równie ciekawe dla innych zainteresowanych osób.

Barenzo przygryzł wargi.

- Mówi pan zagadkowo - odezwał się po chwili.
- To moja specjalność - pospieszyłem go zapewnić.
- W takim razie my, psychoanalitycy, wkrótce umrzemy z głodu.

- Nie ma o to obawy, pozostaje jeszcze tyle innych szlachetnych przyzwyczajęń.

Reżyser popatrzył na mnie badawczo. Zrozumiał, że nasza rozmowa nie jest zwykłą wymianą uprzejmości.

- Śmieszą mnie ci ludzie - powiedział gospodarz, patrząc na ożywione grupki. Udają zmartwionych, a w gruncie rzeczy traktują to jako zwykłe zebranie towarzyskie. Chodźmy posłuchać, o czym z takim zapałem rozmawiają.

Elegancki starszy pan mówił:

- Ja powiedziałem: „Proszę pani, ma pani być aktorką filmową, a nie członkinią związku zawodowego”.

Ludzie, otaczający starszego pana, wybuchnęli śmiechem.

- To De Manti - szepnął mi do ucha psychoanalitik i jego pomarszczona twarz wykrzywiła się zabawnie.

- Proszę coś jeszcze opowiedzieć - poprosiła jakaś pani z włosami ufarbowanymi na kolor platyny.

- Nie teraz, moja droga... Nie teraz. Chwila jest zbyt poważna - odpowiedział De Manti, spozierając na gospodarza.

- Więc może ja coś pani opowiem - rozpoczął z uśmiechem Barenzo. - Czasem trafiają się w mojej praktyce ciekawe wypadki...

- Słyszałam, że pan bardzo rzadko przyjmuje pacjentów - infantylnym głosem zaszczebiotała kobieta.

- Tak, przyjmuję dość rzadko, ale jednocześnie na tyle gęsto, by zaobserwować ciekawe przypadki. A więc pewnego dnia zjawiła się w tym domu piękna kobieta i oświadczyła, iż jest amazonką pędzącą na koniu z mieczem w dłoni. Spytałem ją: „Czy to się pani śni?” - „Ach! Nie, mnie się wydaje”. Poradziłem więc jej, by wyszła za męża. Nie wiedziałem, że tą radą zaspokoję jej najszybsze pragnienia.

- Hihihih - domyślnie zachichotała kobieta o platynowych włosach.

- To jeszcze nie koniec - zwrócił się do niej Barenzo, przymrużając lewe oko. - Trzy miesiące później przeczytałem w gazecie, iż ta miła pani przebiła prawdziwym mieczem swego świeżego męża. Gdy się zjawiła policja, owa

pani siedziała w stajni, na koniu, w pełnym rynsztunku amazonki.

- Okropne - stęknęła piękność. - Jak można opowiadać takie rzeczy. I w dodatku użył pan słów: „świeżego męża”. To straszne. Och, doktorze, pan jest okrutny.

- Chętnie bym z tego zrobił nowelę filmową, tak... to by mogło być dobre - wtrącił De Manti.

- Życie staje się coraz niebezpieczniejsze - odezwał się z westchnieniem grubas w świetnie skrojonym garniturze i ze złotym sygnetem na palcu - najlepszy przykład to śmierć naszego nieodżałowanego przyjaciela. Nikt dzisiaj nie może być pewny własnego bezpieczeństwa. Kto mi może zaręczyć, że wśród nas nie ma mordercy.

- Ależ co ty mówisz, Paulo - z niesmakiem odezwała się brunetka o niebieskich oczach, która zbliżyła się do rozmawiających. - Przecież to nonsens.

- Proszę się tym nie przerażać - uspokoił ją Barenzo. - W każdym człowieku tkwi potencjalny morderca i nic na to nie poradzimy.

- Nauka jest zbyt okrutna - z udaną egzaltacją westchnęła brunetka - i trudno się czasem z tym pogodzić.

- Znam ludzi okrutniejszych od naukowców - powiedział i spojrzał na brunetkę.

Ta spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Jeżeli tylko znajdziemy zabójcę naszego przyjaciela - odezwał się niespodziewanie poważnym głosem De Manti - to...

- Chciał pan powiedzieć, że znajdzie go policja - poprawił Barenzo.

- Tak, jeśli tylko znajdzie go policja, będziemy musieli złożyć apel do sądu o najwyższy wymiar kary - dokończył filmowiec z patosem.

- Po co te bajeczki - odezwał się człowiek nazwany przed chwilą Paulem - sąd i tak wymierzy mu sprawiedliwość, a my nie potrzebujemy się ośmieszać.

- Nie bierz tego tak poważnie - pouczyła go brunetka. - Pan De Manti chciał zadokumentować naszą przyjaźń do zmarłego. Czy nie tak? - zwróciła się zalotnie do filmowca.

- Można to i tak interpretować - odparł filmowiec, gładząc swój krótko przystrzyżony, siwiejący wąsik.

Słuchałem tej rozmowy, myśląc, że przyniesie ona jakieś nieznanne mi szczegóły, ale była to tylko czcza paplanina. Trąciłem lekko w ramię Barenza. Ten obejrzał się. Wówczas wskazałem mu brodą następne pomieszczenie. Kiwnął potakująco głową. Już mieliśmy się wycofać, gdy zbliżył się do nas stary, przygarbiony mężczyzna.

- Aaa, młody Pesco! Gdzie się uczysz? Pamiętam twego ojca, chłopcze - zwrócił się do mnie.

Na twarzach obecnych pojawiły się lekkie uśmiešky. Sytuacja stawała się niezręczna. Skłoniłem się uprzejmie staremu człowiekowi i skierowałem się w stronę szklanej płyty, oddzielającej ten pokój od następnego pomieszczenia. Za mną pospieszył psychoanalityk.

Przymknęliśmy za sobą płytę i ulokowaliśmy się na gabkach. Nie wiedziałem, że te pomieszczenia są tak dobrze izolowane od wszelkich dźwięków. Z sąsiedniego pokoju nie przedostawał się najmniejszy nawet szmer. Wyjąłem paczkę papierosów i poczęstowałem siedzącego obok mnie mężczyznę.

- Chciałem pana zapytać, czy nie śniło się panu nic nowego. Może by mi się udało wyleczyć pana z niespokojnych snów?

- Czyli proponuje mi pan zamianę ról? - zapytał psychoanalityk, marszcząc twarz.

- Coś w tym rodzaju - potwierdziłem z uśmiechem.

- Propozycja dość kusząca - ciągnął Barenzo, nie objawiając zmieszania - mogę się na nią zgodzić.

- Wobec tego może mi pan powie, co pan robił dzisiejszej nocy?

- Spałem, drogi panie, spałem.

- Jeżeli nie będzie pan mówić prawdy - odezwałem się, a ton mego głosu był nieco twardszy - wtedy może pan stanąć przed sądem oskarżony o zabójstwo brata.

- Mam alibi.

- Tym gorzej dla pana.

- Niech pan nie będzie dziecinny. Mam świadków. A sąd im uwierzy.

- Ja też mogę mieć świadków. Na razie mam dowody. Wystarczające, by pana wkopać. Zrozumiał pan?!

- Szantaż? - spytał Maurizio Barenzo.

- Tak. Szantaż. Jeżeli nie będzie pan mówić prawdy, wkopię pana. Jak dwa razy dwa jest cztery.

- Niech pan nie zapomina o jednym. Nie jestem zobowiązany odpowiadać panu na pytania. Pan nie jest z policji. A nawet policji mógłbym nie odpowiadać.

- Przestańmy się bawić w ciemno-jasno. Jeżeli nie będzie pan odpowiadał na moje pytania, nic nie powstrzyma mnie od wkopania pana. To chyba jasne. Zrobię to z tym większą przyjemnością, że nie lubię ludzi upartych.

- Słucham pana - powiedział drewnianym głosem. Twarz jego przypominała ściśniętą gąbkę.

- Dobrze. Zacznę od innego pytania. Czy spodziewa się pan odziedziczyć majątek swego brata?

- Prawdopodobnie po połowie z Ines Loną. Tak kiedyś przebąkiwał o tym brat.

- Cieszę się, że dzisiejsza odpowiedź jest bardziej konkretna niż wczorajsza. Czy nie wydaje się panu jednak dziwne, iż brat, młodszy od pana o szesnaście lat, myślał, że umrze pierwszy?

- Nie wydaje mi się to dziwne. Brat posiadał majątek, a ja go nie miałem. Stąd on mógł mi zapisać pewną część, a ja nie mogłem.

- To dosyć przekonujące. Czy brat w stosunku do pana był hojny?

- Tak. Żyłem swobodnie.

- Czy dawał panu jakieś prezenty? Na przykład na urodziny?

- Dawał.

- Czy zawsze były to drogie kamienie? - spytałem ostro. Twarz siedzącego obok mężczyzny zmieniła wyraz.

- Przeważnie były to drogie kamienie - odpowiedział, usiłując zachować spokój. Nie bardzo mu to się udawało.

Spojrzałem przez szklaną płytę. Platynowa blondynka opowiadała coś z ożywieniem, De Manti skubał swój wąsik. Nagle uwaga wszystkich odwróciła się od opowiadającej. Weszło czterech mężczyzn w dziwacznej liberii, niosąc cztery tace pełne zakąsek

- Czy powtarza pan swoje twierdzenie, iż pański brat nie odczuwał przed śmiercią żadnych obaw lub lęków?

- Ja nie zauważyłem niczego takiego.

- Jak w takim razie wytłumaczyć fakt, iż pan był jednym z ludzi, którzy namawiali go do zaangażowania obrony osobistej?

- To nieprawda.

- Proszę nie zaprzeczać. Mam na to dowody.

Zmarszczki ułożyły się inaczej. Przypominał teraz chorą małpę.

- Brat skarżył się na szantażystów - rozpoczął opowieść głosem cichym i zmienionym - ale nie chciał powiedzieć, co było powodem szantażu. Wie pan - dodał z nikłym uśmiechem - nigdy nie miałem powołania na spowiednika. Często bywał zdenerwowany. Radziłem mu, by się udał na policję. Niestety nie posłuchał mojej rady. Może nie mógł... Nie wiem.

- Od kiedy brat zaczął okazywać zdenerwowanie?

- Od roku. Dokładnie od lipca poprzedniego roku.

- Proszę mówić dalej.

- Wiem, że kilkakrotnie wypłacił szantażystom dość duże sumy. Gdzieś przed tygodniem, zaraz... dokładnie przed jedenastoma dniami oświadczył mi, iż powiedział szantażystom, że nie dostaną ani grosza. Był strasznie zdenerwowany.

Dostał szoku. Uspokoilem go. Carlo krzyczał, rozbił nawet dosyć cenną wazę. Poradziłem mu wtedy wynajęcie obrony osobistej. To jest dość często praktykowane. Carlo z początku nie chciał nawet o tym słyszeć, mówiąc, że nic to mu nie pomoże. Potem zaczął się zastanawiać. W końcu przystał na mój plan. Dlatego prawdopodobnie udał się do pana.

- Czy brat pana po odebraniu telefonu z Rzymu nie wyglądał na zdenerwowanego?

- Nie. Widocznie musiał dzwonić ktoś ze znajomych.

- Czy przypuszcza pan, kto to mógł być?

- Nie. Carlo miał tylu znajomych...

- Co pan mówił policji?

- To co panu poprzednim razem.

- Kto pana przesłuchiwał?

- Jakiś sierżant.

Ty leniwcze, Franco - pomyślałem.

- Czy domyśla się pan, kto mógł szantażować brata?

- Nie. Carlo podczas szoku krzyczał: „Nic im więcej nie dam!”. Z tego wynika, że szantażowało go kilka osób.

- Dlaczego nie powiedział pan prawdy policji?

- Sądziłem, że to nic nie pomoże. Sprawa zakończyła

się wraz ze śmiercią Carla. Wie pan - zaczął mówić szybko - w naszym zawodzie nigdy nie jest się pewnym, czy się jest normalnym. Niech mi pan uwierzy, co pewien czas idę do jednego z kolegów i poddaję się psychoanalizie. Na pewien czas to pomaga. Dlatego staram się jak najrzadziej przyjmować pacjentów. Boję się o siebie. Pan to rozumie, prawda? Nie odpowiedziałem.

- Dlatego nie chcę wiedzieć, co to zemsta - ciągnął - boję się o siebie. Życia i tak Carlowi nikt nie zwróci.

- Pan się ucieszył śmiercią brata?

- Tak, że skończył się koszmar. To wcale nie było przyjemne. Jestem egoistą, musi pan to zrozumieć, jestem egoistą - podniósł głos prawie do krzyku.

- Zabawna jest ta mieszanina prawdy i kłamstwa - odezwałem się, gasząc papierosa. - Niech pan przestanie się zgrywać. Oddzielmy teraz prawdę od kłamstwa. Wierzę, że nie wie pan, kto szantażował brata. Ale pan się cieszy z zupełnie innego powodu. Dostał pan to, o czym pan od dawna marzył.

- Nie rozumiem pana - powiedział już zupełnie spokojnie.

- Niepotrzebnie opowiada pan bajeczki o koszmarze i innych równie miłych rzeczach. Niepotrzebnie robi pan z

siebie kandydata na nienormalnego. To panu nic nie pomoże. Wyjaśnię to panu za chwilę. Proszę teraz odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań. Czy brat lubił alkohol?

- Lubił.
- W jakich porach dnia pił?
- Włoch pije przez cały dzień - odpowiedział Barenzo.
- Czy wie pan o tym, że brat pana zginął, nie będąc trzeźwym?

- Wiem. Powiedział mi o tym sierżant.
- Czy były osoby, z którymi lubił pić?
- Nie słyszałem o takich. Wątpię, żeby Carlo miał specjalnego kompana do picia. Minęły czasy, gdy ludzie zatrudniali podczasznych, koniuszych i jeszcze innych pachółków.

- Mnie się też zdaje - uciąłem. - Czy może mi pan powiedzieć, co stało się szczególnego w lipcu lub czerwcu zeszłego roku? Coś, co mogłoby dać powód do szantażowania pańskiego brata? A może pan ma jakieś podejrzenia?

- Nic takiego się nie wydarzyło. Przynajmniej ja o tym nie wiem. A podejrzeń żadnych nie mam.

Twarz psychoanalityka znowu zmieniła swój wyraz. Zmarszczki jakby się wygładziły. Podczas mówienia błyskały wspaniałe zęby... Najlepsze wyrażenie to: złowrogo.

Trudno to opisać. Czasami buldogi podczas warczenia pokazują w ten sposób kły.

- Czy ma pan jakieś namiętności? Na przykład kolekcjonerstwo?

- Mam.

- Co pan zbiera?

- Drogie kamienie.

- A czy bardzo by się pan zdziwił, gdybym panu oświadczył, iż brat panu nic nie zapisał?

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem spuścił głowę.

- Czego pan chce?

- Aby pan mówił prawdę. Mam do pana prośbę. Proszę mi pokazać swój zbiór kamieni.

- Czy to jest konieczne?

- Tak.

- Proszę poczekać - zwrócił się do mnie, wstając.

Skinąłem głową. Maurizio Barenzo znikł za szklaną płytą. Popatrzyłem w przeciwnym kierunku. Zebrani w sąsiednim pokoju uczestnicy pogrzebu raczyli się trunkami. Brunetka gestykulowała ogniście tuż przed nosem mojego znajomego reżysera. Ruchy brunetki przypominały grę aktorów filmu niemego. Zapaliłem nowego papierosa. Wszedł Maurizio Barenzo, niosąc w rękach ogromną kasetkę. Położył stalowe pudełko przede mną i usiadł na poprzednim miejscu.

Przez chwilę oglądałem klejnoty. Kasetka, którą przyniósł brat zamordowanego, nie była tą ze zdjęcia.

- Dziękuję - powiedziałem - zatrzymując wieczko.

- Odniosę ją - odparł Barenzo, niespokojnie zerkając na sąsiedni pokój wypełniony tłumem gości.

Znów czekałem przez kilka minut.

- Dlaczego nie powiedział pan prawdy temu sierżantowi? - spytałem go, gdy wrócił.

- Nie wiem, kim są szantażyści. Nie chcę się narażać.

Zabrzmiało to odpychająco. Wiedziałem, że była to jednak prawda.

- To brzmi najładniej - i szybko dodałem: - Kiedy nastąpił szok u brata?

- Przed jedenastoma dniami - odpowiedział równie szybko.

- Co stłukł wtedy brat? - spytałem jeszcze szybciej.

- Wazę.

- Lubi pan pracę naukową?

- Tak. Wydałem niedawno książkę.

- Wiem. Dlaczego brat panu nic nie zapisał?

- Może zapisał. Nic jeszcze nie wiadomo.

- Wie pan tak samo dobrze jak i ja, że nic pan nie dostanie - powiedziałem rozkazująco.

- Wiem - zgodził się potulnie i popatrzył na mnie z przerażeniem i nienawiścią.

Wszystkie te pytania i odpowiedzi padały niesłuchanie szybko. Czasami metoda szybkich pytań przynosi rezultaty. I - co jest paradoksalne - przeważnie u ludzi wykształconych. Człowiek wykształcony myśli o następstwach poprzedniej odpowiedzi i dlatego nie ma czasu na przygotowanie się do odpowiedzi bieżącej.

- Proszę nie patrzeć na mnie jak operetkowy zbójca - powiedziałem prawie pieszczotliwie. - Od tej chwili nie jest pan podejrzany o zamordowanie swego brata.

Zmarszczki ułożyły się inaczej. Była to twarz zmęczonego człowieka.

- Wiem, że lubi pan dobrobyt, a słyszałem, że Ines Lona nie kocha pana zbyt - ciągnąłem. - Wiem również, że kocha pan drogie kamienie. Czasami drogie kamienie ułatwiają wygodne życie. Na przykład w wypadku, gdy Ines Lona nie zechce pana utrzymywać. Proszę mi powiedzieć, dlaczego brat pana nie lubił?

- Nie można powiedzieć, że mnie nie lubił. To było bardziej zawile. W dzieciństwie ja nad nim górowałem inteligencją. Wtedy powstał u niego uraz. Gdy wrócił ze Stanów jako milioner, wziął mnie na utrzymanie. Było mu przyjemnie utrzymywać brata, który nad nim górował inteligencją.

Ja natomiast wolałem dobrobyt niż dumę. Dlatego zgodziłem się na mecenat Carla... Tak, to było w pewien sposób poniżające, ale ja jestem leniwy i lubię pieniądze. Carlo afiszował się swoją dobrocią w stosunku do mnie. Opowiadał wielu ludziom, że mnie utrzymuje i daje na urodziny drogie kamienie. Jego poczucie niższości zostało w ten sposób zaspokojone. Ines Lona wyczuła prawdziwy obraz naszych stosunków. Dla przypodobania się Carlowi starała się być w stosunku do mnie ordynarna i złośliwa. Carlo miał przyjemność pouczać ją, że należy być uprzejmym dla takiej kreatury, jaką ja jestem. Nie wiem, może teraz Ines Lona będzie uprzejmiejsza...

- Zegnam pana - powiedziałem, podnosząc się. - Proszę się nie obawiać. To, że przywłaszczył pan sobie klejnoty brata, pozostanie naszą tajemnicą.

Twarz jego upodobniła się do maski clowna.

- Dzisiejszej nocy... ktoś mnie fotografował, jak wykopywałem...

- Proszę się nie obawiać. To mój człowiek

- O! To dobrze. Może mi pan wyświadczy małą przysługę i przyjmie ode mnie mały rubin.

- Dziękuję bardzo i przepraszam za odmowę. Jeżeliby pan mógł, to proszę mnie wyprowadzić niepostrzeżenie.

Wyszliśmy do sąsiedniego pokoju. Twarz Maurizia Barenzo przybrała swój zwykły, złośliwy wyraz.

- Strasznie tęskniłam za panem, doktorze. Ten De Manti jest taki głupi - zniżając głos, powiedziała do psychoanalityka platynowa blondynka.

- Cóż robić, ogląda przez długie godziny własne filmy - równie cicho odpowiedział Barenzo.

Blondynka roześmiała się hałaśliwie.

Skinąłem głową gospodarzowi i możliwie dyskretnie się wycofałem. Drzwi otworzył mi lokaj. Skłonił się z szacunkiem. „Czyżby podsłuchiwał?” - pomyślałem. Cicho zatrzasnęły się za mną drzwi. Jeszcze raz popatrzyłem na budynek odcinający się jasną plamą w mroku.

XI

Po przyjeździe do Rzymu nie skierowałem auta w ulicę prowadzącą do domu. Pojechałem w kierunku mojego biura. Byłem ogromnie ciekaw, czy znajdę coś, co by potwierdziło moje przypuszczenia. Zapaliłem światło, zamknąłem drzwi na zatrzask i zbliżyłem się do szafy, skąd wyciągnąłem roczniki dwóch gazet. Daty na gazetach były z ubiegłego roku.

Poszukiwania zacząłem wśród numerów pochodzących z maja, czerwca i lipca. Była to dość wątpliwa metoda, lecz przy odrobinie szczęścia... Przeczytałem opisy dwóch katastrof kolejowych, które wydarzyły się z początkiem maja w okolicach Wenecji. Wzruszyłem się sprawozdaniem z sali sądowej, gdzie odbywał się proces o zniesławienie. Połknąłem wiadomość o napadzie na kasę kolejową w Porto Civitanova. Przebiegłem oczyma sprawozdanie z wyścigu samochodowego. Wgryzłem się w artykuł o metapsychologii i okultyzmie. Oglądałem fotografie trzech zbrodniarzy,

jednego premiera, wykwintnej kucharki, zdjęcia bohaterskiego posterunku policji, dziesięć fotografii miss świata, Panamy, USA, Brazylii, Meksyku, Włoch, Francji, Luksemburga, Niemiec, Alaski i Nowej Zelandii, zdjęcie wymownego kaznodziei i jeszcze dziesiątki innych. Przeleciałem przez tytuły, informujące grubą czcionką o trzęsieniach ziemi, upadkach gabinetów, ślubach i notach dyplomatycznych.

Czytałem najprzeróżniejsze bzdury, tym jeszcze śmieszniejsze, że patrzyłem na nie z dystansu czasu, ale nie było wiadomości, która mogła mi się okazać pomocna. Zainteresował mnie dopiero artykuł donoszący o śmierci jednego z producentów filmowych. Podaję go w całości.

Śmierć znanego producenta filmowego!

Wczoraj, tj. dnia 14 czerwca, na szosie łączącej Bolonię z Ferrarą miał miejsce tragiczny wypadek samochodowy. Prowadzący wóz znany producent filmowy, Manco Estello, stracił panowanie nad kierownicą i wpadł na betonowy słup, ponosząc śmierć na miejscu. Jak wykazały badania, wypadek powstał przez pęknięcie wału kierowniczego. Policja podejrzewa, iż jest to zbrodniczy zamach. Co ciekawsze, wóz producenta był nowym de soto, wyprodukowanym w tym roku. Jest prawie niemożliwością, by tego typu wóz

mógł mieć tak poważną usterkę. Badania, jakie przeprowadziła policja w garażu naprawczym w Rzymie, gdzie kilka dni temu stał wóz w celu wymiany oleju, nie przyniosły rezultatu. Mechanik, który opiekował się wozem, jest znanym i cenionym od lat pracownikiem.

Jedno jest pewne. Na śmierci Marca Estello skorzysta przede wszystkim konkurencja. Może najbliższe dni przyniosą rozwiązanie tej tragicznej zagadki.

Ze szczególną uwagą przestudiowałem następne numery, ale oprócz wzmianki o pogrzebie producenta nie było żadnych innych wiadomości. Włożyłem rocznik na powrót do szafy i usiadłem za biurkiem. Bawiłem się ołówkiem. Kiedy wstałem zauważyłem, że machinalnie napisałem na kawałku papieru: Na śmierci Marca Estello skorzysta przede wszystkim konkurencja. Uśmiechnąłem się i wrzuciłem papier do kosza. Zgasilem światło i opuściłem biuro. Wsiadając do auta, pomyślałem, że warto by coś przekąsić. Po krótkiej jeździe zaparkowałem przed neonowym napisem: Divertimento. Był to mój ulubiony lokal, słynący nie tylko z dobrego jazzu, ale i z wyśmienitego jedzenia. Otwarty przez całą noc. Spojrzałem na zegarek; była godzina pierwsza minut trzy.

Divertimento cieszył się dużą popularnością. Nie był to jeden z tych wielu lokali, markujących swą popularność

przez wynajętych tancerzy, udających szalenie rozbawione towarzystwo, aby tylko ściągnąć klientów. Nie, ten lokal cieszył się prawdziwą popularnością, i to już od czterech lat.

Podszedł znajomy kelner i z tą mieszaniną szacunku i własnej godności, właściwą jedynie starszym kelnerom, podał mi menu. Zamówiłem kolację i butelkę bordeaux chateau des mille secousses.

Po jedzeniu zapaliłem papierosa i rozejrzałem się po sali. Jakaś kobieta pomachała do mnie ręką. Wstałem i zbliżyłem się do stolika, przy którym siedziała. Była to Adriana, jedna z najgłośniejszych włoskich pisarek. Siedziała ze swoim przyjacielem. Przywitaliśmy się serdecznie. Zaraz opłynął mnie wartki strumień paradoksów, zabawnych powiedzeń, pełnych złośliwości opowieści. Adriana opowiadała o wszystkich sławniejszych ludziach Rzymu. Złośliwy języczek nie ominął nikogo. Jej przyjaciel patrzył z wyrozumiałym uśmiechem na ożywioną towarzyszkę, lecz zdawał się pełen niepokoju. Ta ładna i inteligentna kobieta bardzo mało uwagi zwracała na jego uśmiech i jakby pytające spojrzenie. Jak wynikało z późniejszej rozmowy, był to młody krytyk o dość sławnym nazwisku, teoretyk młodych prozaików włoskich. Włączył się do rozmowy i opowiedział o upadku kultury, który nastąpił za sprawą współczesnej

cywilizacji. Muszę przyznać, że więcej w tym było zapachu niż dowcipu lub rzetelnych wiadomości. Tak rozmawialiśmy do godziny wół do trzeciej. Potem pożegnałem moją przyjaciółkę i wyszedłem. Towarzyszył mi dyskretny ukłón starszego kelnera.

Wolno jechałem ulicami. Noc, tuż przed świtem, nadaje ulicom najwięcej uroku. Czułem się trochę śpiący po wypitym winie, ale z ciekawością patrzyłem na mijane domy. Specjalnie wybrałem okrężną drogę, żeby żołądek miał czas strawić niedawno zjedzone potrawy. Uświadomiłem sobie, że chcę połączyć proces trawienia z wrażeniami estetycznymi, i uśmiechnąłem się. Silnik pracował cicho. Z radia rozbrzmiewał jazz. Jakaś pieśniarka lekko zachrypniętym głosem śpiewała piosenkę o wędrowce po uśpionym mieście. Znowu się uśmiechnąłem; tym razem z aktualności piosenki. Wjechałem na ulicę, przy której mieszkałem...

Jakiś człowiek stoi na rogu i patrzy za moim autem. Oglądam się; facet odchodzi kilka kroków i znów patrzy. Zatrzymuję auto. Facet wycofuje się za róg. Jadę dalej. Reflektory wyławiają wśród drzew faceta, który robi siusiu. To nic szczególnego. Facet stoi przed domem, gdzie mam przyjemność mieszkać. Uzupełnia garderobę i nie zwracając uwagi na zatrzymujące się auto, odchodzi. To nic szczególnego. Chociaż... Zupełnie nie zwrócił uwagi na

przejeżdżające auto. Chyba dlatego, że robił siusiu. Chciał pokazać, że wszędzie czuje się swobodny. Nawet w świetle reflektorów. Mężczyzna odchodzi lekko kołyszącym się krokiem. Nie wysiadam z auta. Z sekundy na sekundę trzeźwieję. Wprawdzie taki krok ma tysiące ludzi, ale przeważnie chodzą tak podmiejscy cwaniacy. Spoglądam w okno mego mieszkania. Ciemno. Uśmiecham się do siebie. Przez ułamek sekundy myślę o tym, że w krótkim odstępie czasu uśmiecham się do siebie po raz trzeci, ale myśl ta szybko niknie. Mieszkam niedaleko rogu, więc powinienem... Nie. Zrobię coś innego. Włączam silnik i jadę prosto przed siebie. Wyjeżdżam na mały placyk, okrążam dużą willę, przejeżdżam obok nowoczesnego kościoła podobnego do muszli ostrygi, mówiąc krócej, robię koło, by wjechać na powrót w ulicę, przy której mieszkam. Nie ma tu o tej porze pojazdów, jadę więc ze zgaszonymi światłami. Przed skruceniem w ulicę widzę stojących na rogu dwóch facetów. Zapalają papierosy. Czuję lekki dreszczyk podniecenia na plecach. Powoli jadę ulicą, staję na poprzednim miejscu, rozglądam się i nic podejrzanego nie widzę. Wyłączam, silnik i radio. Cisza dzwoniąca w uszach. Wtem jakiś dźwięk, z początku bardzo cichy zaczyna narastać, rośnie i po chwili mogę już powiedzieć skąd ten dźwięk pochodzi. Auto.

Patrzę na koniec ulicy, oświetlony stojącą lampą. Wjeżdża auto. Zatrzymuje się pod latarnią. To fiat 1100. Samochód, jakby zdziwiony własną nieostrożnością, wycofał się za róg. Ruch mojej ręki jest równie celowy jak manewry fiata. Wyjmuję z kieszeni rewolwer i odbezpieczam. Kładę go obok siebie na foteliku. Po chwili namysłu wkładam rewolwer do kieszeni, oglądam się do tyłu, widzę w końcu ulicy maleńki ogieniek papierosa. Mruczę „idiota”, jest to skierowane do faceta, który wystawia papierosa na widok publiczny. Potem śmieję się głośno. Może to tylko jest przypadek - myślę - ale zaraz nasuwa mi się druga myśl, że to jest niemożliwe. Oszołomienie i lenistwo, wywołane winem, wyparowało ze mnie już dawno, czuję się wypoczęty. Jest to szczególnego rodzaju uczucie. Zdaje mi się, że po moim ciele krąży słaby prąd elektryczny. Opieram się o poręcz siedzenia, czuję, jak bije moje serce: miarowo i silnie. Postanawiam poczekać przez chwilę w aucie. Na wszelki wypadek podnoszę siedzenie sąsiedniego fotelika i spod niego wyjmuję pistolet maszynowy. Potem delikatnie opuszczam poduszkę i kładę na niej potężną zabawkę. Nagle słyszę piosenkę śpiewaną tuż za rogiem:

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że chudnę i więdnę jak kwiat.

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że przestał istnieć dla mnie świat.

Nucę po cichu tę melodię i jednocześnie przesuwam się na drugi fotelik, podnosząc z czułością pistolet maszynowy. Odbezpieczam pistolet i opieram go lufą o kierownicę. Kolba spoczywa na foteliku. Zaczynam analizować sytuację. Chcą mnie prawdopodobnie wykończyć. Głupcy... mogli to zrobić na ulicy i prawdopodobnie by im się udało. Wzbiera we mnie oburzenie na nieudolność facetów. Tak, jakby tu nie chodziło o moją skórę. Wystarczyło przecież podbiec do auta, krótkie serie i byłby koniec. No cóż, widocznie lubią spokój i brak hałasu. Jeśli znajdują się w moim mieszkaniu, to i tak będę uprzedzony przez aparat rejestrujący, którego lampka znajduje się w garażu. Schylam się i zapalam papierosa. Podnoszę się, osłaniam papieros dłońią i jeszcze raz spoglądam w okna mego mieszkania. Okna są ciemne. Dla pewności jednak włączam silnik i podjeżdżam kilkanaście metrów, kierując wozem z bocznego siedzenia. Honorowe miejsce za kierownicą nadal zatrzymuje pistolet. Nie na długo. Biorę go na kolana, podnoszę siedzenie fotelika i spod niego wyjmuję stalową koszulkę. Zrzucam marynarkę, siedzenie fotelika opadło ze stłumionym przez gumowe podkładki hukiem, gaszę papierosa, który mi przeszkadza i

wkładam panczerzyk. Poszło to dosyć szybko. Teraz marynarka. O... Tak. Przy wkładaniu stalowej koszulki nasuwa mi się zawsze jedna i ta sama myśl: „Czuję się jak zółw”. Jest to już rytualna myśl. Silnik pracuje cicho. Po prawej stronie ogród, dookoła którego biegnie zwykle siatka. Teraz siatki nie ma, widocznie będą zakładać nową. Tak - przypominam sobie - tamta była dosyć obskurna. W głębi ogrodu bieleje willa. Właściwie to nie jest ogród, a trawnik przystrzyżony na modłę angielską. Teraz trzeba powziąć decyzję, czy iść na górę do mieszkania, czy też zainstalować się bliżej fiata 1100. Postanawiam iść na górę. Cofam wóz. Gdy jestem przed domem, w którym mieszkam, zza rogu wyjeżdża fiat 1100. „Idioci - myślę - zaniepokoiłi się moim zachowaniem i zaczynają improwizować”.

Myśl jest szybka jak błyskawica, zwiastująca piorun. Tym piorunem jest działanie.

Zmieniam wsteczny bieg na pierwszy, przerzucam się na siedzenie przed kierownicą, wjeżdżam na chodnik między dwoma drzewami i wpadam na elegancko przystrzyżony trawnik. Szybko oglądam się do tyłu. Tam biegnie dwóch facetów. Przerzucam pistolet maszynowy na lewą stronę, opieram na do połowy odkręconej szybie. Mój odskok zmylił fiata, jedzie trochę wolniej, jest oddalony ode mnie około czterdziestu metrów.

Widzę, jak fiacik chce skręcić na chodnik, przeszkadzają niestety temu drzewa, które rosną w tamtym miejscu bardzo gęsto. Fiat rusza znowu ulicą, zdaję sobie sprawę, że od momentu zobaczenia przeze mnie jadącego fiata upłynęło zaledwie kilkanaście sekund.

Fiat z piskiem hamulców zatrzymuje się nagle. Miejsce, w którym stało moje auto, było oddalone od ulicy około trzydziestu metrów. Wykręciłem wozem tak, że maska skierowana była do ulicy. Miałem teraz fiata trzydzieści metrów przed sobą w linii skośnej. Gdy tylko pisnęły hamulce, z wozu wyprysnęło dwóch facetów z pistoletami. Wskoczyłem z auta. Przyklęknąłem za maską. Silnik pracował. Może mi się auto spalić - pomyślałem i to była teraz ostatnia myśl. Zaterkotał mój pistolet maszynowy. Faceci byli oddaleni ode mnie o jakieś dwadzieścia metrów i na szczęście przebiegli linię tak, że nie mieli osłony. Położyli się jak ścięte kwiatki. Przestałem strzelać. Pistolety leżących facetów milczały. Nagle jeden z nich odezwał się niskim tonem. Światło latarni ulicznej padało na trawnik. Widziałem strzelającego. Drugi leżał twarzą do ziemi. Odpowiedziałem serią. Facet przestał strzelać. Odczekałem kilkanaście sekund.

Ich auto stało na ulicy w bardzo szczęśliwym dla mnie

położeniu. Drzewa, rosnące przy brzegu chodnika, nie zasłaniały go. Nie zauważyłem w aucie żadnej sylwetki. Popatrzyłem w lewo. Nadbiegło dwóch facetów ze spluwami w dłoniach. Byli oddaleni ode mnie około trzydziestu metrów. Posłałem im serię. Położyli się i zaczęli strzelać. Nic mi jednak nie mogli zrobić. Nie mogli nawet podnieść głowy. Mój pistolet czuwał. Patrząc w ich kierunku, zauważyłem, że brama domu, w którym mieszkam, otwiera się raptownie i wyskakuje z niej także dwóch facetów ze spluwami w dłoniach.

- Świnie - powiedziałem półgłosem.

Wyszarpnąłem z kieszeni rewolwer. Strzał. Poczciwy, silny bębenkowiec i tym razem nie zawiódł. Jeden z facetów upadł do tyłu. Drugi położył się plackiem na chodniku. „Idiota” - pomyślałem i strzeliłem po raz drugi. Jak można kłaść się na podwyższeniu! Spudłowałem. Facet wyskoczył w powietrze, jakby chciał fiknąć koziołka; to było jednak celowe. Dzięki temu skokowi znalazł się w fiacie. Drzwi auta wyskakujący faceci zostawili otwarte. Zawarczał silnik. Chciałem właśnie puścić serię do tego miłego szofera, gdy odezwały się pistolety dwóch leżących, którzy wprawdzie nie mogli dobrze celować, ale strzelali. Nie ich wina. Mieli tylko pistolety, a ja miałem broń maszynową. Puściłem do tych dwóch serię. Wtedy ruszyło auto. Podniosłem

pistolet maszynowy. Z niechęcią go opuściłem. Fiata zasłoniły drzewa.

Tamci dwaj znów się odezwali. Moja seria. Cisza. Dwa strzały. Marnują naboje - pomyślałem.

Faceci podnieśli się, przebiegli dwa metry i z powrotem upadli. Czekałem na jeszcze jeden taki eksperyment. Przypłatała mi się słyszana niedawno melodia. Wpatrując się w miejsce, skąd prawdopodobnie wyskoczą, nuciłem:

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że chudną i wędną jak kwiat.
Tęsknię za tobą tak bardzo,
że przestał dla mnie istnieć świat.

Zabłyśło światło w oknach wzdłuż całej ulicy. Strzały musiały zbudzić wszystkich. Ostatecznie Rzym to nie Meksyk z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

- Zaraz tu będzie policja - pomyślałem i jakby na potwierdzenie moich myśli zabrzmiała stłumiona przez odgłos syrena policyjna.

Widocznie faceci musieli ją także usłyszeć. Poderwali się. Wtedy puściłem serię. Jeden się położył. Drugi biegł dalej. Pociśnąłem spust. Nic. Facet biegł jak zakochany na randkę.

- Cholera - zakląłem i odrzuciłem nieprzydatny już pistolet automatyczny.

Chwyciłem rewolwer. Za późno. Facet znikł pomiędzy

drzewami. Syrena policyjna odezwała się bardzo blisko. Facet, który dotychczas leżał na chodniku, powstał, chwytając nie przeszedł parę kroków i na powrót osunął się na ziemię. Olbrzymia ciemna plama widniała na jego jasnym, letnim ubraniu.

Noc przeszła już właściwie w dzień. Niebo było ołowiane, zdawało się metalową kopułą wiszącą nad horyzontem.

- Ręce do góry - usłyszałem za sobą męski głos.

Odwrociłem głowę, skierowując nieznacznie rewolwer w stronę mówiącego.

Za mną stał stary człowiek uczesany na jeża, w narzuconej na pizamę letniej kurtce. W rękę trzymał rewolwer.

- Niech się pan nie wygłupia. Proszę schować tę zabawkę. Broniełem się przed bandytami. Zaraz tu będzie policja - mówiłem krótkimi zdaniami, patrząc wciąż na rękę trzymającego broń. - Podziwiam pana odwagę - dodałem zupełnie szczerze. - Ale proszę iść do domu. Może jeszcze któryś z nich strzelić.

- Ale dlaczego to się ma odbywać w moim ogrodzie? - zapytał gniewnie.

Roześmiałem się. Już od dawna miałem się roześmiać. Śmieszyła mnie ta dziwaczna fryzura, odwaga starszego pana. Jego niedorzeczna uwaga wyzwoliła śmiech.

Dalszą rozmowę przerwała nam syrena policyjna. Radiowóz wjechał na ulicę i zahamował przed leżącym na jezdni mężczyzną. Wskoczyło z niego czterech blacharzy i skierowali swe spluwy we wszystkich kierunkach. Jeden z nich, krzyząc: „Ręce do góry”, szedł w moją stronę. Podniosłem się i stanąłem, opierając lewą rękę na masce. Potem pomyślałem, że nie ma sensu, aby silnik pracował, lecz nie wszedłem do wnętrza auta i nie wyłączyłem go. Mówiąc prawdę, nie musiałem wchodzić do wnętrza wozu; wystarczyło wyciągnąć tylko rękę. Policjant szedł, trzymając spluwę, jakby to było rozpalone do czerwoności żelazo, rękę miał wyciągniętą daleko od tułowia.

- Widzi pan, że oddaję się dobrowolnie w ręce policji - zwróciłem się do człowieka w piżamie.

Ten zmarszczył czoło, przez co siwe włosy ostrzyżone na jeża podniosły mu się o kilka centymetrów w górę.

- Ręce do góry - powtórnie zawołał policjant.

Wraz z człowiekiem w piżamie podnieśliśmy ręce do góry.

- Wyrzuć pistolet - krzyknął policjant.

Rewolwer starszego pana upadł na ziemię.

- Kim pan jest? - zwrócił się do mnie, wymachując mi przed oczami spluwą.

- Wsadź pan rękę do mojej kieszeni. Znajdziesz pan tam

bilety wizytowe - poinformowałem go uprzejmie.

- Bez głupich kawałów - ryknął.

Leniwie opuściłem trzymane dotąd ręce nad głową, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem pudełko papierosów. Zauważyłem, że pozostali policjanci pochylali się nad leżącym. Spokojnie wyjąłem z paczki papierosa i zapaliłem.

- Nazywam się Umberto Pesco - powiedziałem, puszczając z ust dym.

- Co pan tu robi? - warknął policjant.

- Jak pan widzi, opalam się.

- Co to jest! - wrzasnął.

- Napad. Niestety nieudany - odpowiedziałem zalotnie.

- Co tu się dzieje? - przez nos zapytał kapral, który pojawił się za wrzeszczącym policjantem.

- Kłócimy się. To znaczy usiłuje się kłócić pański podwładny.

- Brał pan udział w strzelaninie?

- Jak pan widzi - wskazałem mu leżący obok auta pistolet maszynowy. Mój pocziwy bębenkowiec spoczywał już od pewnego czasu w kieszeni.

- Co pan ma na sobie?

- Koszulkę stalową.

Kapral gwizdnął przez zęby.

- Ładny ptaszek - powiedział w udanym zamyśleniu.

- Kim są ci...? - wskazał palcem za siebie. Gest ten miał oznaczać leżących.

- Bandydzi, którzy mnie napadli.

- A kim ty jesteś? - spytał wyszczerzając zęby

- Nie takim osłem jak ty. I mów do mnie przez pan.

- Ja cię nauczę!

- Spokojnie, synu, jeżeli nie chcesz stracić swego stanowiska w policji. Sądzę, że musiałbyś zamiatać ulice.

- Dać mu w mordę? - spytał policjant kaprała.

- Zostaw - warknął mu kaprał, zły, że musi wysłuchiwać obelg przy podwładnym.

- Chyba pójdziemy na policję - zwróciłem się do kaprała.

Ten nie odezwał się, lecz przypatrywał mi się uważnie. Prawdopodobnie chciał wywnioskować, kim ja jestem.

- To prywatny detektyw - odezwał się do kaprała policjant - nazywa się Pesco.

- A, to on...

- Damy mu wycisk? - spytał policjant, patrząc kapralowi w oczy.

- Wracaj do auta. Zaraz tu będą inni.

Policjant odszedł. Gdy schodził z chodnika w ulicę, z obydwu stron wjechały auta. Radiowóz i karetka.

- Pan pozwoli, że obejrzę moje auto. Chcę zobaczyć, czy nie ma większych obrażeń.

Obszedłem dookoła lancię. Miała dwie dziury w bagażniku.

- Mogło być gorzej - mruknąłem.

- Czy ja mogę iść do domu? - spytał kaprala człowiek uczesany na jeża.

- A co pan tu robił?

- Mieszkam w tej willi - facet wskazał ręką za siebie. - Usłyszałem strzały na terenie mojej posiadłości, więc mnie to zainteresowało. Wyszedłem, ale to już był koniec. Nikt nie strzelał i przyjechała policja - w głosie starszego pana brzmiał wyraźny żal.

- To prawda - powiedziałem głośno, patrząc z uśmiechem na wojowniczego gościa.

Ten, widząc mój uśmiech, zmarszczył czoło. Jeź nastrozył się.

- Salvatore! - krzyknął kapral.

Zobaczyłem biegnącego policjanta.

- Idź z tym panem do jego domu i zrób protokół. My jedziemy - zwrócił się do towarzyszącego mu policjanta. - Rewolwer zatrzymujemy - te słowa skierowane były do człowieka w piżamie. Facet zmarszczył czoło, ale policjant ujął go pod ramię i pociągnął w kierunku willi.

- Idziemy - powiedział do mnie kapral.

- Jedziemy - poprawiłem go.

Podniosłem z ziemi pistolet maszynowy i wrzuciłem go do auta. Usiadłem za kierownicą i wskazałem kapralowi

miejsce obok siebie. Usiadł. Auto ruszyło. Zatrzymałem się na ulicy obok karetki, do której przenoszono rannych.

- Czy są zabici? - zapytałem mężczyznę w popielatym ubraniu.

- Nie, tylko ranni.

- Co im jest?

Mężczyzna popatrzył na mnie uważniej, a potem obojętnym głosem odpowiedział:

- U jednego strzaskanie obojczyka. Drugi ma serię w udach. Trzeci uszkodzoną szczękę, a czwarty paskudnie uszkodzoną prawą rękę. Duża jatka.

Zwróciłem się teraz do kaprała:

- Pójdziemy zobaczyć moje mieszkanie.

- Gdzie to jest?

Wskazałem dom. Wyszliśmy z auta. Kapral przywołał jednego z policjantów i poszliśmy na górę. W mieszkaniu nic nie wskazywało, że byli tu jacyś ludzie. Obejrzałem zamek u drzwi wejściowych. Były ślady majstrowania przy nim jakimś narzędziem. Podczas tych oględzin kapral łąził za mną jak Anioł Stróż.

- To by było wszystko - odezwałem się po ukończeniu oglądania zamka - możemy jechać.

- Idziemy - mruknął kapral.

- Dobrze. Tylko jeszcze zatelefonuję.

Nakręciłem numer Franca.

- Kto, do diabła - odezwał się w słuchawce jego zaspaspany głos.
- Umberto. Miałem pewną przygodę.
- Słucham - głos Gardena stał się czysty. Streściłem mu wydarzenia ostatniej godziny.
- Przyjeżdżajcie do wydziału. Zaraz tam będę.
- No cóż, panowie. Pojedziemy do Głównej Komendy.
- Po co? - wyrwało się z ust kaprała.
- Tam na nas czekają.

Zamknąłem mieszkanie i wraz z policjantem zjechaliśmy windą do garażu. Lampa sygnalizacyjna świeciła się. Wyłączyłem urządzenie alarmujące. Gdy wyszliśmy z powrotem na ulicę, karetki już nie było. Kaprał wraz z jednym policjantem wsiedli do lancii. Zająłem miejsce za kierownicą. Ruszyliśmy. Za moim autem jechał radiowóz.

Nie czekaliśmy długo na Franca. Wkrótce po naszym przyjeździe przed gmachem Głównej Komendy zahamował jego odkryty chevrolet.

- Dziękuję wam - zwrócił się do policjantów. - Po skończeniu służby zgłosicie się do mnie. Oto moja legitymacja. Złóżycie zeznania.

Kaprał spojrzął na legitymację, zasalutował i skinął na swoich podwładnych.

- Będziemy o godzinie ósmej - powiedział kaprał, wsiadając do radiowozu.

- W porządku - odpowiedział Garden.

Staliśmy przed wejściem do Centrali i patrzyliśmy na odjeżdżający radiowóz. Niebo straciło już poprzednią ciężkość. Było teraz niebieskie i lekkie.

Klepięcie wyrwało mnie z zamyślenia. Podążyłem za przyjacielem w głąb budynku.

Usiedliśmy w gabinecie Franca. Dwie szklaneczki wódki zostały przez nas połknięte w całkowitym milczeniu.

- Opowiedz o wszystkim dokładnie - poprosił Garden.

- Opowiem ci - tu zrobiłem małą dramaturgię - o moich przejściach z gangiem, który ma na sumieniu zabójstwo XY - tu wymieniłem nazwisko Eleganckiego, otrucie hotelarki oraz osiem napadów połączonych z morderstwami.

Porucznik gwizdnął cichutko.

XII

O ośmiu napadach wiedziałem już od dawna - rozpocząłem swoje opowiadanie. - Wiedziałem o nich, lecz wolałem się z nikim nie dzielić swoją wiedzą. Elegancki bardzo dyskretnie i ze znajomością rzeczy kierował tym gangiem. Elegancki znał cały światek przestępczy bardzo dobrze. Wszelkie dowody działalności gangu zostawiłem u adwokata. W razie mojej śmierci adwokat miał je przekazać tobie. Tym sposobem zapewniłem sobie informacje z najlepszego źródła. Szantażowałem Eleganckiego. Wiedział, że w wypadku mojej śmierci policja położy na nim rączkę.

W dniu śmierci Carla Barenzo Elegancki udzielił mi odpowiedzi na kilka pytań...

- Nic o tym nie wiedziałem - przerwał mi Franco.

Wzruszyłem ramionami. Garden zauważył mój ruch i uśmiechnął się.

- Kilka godzin później - ciągnąłem - facet zostaje zamordowany. Przypuszczałem, iż ma to jakiś związek z odwiedzinami w moim mieszkaniu, ale nie byłem zupełnie pewny.

Następnego dnia widzę w barze jakiegoś faceta. Twarz dziwnie znajoma. I czuję to „coś”. Chcę z facetem nawiązać znajomość. Niestety chłopczyk się wymyka i wsiada do fiata 1100. Zapisuję numer.

W nocy, kilka minut po telefonie do ciebie, wybieram się do hotelu Santa Caterina. Przy końcu uliczki widzę zaparkowanego fiata. Ukrywam się za oszalowaniem z desek. Ulicą idzie jakiś mężczyzna i śpiewa piosenkę. Okno biura hotelowego otwiera się, staje w nim jakiś facet i ochrzanią śpiewaka. Okno się zamyka. Śpiewak wchodzi do fiata i czeka. Potem z hotelu wychodzi mężczyzna, który stał w oknie. Poznaje go, to facet z baru. Widok śpiewaka przypomina mi, skąd znam twarz człowieka z baru. Obydwaj są na fotografii, zrobionej w pewnej restauracji. Na tym zdjęciu jest sfotografowany cały gang. Fiat 1100 odjeżdża. Wchodzę na górę. Hotelarka jest martwa.

- To oni zabili twójgo klienta - wykrzyknął Garden z uśmiechniętą twarzą.

- Nie. To nie oni - odpowiedziałem chłodno.
- Skąd wiesz?
- Carla Barenzo zabił ktoś inny - odparłem.
- Sądzisz, że gang jest rozbity?

- Tego nie powiedziałem - zastrzegłem się. - Posłuchaj, opowiem ci jeszcze raz przebieg całej walki.

- Masz kwalifikacje na kata - odezwał się Garden, gdy skończyłem opowiadać o walce.

- To lepsze, niż być trupem.

- Mówiłem ci przecież, że przyniosę na twój pogrzeb piękny wieniec.

- Dziękuję. Zamiast jechać do kwiaciarni, jedźmy lepiej do szpitala. Pogadamy z tymi chłopaczkami.

Pół godziny potem byliśmy już w szpitalu, do którego przewożono ofiary ulicznych awantur i bójek. Był to szpital, gdzie oprócz lekarzy i pielęgniarzy zatrudnieni także byli policjanci. Ich zadaniem było pilnowanie „znacniejszych” pacjentów, by nie uciekli lub żeby ich nie wykradzono. Członków gangu umieszczono w izolatkach. Weszliśmy do jednej z nich, gdzie leżał facet ze zranionymi udami.

- Może rozmawiać - zapewnił nas lekarz.

Garden dał znak pilnującemu tajniakowi, aby wyszedł. Po chwili siedzieliśmy na biało lakierowanych stołkach, ustawionych po obu stronach łóżka.

- Jak się nazywasz? - zapytał Franco.

- Bartolomeo Carsoni - odpowiedział ranny. Carsoni był silnie zbudowanym mężczyzną lat około trzydziestu. Pod

kocem rysowało się jego duże ciało.

- Dlaczego zorganizowaliście ten napad?

Nie odpowiedział.

- Nie masz się po co upierać. To tylko podwyższy wymiar kary. - Garden mówił głosem przyjemnym, lecz w zestawieniu z urzędowym słownictwem sprawiało to dosyć niepokojące wrażenie.

- Był niebezpieczny - odpowiedział Carsoni i wskazał brodą na mnie.

- W jaki sposób był zaplanowany napad?

- Pojechaliśmy w szóstkę - rozpoczął cichym głosem - dwóch weszło do mieszkania, dwóch zostało na ulicy i nas dwóch w samochodzie. Od początku mówiłem, że to był francowacie głupi plan! - podniósł raptem głos.

Po chwilowej przerwie zaczął mówić znowu cicho.

- Nie posłuchali mnie. Myśleli, że on... że pan ma dowody w domu. Powiedzieli - przyjdzie do domu, to my mu wtedy spluwy pod nos i odda wszystkie rzeczy - tak jakby ktoś trzymał takie rzeczy w domu.

- Jakie rzeczy? - niewinnie zapytał porucznik.

Carsoni popatrzył na mnie pytająco, a potem bąknął:

- A... Takie...

- Mów ściślej. Jakie rzeczy?
- Pan Pesco wiedział o kilku naszych skokach. Podobno miał dowody. Chłopaki chcieli je odebrać.
- Kto z was zabił XY? - tu wymieniałem nazwisko Eleganckiego.

Carsoni zacisnął szczęki. Muskuły jego policzków były napięte.

- Odpowiedz - odezwałem się chłodno.

Za oknem słychać było warkot motocykla. Spojrzałem na Gardena. Policzki zabarwił mu rumieniec. Odsunąłem rękaw marynarki i spojrzałem na zegarek. Była godzina szósta minut czterdzieści dwie. Przy tej okazji zauważyłem, że dotychczas mam jeszcze pobrudzone ubranie. Rękawy miały zielony nalot z opierania się na trawie, a spodnie pobrudzone były ziemią.

- Mario Andelo.
- Czy został ranny?
- Nie. Uciekł autem. Francowata świnia.
- Jak on wygląda?

Z niezdarnego opisu wywnioskowałem, że ranny mówi o człowieku z baru.

- Więc on także otruł hotelarkę? - zauważyłem.
- Skąd pan wie?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Sądzę, że równie tajemniczo potrafił się uśmiechać tylko Sfinks.

- Jedna sprawa jest przynajmniej uregulowana. Wiemy, kto zabił. Teraz powiedz, dlaczego zaatakowaliście?

- Nie wiedzieliśmy, dlaczego pan tak długo siedzi w wozie. Pomyśleliśmy, że pan coś pokapował. Sygnał był zaraz po pana przyjeździe. Czekaliśmy, a pan nic. Wtedy pomyśleliśmy, że pan może dać nogę... no i zaczęło się.

- Jaki był sygnał? - rzucił Garden.

Zaśpiewałem:

Tęsknię za tobą tak bardzo,
że chudnę i więdnę jak kwiat.
Tęsknię za tobą tak bardzo,
że przestał istnieć dla mnie świat.

- To jest sygnał - potwierdził Carsoni, a oczy jego były pełne zdumienia.

- Co wiesz o zamordowaniu Carla Barenzo? - spytałem.

- Nic nie wiem.

Kiedy zadawałem to pytanie, oczy rannego zmrużyły się lekko. Dlatego odpowiedź mnie nie zadowoliła.

- Nie kłamiesz?

- Nie. Niech mnie Najświętsza Paniienka pokarze, jeżeli kłamię.

Franco i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

- Pogadamy o tym za chwilę. Powiedz mi teraz, dlaczego Mario Andelo zabił szefa?

- Przez pana - wybuchł niespodziewanie ranny. - Przez pana!

- Uspokój się - matowym głosem powiedział Garden. - Krzyk nic ci nie pomoże.

Ranny dyszał ciężko, mając ramiona wyciągnięte wzdłuż ciała.

- Zapalisz? - ponownie odezwał się Franco.

Carsoni skinął potakująco głową. Franco podał mu papierosa. Spojrzałem na swoje pobrudzone ubranie. Dobrze, że chociaż zdjąłem stalową koszulkę - pomyślałem. Obejrzałem swoje dłonie. Za paznokciami była ziemia. Skrzywiłem się. Garden dojrzał moje skrzywienie i spojrzał na mnie pytająco. Żeby go uspokoić, uśmiechnąłem się. Ranny palił łapczywie. Zaciągał się krótko, lecz silnie.

Poczułem się zmęczony i senny. Pomyślałem o Marii. Chciałem wywołać jej obraz. W tym celu zamknąłem powieki. Nic to nie pomogło. Myślałem o Marii, lecz były to myśli leniwe i senne. Jej obraz nie zjawił się pod powiekami. Ogarnęła mnie nagła złość. Otworzyłem oczy. Ranny palił w skupieniu, patrząc na sufit. Franco patrzył na moje pobrudzone nogawki. Założyłem nogę na nogę. Spojrzenie Gardena powędrowało na ścianę. Ten pokój był ohydny w swojej czystości. Białe ściany, białe lakierowane sprzęty, białe drzwi i w dodatku ten biały facet, zaciągający się

papierosem. Po cholere czekamy, aż on wypali papierosa - pomyślałem. Potem spojrzełem przez okno. Niebo było puste, bez jednej chmurki.

- Wymiecione - powiedziałem głośno, myśląc o niebie.

Garden i Carsoni spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Uśmiechnąłem się. Złość odpłynęła; była zresztą uczuciem wywabiającym zmęczenie i senność.

Ranny zgasił papierosa o poręcz łóżka i wyrzucił niedopałek.

- Ile pan ma lat? - spytał Franco.

- Trzydzieści jeden.

- Dlaczego hotelarka została otruta? - zadałem pytanie.

- Nie odpowiem.

- Podczas rozprawy będę świadkiem - pouczył go Garden. - Mogę powiedzieć, że ty byłeś najgorszym łobuzem. Wtedy podwyższą ci wyrok. Kapujesz?

- Ona wiedziała za dużo.

- Co to znaczy?

- Czy mogę dostać jeszcze jednego papierosa?

Franco podał mu papierosa i popatrzył na mnie znacząco.

- Ona wiedziała za dużo - powtórzył ranny, wypuszczając kłąb dymu. - A to nikomu nie wychodzi na zdrowie.

- Mów jaśniej. O czym wiedziała?
- Że my mogliśmy... że znaliśmy tego faceta, którego wykończyli.

- Carla Barenzo?

- Tak.

- Co was z nim łączyło?

- Płacił. Musiał płacić.

- Aha! Szantażyk - inteligentnie domyślił się Garden.

- Dlaczego go szantażowaliście? - spytałem.

Nie odpowiedział.

- Czy możesz mi odpowiedzieć, kto spowodował katastrofę wozu Marca Estello? Zdarzyło się to ubiegłego roku, w miesiącu...

Przestałem mówić. Twarz rannego z białej stała się zieloną.

- Kto to zrobił? - zapytałem stanowczo.

- „Biały”. On już nie żyje. Wykończyli go w Malowanym Rycerzu.

- Gdzie pracował?

- W garażu, do którego ten facet oddał wóz.

- Kto go wykończył?

- „Białego”?

- Tak.

- Jeden facet z Neapolu. Upili się. Poszło im o dziewczynę. Wtedy ten włożył „Białemu” nóż do brzucha.

- Kto kazał wykończyć Marca Estello?

- Nie wiem.
- Nie rób z siebie idioty - poradziłem życzliwie.
- Carlo Barenzo.
- Czy wiesz dlaczego?
- Podobno przeszkadzał mu w interesach.
- Kiedy wykończyli „Białego”?
- Zaraz... Gdzieś miesiąc po tej robocie z autem.
- Kiedy zaczęliście szantażować pana Barenzo?

Carsoni zaciągnął się mocno papierosem i przechylił głowę na prawo. Powieki miał przymknięte.

Wygląda jak zraniony ptak - pomyślałem.

- To nie my go szantażowaliśmy. Robił to szef. My byliśmy kryci... To znaczy szef. Szef miał taśmę z rozmową tego filmowca... Omawiał wtedy z „Białym”, jak skończyć tego faceta... no... Estello. Szef był przy tym obecny ale się do tego nie mieszał Tak że na taśmie nie ma ani jednego słówka wypowiedzianego przez szefa.

- Gdzie szef spotykał się z Carlem Barenzo?
- W hotelu Santa Caterina.
- Dlaczego właśnie tam?
- Nie lubił rozgłosu, a poza tym to było dobre miejsce.
- Znasz Enrica Ranzoni?
- Tak. On daje proszki od bólu głowy jako kokainę za dwa tysiące lirów każdemu, kto tylko zechce.

- W porządku. Teraz mi powiedz, w jaki sposób doszło do zamachu na Marca Estello?

- Barenzo gadał kiedyś z szefem, w jaki sposób można by zlikwidować konkurenta. Nic wtedy z tego gadania nie wyszło. Coś miesiąc potem szef dowiedział się, że do garażu, w którym pracował „Biały”, został oddany wóz Marca Estello. Trzeba było zrobić jakieś duperele. Nie była to poważna robota, bo wóz był nowy. Szef spiknął się wtedy z Barenzem i przyprowadził ze sobą „Białego”. Potem wszyscy poszli do mieszkania szefa, gdzie została nagrana rozmowa między „Białym” a klientem. To był tylko przypadek, że Estello oddał wóz do garażu. Bogacze zawsze kończą przez swoje zachcianki. Jakby nie oddawał nowego wozu do garażu, to żyłby do dzisiaj, a tak co? Została taśma i szef ciągnął forszę od Carla Barenzo. To było dobrze pomyślane.

- Czy Carlo Barenzo zbuntował się przeciw płaceniu?

- Tak, tuż przed samą śmiercią.

Jakby dla sprawdzenia, jakie wrażenie robią na mnie te słowa, ranny podniósł zamknięte dotychczas powieki. Zauważyłem, że ma przekrwione białka.

- To znaczy, że można tą zbrodnią was obciążyć?

- Można - zgodził się, przymykając na powrót powieki -

ale to nie my zrobiliśmy. Myśleliśmy, żeby to zrobić, ale nie zrobiliśmy. Ktoś nas uprzedził.

- Jakie masz przypuszczenia? - zwrócił się do rannego Garden.

- Żadne. Jak byśmy dostali tego skurwysyna w ręce, to byśmy go nauczyli nie odbierać innym zarobków.

- Nie masz więc żadnych przypuszczeń. Czy tak? - nalegał w dalszym ciągu Garden.

- Nie wiem.

- Czy sumy, jakie dawał Barenzo były duże? - spytałem.

- O tak. Dawał kilkakrotnie po pięć milionów.

- Hotelarka wiedziała za dużo. Tak powiedziałaś. Czy znała ona jakieś wasze meliny?

- Nie. To by było za dużo. Mogła policji opowiedzieć, jak wyglądamy. A każdy z nas był już kiedyś karany. Jakieś głupstwa... Przez te głupstwa policja ma nasze zdjęcia. Nam się to nie uśmiechało. Wtedy Mario ją wykończył.

- My przypuszczamy, że to nie Andelo ją wykończył - niespodziewanie wyskoczył Franco.

- A kto? Duch Święty, czy co? Zawsze był świnią. Uciekać nie zabrawszy kolegów... Tak robi tylko świnia.

- Czy znany wam był portier hotelu? - nie dawał za wygraną porucznik.

- Zналиśmy go z widzenia. Nic go z nami nie łączyło - powiedział po prostu Carsoni.

- Pytaj dalej, Umberto - odezwał się zniechęcony Garden.

- Czy wiesz, że Barenzo w dniu swojej śmierci odwiedził moje biuro?

- Tak.

- Skąd o tym wiesz?

- Szef kazał go śledzić.

- Kto śledził?

- Andelo. Opowiadał, że zatelefonował do pana zaraz po wyjściu tego frajera. I pan powiedział mu coś do słuchu. Czy tak było?

Kiwnąłem potakująco głową.

- Szef go za to opieprzył. Ci dwaj od dawna się nie lubili. Szef mu wtedy powiedział, że tak postępuje ostatni głupiec. Pokłócili się wtedy. Pamiętam, jak szef krzyczał: „On się nie da zastraszyć!”. A Mario mówił swoje... że każdego można trzymać strachem. Dlatego tu leżę.

Carsoni gasił papierosa o poręcz łóżka. Na białą lakierowanej rurce została czarno-popielata kupka popiołu.

- W jaki sposób został zamordowany szef?

- Przez swoją głupotę. Nikt z chłopaków nie wiedział, że pan ma u siebie dowody z naszych skoków. Kiedy pan porozmawiał z nim w dniu śmierci tego frajera, szef zwołał

chłopaków i powiedział, że ma pan te dowody i że go pan szantażuje. Nic wtedy z tego gadania nie wyszło. Kiedy wyszliśmy, Mario powiedział, że najpierw trzeba wykończyć szefa, a później pana. Szef był głupi, że się przyznał do rozmowy z panem. Chłopaki najpierw się nie zgodzili, ale kiedy Mario powiedział im, że pan ma w ręku tylko szefa, a o chłopakach nic nie wie, to wtedy zmiękli. Ja tam się nic nie odzywałem. Mario już dawno chciał wykończyć szefa. „Jak się szefa wykończy, to on nie będzie miał kogo ciągnąć - powiedział Mario. - Zresztą nie wiadomo, czy szef coś nie sypnął”. Tak trajlował, że zbałamucił chłopaków. I poszli w dwóch. Wykończyli go łomem owiniętym w szmaty. Potem zawieźli do miasta i zostawili w Koloseum.

- Co Andelo obiecywał hotelarce?
- Że załatwi się z policjantami z tej dzielnicy. Mógł to zrobić...
- W jaki sposób? - wtrącił się Franco.
- Kontrolował ich. Policjanci też ludzie. Mają brudne sprawy.
- Ro-zu-miem - ponuro wyskandował Garden.
Ranny uśmiechnął się lekko.
- A dlaczego to zrobił? Nie było mu to do niczego potrzebne.
- Mario powiedział, że chciał jej zrobić przyjemność przed śmiercią.

- Czy hotelarka umarła przy nim?
- Nie. Zostawił jej cyjankali w wódce. Ona lubiła pić.
Więc śmierć była pewna.

- To mi wystarczy. Podczas procesu, gdy będę występować jako świadek, postaram się najlepiej o tobie wyrażać. A teraz podaj temu panu adres - wskazałem na Gardena - dzięki któremu znajdzie on Maria i tego drugiego. Nikt nie będzie wiedział, że to ty zrobiłeś. Na procesie oświadczymy, że adres wymienili wszyscy. Na pewno zresztą tak będzie.

- Oni na pewno są... - tu wymienił adres.

Podziękowaliśmy mu skinieniem głowy. Franco zostawił mu paczkę papierosów i zapalniczkę. W drzwiach minęliśmy się z tajniakiem, który szedł objąć na powrót swój posterunek przy rannym.

Na korytarzu szpitalnym zapaliliśmy papierosy i niby ludzie oczekujący na wizytę u chorych krewnych stanęliśmy przed oknem. Ja patrzyłem na czysty i jakby trochę koszarowy dziedziniec, a Franco w małym, skromnym notesiku zapisywał adres podany przez rannego.

- Coś mi zdaje, że awans mam zapewniony - mruknął, chowając notes do kieszeni.

- Czy pójdziesz teraz przesłuchiwać pozostałych?

- Nie. Zadzwonię do wydziału i powiem, że kapral wraz

z policjantami musi przyjść wieczorem. Teraz nie będę mógł przyjąć jego zeznań.

- Jak na pracownika policji to nie jest głupia myśl.

- Ja też tak sądzę. Dlatego nie będę przesłuchiwał pozostałych rannych. Niech sobie odpoczną. Lepiej będzie im się mówić, gdy będą mieli świadomość, iż są całą paczką w miejscu ogrodzonym murami i kratkami.

- Cóż za wspaniały barok! Dziwię się, dlaczego nie zostałeś mówcą - zawołałem z entuzjazmem.

- Czy chcesz, żebym przyniósł na twój grób wieniec? - spytał żywo Franco.

- Mogę się zastanowić nad tą propozycją - odparłem, trąc w zamyśleniu czoło - jest bardzo ponętna.

- Wobec tego zadzwonię po ciężarówkę z policjantami. Pojedziesz z nami?

- Jeżeli chcesz mnie koniecznie widzieć w trumnie, to mogę pojechać.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. Czekał tu na mnie. Ja pobiegłem do telefonu.

Zostałem przy oknie. Nie odczuwałem tej radości co Franco z powodu przychwycenia prawie całego gangu. Sprawa Carla Barenzo wciąż jeszcze pozostawała nierozwiązana. Chociaż...

Przy oknie stałem jeszcze dziesięć minut. Potem zszedłem

z przyjacielem na dół. Stanęliśmy obok auta i czekaliśmy na przybycie ciężarówki z policją.

- Prawdopodobnie nie zdążą nam uciec - mruknął Franco, zapalając nowego papierosa.

- Prawdopodobnie...

- Będzie ładny procesik.

- Będzie...

- Wcale nie jestem taki pewny, czy to nie oni zabili twojego klienta.

- Nie bądź...

- Co ci jest?

- Nic.

- Jatka cię tak zasmuciła?

- Nie. Chociaż żadna jatka nie jest wesoła. Myślę, że jeszcze dziś będziemy znać mordercę producenta filmowego.

- Widzę, że cię pałą w kieszeni te dwa miliony.

- To nie tylko dwa miliony. Tutaj jeszcze jest coś więcej.

- Rozumiem - powiedział serdecznie Garden.

- Nic nie rozumiesz! - odparłem z nagłą złością.

- Jesteś zmęczony?

- Już nie.

- Zapalisz?

- Tak.

- Chcesz dać dowody działalności gangu sądowi, czy mnie?

- Naturalnie, że tobie. Nie bądź dziecinny.
- Zza rogu wyskoczyła ciężarówka z policjantami.
- „Zbliża się czas połowu” - zacytował Franco.
- Auto zatrzymało się trzy metry przed nami. Z ciężarówki wyskoczył Matara.
- No i co. Mamy ptaszków! - wykrzyknął.
- Jemu podziękuj! - porucznik wskazał na mnie.
- Matara uściśnął mi dłoń. I przekornie patrząc mi w oczy dodał:
- Policja przeważnie ma pecha.
- To widocznie jej przeznaczenie - odpowiedziałem.
- Podobno ich pan poharatał?
- Tak.
- Będzie pan miał kłopoty.
- Może.
- Nie będzie miał żadnych kłopotów. Moja w tym głowa
- wtrącił się Franco.
- A... to co innego - sierżant zgiął się w teatralnym ukłonie.
- Ilu jest? - przerwał mu popis gimnastyczny Garden.
- Piętnastu. Mają pistolety maszynowe i gazy.
- Powinno pomóc - uśmiechnął się Franco.
- To jedziemy? - retorycznie spytał Matara.
- Porucznik skinął głową. Matara wrócił do szoferki, a my

zajęliśmy miejsca w naszych autach. Z tylnego siedzenia podniosłem pistolet maszynowy i wrzuciłem go pod siedzenie. Stamtąd też wyjąłem naboje rewolwerowe i uzupełniłem braki w moim bębenkowcu. Ciężarówka już odjechała. Garden jednak czekał na mnie.

- Jedziemy?

Zamiast odpowiedzi zapuściłem motor. Po kilku minutach jechaliśmy tuż za ciężarówką.

Po czterdziestominutowej jeździe stanęliśmy przed nieogrodzonym sadem. Znajdowaliśmy się na krańcach miasta. Tuż przy szosie wbity był słupek wraz z tabliczką, na której można było przeczytać numer stojącego w głębi sadu domu. Policjanci wyskoczyli z ciężarówki. Narada trwała około trzech minut, po czym pięciu ludzi zaczęło biec, okrążając sad od tyłu. Reszta poszła z nami. Kiedy byliśmy oddaleni od domku nie więcej jak dwadzieścia metrów, zaterkotał pistolet maszynowy. Idący obok mnie Matara upadł na ziemię. Na spodniach pokazała mu się plama krwi.

- Trafili mnie w brzuch - wyszeptał.

Wszyscy upadli na ziemię. Z domku strzelano.

Garden przywołał dwóch policjantów.

- Który z was jest silniejszy? - spytał.

- Ja - odpowiedział jeden z krostowatą twarzą.

- Odciągnij go - tu porucznik wskazał na jęczącego Martę - wsadź do mego auta i wieź do szpitala. Masz tu klucz.

- Tak jest - słuźbiście odparł krostowaty i ujął sierżanta pod ramiona.

- Strzelać - rzucił komendę porucznik.

Zaterkotały pistolety.

- Przerwać ogień - krzyknął po chwili. Pistolety zamilkły.

- Biec w stronę domu. Strzelać przez cały czas - wydał następną komendę i poderwał się z ziemi. Wraz z nim zrobili to pozostali.

Ogień z okien urwał się. Z domku wybiegły dwie postacie i znikły za węglem. Stało się to tak szybko, że nikt nie zdążył do nich strzelić. Prawie w tej samej chwili po drugiej stronie domu odezwały się strzały. Trwały kilka minut i nastąpiła cisza. Policjanci podbiegli w tym kierunku, trzymając pistolety w pogotowiu.

Zobaczyliśmy dwóch mężczyzn z podniesionymi rękami. Otaczali ich policjanci. Podeszliśmy bliżej. Tak. To był on. Człowiek z baru. W drugim domyśliłem się faceta, który strzelał z pistoletu, a potem uciekł.

- I co, chłopczyki - Garden przepchnął się przez otaczających policjantów - poczujecie teraz dobrą rączkę.

Spojrzałem na przyjaciela. Był błydy. Wiedziałem, co

oznacza u niego bladość połączona z grymasem warg.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - pytał dalej przyjemnym głosem.

- Halo, Franco, nie rób głupstw - odezwałem się.

Udał, że nie usłyszał.

- Można ich tak trochę pogłaskać? - spytał jakiś policjant Gardena.

- Zobaczymy - odpowiedział mu porucznik. - Zraniliście mi jednego człowieka - ciągnął.

Jakiś policjant nerwowo zachichotał.

- Jak się nazywasz? - zwrócił się Franco do człowieka z baru.

Ten nie odezwał się.

- To Mario Andelo - odezwałem się, modulując głos.

- To przez ciebie to wszystko, ty cholerny, świński szpiclu! - rzekł Andelo, zwracając się do mnie.

Ten człowiek nie krzyczał. Ale w jego ściągniętej grymasem twarzy i w jego głosie była nienawiść.

- Nie mów tak - odezwałem się spokojnie i popatrzyłem mu w oczy.

Wtedy mężczyzna cofnął się. Garden postąpił naprzód. Prawą ręką uderzył bandytę w twarz. Muszę przyznać, że

było to mistrzowskie uderzenie. Na pozór lekkie, było bardzo bolesne. Franco uderzył faceta w okolicę ucha. Mario Andelo zachwiał się i oparł o jakiegoś policjanta. Ten uderzeniem w żebra przywrócił niedawnemu szefowi gangu równowagę. Nie trwała ona długo. Andelo poleciał w przeciwnym kierunku i otrzymał cios w żołądek. Jeden z policjantów uderzył drugiego opryszka.

- Dość! - krzyknąłem ostro. - Tego nie wolno robić.

Garden popatrzył na mnie przeciągle. Grymas znikł z jego twarzy.

- Przestać. Wystarczy - wyrzucił z siebie lekko ochrypłym głosem.

Policjanci zaprzestali zabawy. Ich spojrzenia, skierowane na mnie, nie były bynajmniej przyjazne. Niektórzy z nich dyszeli. Kilku miało na twarzach rumieńce podniecenia.

- Bransoletki na łapki i do auta - zakomenderował Franco swoim normalnym głosem. - Dwóch zostanie dla przeprowadzenia rewizji... albo nie. Ja zostanę z pięcioma i obczekamy dom. Czy ty też z nami zostaniesz, Umberto?

- Nie. Jadę do pracy. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

- Do mieszkania?

- Tak.

Spojrzałem na Maria Andelo, któremu właśnie zakładano

kajdanki. Odszedłem z przekonaniem, że jeśli kiedyś spotkam się z tym człowiekiem na wolności, to nasze spotkanie musi się skończyć śmiercią jednego z nas.

W śródmieściu wstąpiłem do małej restauracyjki, gdzie zjadłem śniadanie, składające się z jajek na bekonie, kilku grzanek i kawy z mlekiem. Było to jedno z nielicznych ustępstw dla kuchni angielskiej.

Papieros po śniadaniu smakował mi wyśmienicie. Zadowolony usiadłem za kierownicą; pojechałem do domu. Musiałem się wykapać i przebrać.

Po kąpieli raz jeszcze sprawdziłem, czy nic nie zostało ukradzione. Wszystko było w porządku. Widocznie bandyci czekali grzecznie na mój powrót, przekonani, iż zaraz po przyjeździe wskażę im schowek, w którym trzymam materiały obciążające.

Ubrałem się w brązowy garnitur i lekkie pantofle z cielęcej skóry. Stojąc przed lustrem, uśmiechnąłem się do swego odbicia. Potem szybko wybiegłem z mieszkania i wsiadłem do windy.

XIII

Zaparkowałem wóz wśród kilkudziesięciu innych aut, stojących przed gmachem mieszczącym redakcję „Tempa”. Potem nie spiesząc się, wszedłem do budynku i po kilku minutach otwierałem drzwi „działu miejskiego”.

- Pan redaktor jest zajęty - oświadczyła mi sekretarka.
- Poczekam - odpowiedziałem jej z filozoficzną pogodą.
- Jak pan chce - bąknęła i zatopiła się w lekturze powieści kryminalnej. Na okładce tej książki był wizerunek kobiety o wybujałym biuście, okrytym jakimś strzępkiem jedwabiu czy też perkalu. Mówiąc krócej, kobieta z okładki ubrana była w kostium bikini i trzymała w prawej dłoni pistolet. Okładka utrzymana była w kolorach żółtym, czerwonym, niebieskim, pomarańczowym i fioletowym. Litery tytułu były czarne.

- Będzie pan musiał długo czekać - oznajmiła mi sekretarka, odrywając się od lektury.

- Mnie to nie przeraża - odwzajemniłem się i łagodny uśmiech zagościł na mej twarzy.

- Wierzę w to. Ale pan redaktor będzie miał za chwilę konferencję.

- Konferencje są nader pożytecznymi czynnościami - zauważyłem potulnie.

- Tak pan sądzi? - spytała ostrym głosem.

- Właśnie tak - odpowiedziałem, a głos mój był przepony słodyczą i melancholią.

- Cieszy mnie to - wyszczebiotała, rozkładając przed sobą książkę.

- Czy mógłbym wiedzieć, co pani czyta? - tym razem ja przerwałem milczenie.

Mrugnęła kilka razy swymi szalenie długimi i czarnymi rzęsami.

- Ach! To wspaniała książka - odparła - tytuł jej: Czarny wampir. Bardzo ciekawa.

- Czy nie występuje tam młoda panna, broniąca swego zwierchnika przed intruzami?

Babka w odpowiedzi prychnęła jak podrażniony kot.

- No cóż - zauważyłem - muszę iść do szefa bez niczyjej pomocy.

To powiedziawszy, wstałem i skierowałem się w kierunku drzwi, oddzielających gabinet redaktora od pomieszczenia sekretarki. Nim dziewczyna zdążyła mi zabiec drogę,

nacisnąłem klamkę. Otworzyły się drzwi i zobaczyłem siedzącego przy biurku dziennikarza. W gabinecie nie było żadnego interesanta.

- Dzień dobry panie Partini - odezwałem się, zamykając drzwi.

- Dzień dobry. Co nowego? - ożywił się reporter.

- Wiele rzeczy... - odpowiedziałem, siadając na wskazanym przez gospodarza fotelu.

- Czego się pan napije?

- Niczego.

- Szkoda. Mam świetny rum.

- Nie lubię.

- Trudno. Słucham pana.

- Przyszedłem, aby usłyszeć od pana kilka wyjaśnień.

- Bardzo chętnie ich udzielę. Ale czy może mi pan najpierw powiedzieć, skąd pan wiedział, że to ja właśnie byłem w hotelu, podając się za funkcjonariusza policji?

- Jeżeli to pana ciekawi, to bardzo proszę. Po pierwsze, opisała mi pana hotelarka. Po drugie, w pańskim reportażu zastanowił mnie jeden fakt. Otóż opisuje pan dokładnie pokój w hotelu. Jest to dość szczegółowy opis. Wiele miejsca poświęca pan meblom, ich wyglądowi i ustawieniu. Tymczasem gdy po raz drugi odwiedziłem hotel, pokój był

uporządkowany, było więc niemożliwością, by przyszedł pan razem z innymi dziennikarzami. A to dlatego, że grupa dziennikarzy odwiedziła ten pokój już po mojej drugiej wizycie. Czyli zastała pokój uporządkowany. Prawda, że jasne.

- Aż za bardzo, mój panie.
- W takim razie bardzo się cieszę. Sądzę, że teraz mi się pan zrewanżuje.
- Postaram się - zapewnił mnie z uśmiechem.
- Czy może mnie pan zapewnić, że w poprzedniej rozmowie nie skłamał pan ani razu?
- To pytanie przypomina mi kwestię z Serca Amicisa.
- Ma pan rację. Bardzo lubię być dydaktyczny. Dlatego poprosiłbym o odpowiedź.
- Jeżeli ją pan chce tak koniecznie znać, to proszę bardzo. Oświadczam, że podczas naszej poprzedniej rozmowy z ust moich nie wyszło kłamstwo.

Ostatnie zdanie Partini wypowiedział z uśmiechem, którego niestety nie odwzajemniłem.

- Co pana skłoniło do porzucenia praktyki adwokackiej? Uśmiech znikł z twarzy reportera.
- Zamiłowanie do dziennikarki.
- Czy nie sądzi pan, że jest to dosyć niezwykle? Miał pan dobre dochody, na które nie mógł pan liczyć w początkach reporterskiej kariery.

- Widocznie miałem powody, aby nie liczyć się z pieniędzmi.

- To zaczyna być interesujące. Czyżby odziedziczył pan spadek po bogatym wuju?

- Nie. Miałem natomiast zamiłowanie do dziennikarki. Zastrzegam, iż powtarzam to panu po raz drugi.

- Czy jest pan żonaty?

- Nie.

- To dziwne. Słyszałem, że zrezygnował pan z adwokatury z powodu ożenku z bogatą kobietą.

- Kto panu tak powiedział?

- To nieważne - odpowiedziałem, uśmiechając się do broszki i myśląc o starym pomocniku adwokata, któremu za tę informację udzieliłem odpowiedniej zapłaty.

- Załóżmy, że nawet tak było - powiedział Partini - to cóż z tego?

- Wiem, jak nazywała się ta pani, którą miał pan poślubić - rzekłem z udaną powagą.

Wesołość moją wywołał but reportera, wybijający na podłodze nerwowy rytm.

- Proszę się nie denerwować - ciągnąłem dalej - chcę panu pomóc.

Wraz z wypowiedzeniem tych słów wesołość uleciała.

Poczułem, że za chwilę moja szansa też może zostać przepaszczone.

- Więc jak się nazywała?

- Zamiast odpowiedzi, zadam panu pytanie. Dlaczego pan skłamał podczas naszej poprzedniej rozmowy?

- Nie chciałem do tego mieszać kobiety.

- Do czego?

- Do tej afery.

Słowo „afery” przeciągnął w znaczący sposób.

- Czy sądził pan, że może być podejrzana?

- Policja jest taka tępa - odpowiedział mi dziennikarskim frazesem.

- Dlaczego małżeństwo pana nie doszło do skutku?

- To jest zbyt osobiste pytanie.

- Czy nie może pan na nie odpowiedzieć?

- Niestety nie.

- Czy ta pani może być dla policji podejrzana?

- Nie rozumiem.

- Czy może być podejrzana o zamordowanie Carla Barenzo?

- Skądże! - grymas niesmaku pojawił się wokół ust reportera. - To jest niedorzeczne, co pan mówi.

- A jak pan sądzi. Czy pan może być podejrzany o tę zbrodnię?

- Wracamy do starych tematów - zauważył z przekąsem.

- Czy prowadził pan jakieś sprawy tej kobiecie?

- Tak.

- Jakiego typu?
 - To była sprawa spadkowa.
- Pomyślałem: „Stary pomocnik Partiniego mówił prawdę”.
- Czy może mi pan coś więcej o niej powiedzieć?
 - Dobrze. Zastrzegam jednak, że nie będzie to opowiadanie szczegółowe. Musi pan pamiętać o takiej rzeczy, jak dyskrecja adwokacka. Nawet byłego adwokata.
 - Dobrze, będę pamiętał. Tylko tym razem proszę nie kłamać.
 - Przeprowadzałem, jak już panu powiedziałem, sprawę spadkową. Umarła ciotka tej pani, zamieszkała w Mediolanie.
 - Może dokładniejszy adres...
 - Mediolan, via dell'Annunciata 6.
 - Dziękuję. Proszę mówić dalej.
 - Majątek, i to dość duży majątek, zapisała właśnie tej pani. Przeprowadziłem sprawę spadkową, to znaczy formalności związane z przejęciem masy spadkowej.
 - Ile lat miała ciotka tej pani w chwili śmierci?
 - Pięćdziesiąt osiem.
 - Co było powodem śmierci?
 - Choroba serca.
 - Czyżby? - wyraziłem zdziwienie. W gruncie rzeczy było to zagranie „w ciemno”.

Szczurza twarz reportera upodobniła się do maski. Było to dość zastanawiające. Faceci niekiedy wpadają nie tylko przez zbyt ruchliwą twarz, wyrażającą wszystkie myśli. Czasami przyczyną „wpadnięcia” jest twarz za bardzo nieruchoma.

- W zasadzie był to nieszczęśliwy wypadek. Chora wzięła więcej nitrogliceryny niż należało. Po prostu skróciła sobie życie o kilka dni.

- Czyżby? - po raz drugi wyraziłem zdziwienie.

- Nie ma pan potrzeby się dziwić, to się dosyć często zdarza.

- Dobrze. Nie będę się dziwił. Proszę mi za to odpowiedzieć, kto był wtedy obecny w domu chorej ciotki?

- Już samym ułożeniem pytania sugeruje mi pan odpowiedź. Tak. Spadkobierczyni mieszkała wówczas w domu swojej ciotki.

- Kiedy umarła ciotka tej pani?

- W styczniu 1956 roku.

- Kiedy pana niedoszła żona otrzymała spadek?

- W lutym 1956 roku.

- A kiedy pan przestał praktykować?

- W marcu 1956 roku.

- Czy ciotka pańskiej byłej klientki była bardzo bogata?

- O, tak.

- Czy może mi pan powiedzieć, ile pieniędzy przypadło w spadku pańskiej klientce?

- Niestety nie. Jestem związany tajemnicą zawodową. W każdym razie to było dosyć dużo.

- Czy policja nie zainteresowała się tą nagłą śmiercią?

- Owszem. Uznali to za rzecz zupełnie normalną. Może się zdarzyć, że osoba stara i chora przyjmie większą dawkę lekarstwa niż należy.

- Czy podtrzymuje pan poprzednie zdanie o policji: „Policja jest taka tępa”?

- Stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji.

- Czy mogę pana prosić, by rozkazał pan sekretarce przyniesienie do gabinetu książki telefonicznej Mediolanu?

- Dobrze.

Wstał zza biurka, otworzył drzwi i nie wychodząc z gabinetu, wydał rozporządzenie sekretarce.

- Zaraz książka będzie - oświadczył, siadając na poprzednim miejscu.

- Może poda mi pan nazwisko lekarza, który leczył ciotkę pańskiej klientki.

- Zaraz... jak on się nazywał?

- Sądzę, że będzie dla pana lepiej, jeżeli rozmowa odbędzie się przy panu.

- On się nazywa... zaraz... ach! już wiem. Lauro Bertolini - reporter udał, że nie usłyszał mojej życzliwej uwagi -

tak, na pewno nazywa się Lauro Bertolini.

Sekretarka z hałasem otworzyła drzwi, położyła książkę telefoniczną na biurku i nie odzywając się, wyszła, kręcąc krągłymi pośladkami.

- Czy mogę stąd zatelefonować?
- Proszę bardzo.

Otworzyłem książkę telefoniczną, znalazłem numer lekarza, nakręciłem numer centrali międzymiastowej i zamówiłem rozmowę z numerem 456325 w Mediolanie.

- Nim dostanę połączenie, zdążę jeszcze z panem porozmawiać. Jakie było zdanie lekarza w sprawie śmierci tej pani?

- Takie samo jak policji.
- Czy nie sądzi pan, że pańska klientka może być morderczynią swej ciotki?
- To jest niemożliwością. Policja przecież...
- Sam pan powiedział - przerwałem mu - że policja jest taka tępa.
- No tak. Ale w tym wypadku nie może być mowy o zbrodni.
- Jest pan pewny?
- Jak najbardziej! - wykrzyknął.
- Bardzo mnie to cieszy, a zarazem uspokaja. Tylko, że pan tak lubi kłamać...
- Chyba potrafi pan zrozumieć motywy mego kłamstwa.

Dlaczego miałem w to mieszać moją klientkę? Jest pan przecież człowiekiem inteligentnym i powinien to pan zrozumieć.

- Jestem człowiekiem inteligentnym, ale motywów pana zachowania nie rozumiem - oświadczyłem z miną pewnego siebie półgłówka.

Partini uspokoił się. Poznałem to po twarzy, która przestała być nieruchoma. Mięśnie policzków nie były już stężałe.

- Czy nie wydaje się panu dziwny fakt, że miesiąc po otrzymaniu spadku przez pańską klientkę, rzuca pan adwokaturę? Przecież to nieostrożność wielkiej miary - dokończyłem z emfazą.

- Mówiłem panu o moim zamiłowaniu do dziennikarki.

- Mówił pan - przyznałem smutno.

- Więc dlaczego...

Dalsze jego słowa przerwał dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę.

- Halo, łączę - powiedziała jakaś kobieta. Chwilę potem męski głos zapytał:

- Kto mówi?

- Umberto Pesco. Jestem detektywem prywatnym. Współpracuję obecnie z policją. Chciałbym się pana zapytać, czy śmierć... - tu zakryłem słuchawkę i rzuciłem w stronę Partiniego: - „jak się nazywała ciotka?” - „Orso” - odpowiedział - ...czy śmierć pani Orso nie wydała się panu podejrzana?

- Policja wydała orzeczenie w tej sprawie.
- Możliwość zbrodni istnieje jednak?
- Ma się rozumieć. Ludzie dbający o swoje zdrowie, a taką była pani Orso, nie nalewają większych dawek lekarstwa. Nitrogliceryny nie pije się litrami. Tu w grę wchodzi krople - zabrzmiał głos.

- Dziękuję, panie doktorze. Potrzebna mi była pańska opinia. Do widzenia.

Położyłem słuchawkę i z udanym zamyśleniem popatrzyłem w okno.

- No i co? - zapytał Partini.
- Nic ciekawego. Powiedział, że zbrodni nie wyklucza.
- Każdy ma swoje zdanie - rzekł sentencjonalnie reporter.

- Czy pan jest bardzo bogaty?
- Jestem zamożny.
- A czy lubi pan zagadki psychologiczne?
- Naturalnie. Dlatego byłem adwokatem i dlatego jestem reporterem.

- Czy reporter tak często spotyka się z zagadkami psychologicznymi?

- Wiem, co pan chce powiedzieć. Że częściej spotykam się ze złamaniami rąk niż z zagadkami. Niech pan mi jednak wierzy, że zagadki też się od czasu do czasu trafiają.

- Wierzę. Może mi pan w takim razie odpowie, czy człowiek zamożny może być szantażystą?
- Naturalnie, że może.
- Ja myślałem tak samo. I myślę - zastrzegłem się szybko.
- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał groźnie.
- Nic takiego, co mogłoby pana zainteresować - odparłem leniwie. - Chociaż... Może mi pan w takim razie powie, gdzie pan był w dniu śmierci pani Orso?
- Obecny byłem przy nakręcaniu pierwszych scen filmu Granice uczuć. Zaprosił mnie Carlo Barenzo. Film nakręcano w Marino.
- To niedaleko Mediolanu - zauważyłem lekko.
- Tak. Wieczorem dowiedzieliśmy się o śmierci pani Orso. Było to dla nas wielkie przeżycie. Odwoziliśmy wtedy moją klientkę do Mediolanu. Pan Carlo Barenzo zaangażował ją do tego filmu. Przyjechaliśmy, a tu służba zawiadamia nas o śmierci.
- Jaka służba?
- Tam była tylko jedna stara kobieta. Pani Orso miała dziwne zwyczaje. Nie chciała dużo służyć.
- Dziękuję. Proszę mówić dalej.
- Staruszka była bardzo przerażona Wróciła z miasta, gdzie była po lekarstwa, i zastała trupa.
- Gdzie w tym czasie była pana klientka?

- Znajdowała się w Marino.
- Czy tego dnia kręcone były sceny o dużej ilości statystów?
 - Nie. Ze względu na brzydką pogodę zdjęcia zostały odwołane. Moja klientka wraz ze mną i panem Carlem Barenzo znajdowała się na terenie wytwórni. Piliśmy i rozmawialiśmy - dodał z uśmiechem.
 - Jak wynika z opowiadania, alibi pańskiej klientki opierało się na zeznaniach pana i Carla Barenzo. Czy tak?
 - Tak.
 - To dosyć sprytne.
 - Co jest dosyć sprytne?
 - Myślałem o czymś innym. Raczy pan wybaczyć. Może mi pan za to powie, jaki charakter miała pani Orso?
 - To była jędza.
 - Tak przypuszczałem. Czy pańska klientka była jej jedyną spadkobierczynią?
 - Tak.
 - Jeżeli założymy, że panowie złożyli fałszywe zeznania, to pańska klientka może się okazać morderczynią swojej ciotki.
 - Wypraszam sobie podobne przypuszczenia - krzyknął, uderzając pięścią w biurko.
 - Pan jest strasznie energiczny. Mam do pana prośbę.

Zejdzie pan teraz ze mną i wsiądzie do mojego auta. Pojedziemy na policję, gdzie zadadzą panu parę pytań.

- Mogę odmówić...

- Tak. Może pan odmówić. Nic jednak panu z tego nie przyjdzie. Jeżeli pojedzie pan ze mną, policja będzie kulturalna. Jeżeli po pana przyjdą, to... I proszę nie zapominać, że mam dowody na to, iż podawał się pan za funkcjonariusza policji.

- Jadę - powiedział krótko i wstał zza biurka. Przecho-
dząc przez pokój sekretarki, rzucił:

- Niedługo wrócę.

Sekretarka skinęła głową.

Kiedy auto ruszyło, odezwałem się:

- Pozwoli pan, że wstąpię do mego mieszkania, skąd wezmę parę rzeczy.

- Mnie to jest obojętne.

- Dziękuję.

Dalszą drogę przebyliśmy w milczeniu. Zatrzymałem wóz przed domem, w którym mieszkałem. Partini wysiadł wraz ze mną. Gdy znaleźliśmy się w moim mieszkaniu, wskazałem mu wygodny fotel. Ja natomiast poszedłem do telefonu i nakręciłem numer Francesca.

- Ktooo? - odezwał się jego głos.

- Umberto. Przyjeżdżaj w tej chwili do mego mieszkania.

- Dobrze.

Położyłem słuchawkę.

- Czy napije się pan czegoś?
- Przecież jedziemy.
- Za chwileczkę - uspokoiłem go. - Musimy tu poczekać na pewnego pana.

Niespodziewanie doskoczyłem do Partiniego, objąłem go lewą ręką. Moja prawa dłoń przesunęła się po jego ubraniu. Reporter nie miał przy sobie broni.

- Przepraszam - powiedziałem, siadając w fotelu naprzeciw tego, w którym siedział Cristoforo Partini - chciałem się przekonać, czy ma pan broń.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Przypuszczam, że pan szantażował swoją klientkę. I jeszcze jedno: że to ona zamordowała swoją ciotkę.

- Jest pan durniem - krzyknął piskliwie - słyszy pan?! Jest pan durniem!

- Cieszy mnie pańska opinia. Mimo wszystko trwam przy swoim przypuszczeniu.

- Nie ma pan żadnych dowodów!

- Nic nie szkodzi. Będę je miał.

Partini nie odzywał się aż do przybycia Francesca.

- Pospieszyleś się - pochwaliłem swego pomocnika.

- Chcę zasłużyć na nagrodę - odpowiedział z galanterią.

- Usiądziesz na moim miejscu i będziesz pilnował tego pana. Możesz mu opowiadać o swoich przygodach, jednak nie wolno ci pozwolić, żeby ten pan wstał z fotela.

- A jeżeli będzie chciał siusiu?

- Niech uzbroi się w cierpliwość - odpowiedziałem z miną świętobliwego mnicha, zalecającego grzesznikowi pokutę.

- Bądź wola Twoja - równie nabożnie odpowiedział Francesco.

- Czy mogę wiedzieć, co to oznacza? - spytał Partini.

- Czyżby pan był taki nieinteligentny? - wyręczył mnie w odpowiedzi Francesco. - Słyszał pan przecież, że posiedzi pan tutaj aż do przybycia mego szefa. A szefem jest ten uroczy chłopiec, udający się w tej chwili na przechadzkę - okrągłym ruchem wskazał na mnie.

- Poskarżę się policji - oświadczył były adwokat.

Francesco wybuchnął śmiechem.

- Przecież nikt panu tego nie zabrania - rzekł, zginając się w ukłonie.

- Świnie!

- Te, chłopczyk. Zamknij mordę, dobrze? Bo mogę ci ją rozkwasić.

Z trudnością opanowałem śmiech. Cwaniacki język Francesca odniósł wielki sukces. Cristoforo Partini popatrzył na mego pomocnika z respektem i nie odezwał się już ani słówkiem.

- Za dwie godziny powinienem być z powrotem. Płynę są na swoim miejscu. Papierosy także.

- Dziękuję, szefie - Francesco skłonił się i zrobił do mnie perskie oko.

- Do zobaczenia, panie Partini.

Reporter nie odpowiedział.

- Grymaśny chłopczyk, co? - pieszczotliwie powiedział mój pomocnik.

- Cóż robić - z rezygnacją wzruszyłem ramionami.

Kiwnąłem im jeszcze raz ręką i wyszedłem z mieszkania. Wsiadając do wozu, pomyślałem: „Gdzie teraz pojechać?” Ostatecznie pojechałem w stronę śródmieścia.

Po półgodzinnej jeździe zatrzymałem się przed domem, w którym mieszkała Maria. Drzwi otworzyła mi ona sama.

- A... to ty - powiedziała z uśmiechem i pocałowała mnie.

Poszedłem z Marią do pokoju, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

- Gdzie jest służąca?

- Wyszła do miasta. Dlaczego cię to interesuje? - spytała zalotnie.

- Mam pewną ważną sprawę - odpowiedziałem oschle.

- Przerażasz mnie, Umberto.

- Nie ma na to rady - odpowiedziałem, rozpoczynając spacer po pokoju. - Niejaki Partini - w tym momencie spojrzałem na Marię i zobaczyłem jej zmrużone oczy - niejaki Partini przyznał mi się, że ty zabiłaś swoją ciotkę, panią Orso. Nic by mnie to nie obchodziło, gdyby nie to, że przyznał się do szantażu. Szantażował ciebie - powiedziałem dobitnie.

- Umberto, wariacie, cóż ty wygadujesz?

- Wiem - mówiłem dalej z wielką pewnością siebie - że Barenzo i Partini złożyli fałszywe zeznania. Czyli miałaś fałszywe alibi. Co najdziwniejsze, Partini twierdzi, że to ty zabiłaś Carla Barenzo.

- Umberto, co ty mówisz? - twarz Marii skrzywiona była jak do płaczu - mogę ci dać dowód, że to kłamstwo.

- Dobrze. Daj dowód.

Maria wyciągnęła szufladę stoliczka i zaczęła gmerać wśród papierów. Nagłym ruchem wyciągnęła rękę. W jej dłoni tkwił mały pistolet.

- Ręce do góry, szpiclu.

Podniosłem ręce do góry.

Dobrze, że nie siedzę na krześle - pomyślałem.

Maria obeszła stolik i stanęła przede mną w odległości trzech metrów... A może trzech i pół.

- Tak. To ja zabiłam. Ale niedługo będziesz się cieszył tą wiadomością.

- Nigdy nic nie wiadomo - odpowiedziałem sentencjonalnie.

- Owszem. Wszystko wiadomo.

- Tak sądzisz?

Skoczyłem w jej kierunku, wysuwając lewą nogę przed siebie. Kiedy mój but zetknął się z pistoletem, strzeliła. Poczulem piekący ból w lewej ręce. Ale to było nieważne. Pistolet leżał na ziemi. Kopnąłem go w kąt pokoju, chwytając równocześnie Marię za sukienkę. Chciała się wyrwać. Przytrzymałem ją mocniej i nagłym ruchem rzuciłem na krzesło. Wsunąłem prawą rękę do kieszeni i wyjąłem rewolwer. Maria siedziała jak zahipnotyzowana. Mięśnie lewej ręki miałem prawdopodobnie uszkodzone. Usiadłem naprzeciw Marii, trzymając wymierzony w nią pistolet.

- Dzisiaj musisz zniknąć z Rzymu. Jesteś za ładna, aby oddawać cię policji. Mam zresztą wobec ciebie pewne zobowiązania. Teraz mi powiedz, jak sprzątnęłaś Carla Barenzo.

- Obaj mieli mnie w łapach. Z jednym spałam, drugiemu dawałam pieniądze. Ostatnio Barenzo w chwilach niezadowolenia powtarzał, że może powiedzieć policji, że wcale z nimi nie byłam. Twierdził, że jest za bogaty, żeby mu coś zrobili za fałszywe zeznanie. - Głos Marii w niczym nie przypominał jej altu sprzed kilku minut; był matowy i przechodzący chwilami w falset.

- Partini namówił mnie, by z nim skończyć. Wiedzia-
łam, że Partiniemu chodzi o pieniądze, ale nie miałam inne-
go wyjścia. Carlo był sadystą, a mną zajmował się dla
dreszczyku, jakiego musi dostarczać życie z facetką, którą
ma się w garści. Umówiłam się z nim do tego hoteliku. Car-
lo chwalił się przede mną swymi chłopcami i melinami.
Powiedziałam mu, że chcę zobaczyć jeden z tych hotelików.
Zgodził się. Poszłam tam z Partinim. Piliśmy. Potem go
wykończyłam. Partini go trzymał. To tyle.

- A co z ciotką?

- Też ją wykończyłam. To była jędra. Nie mogłam dłu-
żej żyć z tych resztek, które mi dawała.

- Rozumiem. Musisz uciec. Obojętnie dokąd. Masz
dwie godziny. Powodzenia, Mario.

Podszedłem do kąta, gdzie leżał malutki pistolet. Widząc
zdziwienie Marii, objaśniłem:

- To na pamiątkę.

Lewa ręka piekła mnie niemiłosiernie. Kiedy się schyli-
łem, krew uderzyła mi do głowy, myślałem że upadnę.

- Powodzenia, Mario - powiedziałem raz jeszcze i wy-
szedłem.

Prowadzenie wozu sprawiało mi wielką trudność. Doje-
chałem jednak szczęśliwie do kamienicy, na której widniała

tabliczka „Lekarz”. Przyjął mnie miły staruszek, pokazujący w uśmiechu garnitur sztucznych zębów.

- To nic poważnego. Zrobię panu opatrunek. Nic nie potrzeba wyjmować ani wkładać - te i tym podobne zdania padały z ust lekarza z szybkością karabinu maszynowego.

Pół godziny później wychodziłem z gabinetu lekarza z przyzwyczajeniem owiniętą ręką.

Kiedy wszedłem do mego mieszkania, Francesco siedział naprzeciw reportera, trzymając w dłoni do połowy napełnioną szklanekę z koniakiem i wpatrując się w byłego adwokata jak w nieznaną okaz zwierzęcia egzotycznego.

- Dochodzę do wniosku, szefie, że to wcale miły gość - zwierzył mi się.

- A ja doszedłem do przeciwnego.

- Zmieniam zdanie - z powagą oświadczył Francesco.

- Pańska klientka oświadczyła mi, że to właśnie pan zabił Carla Barenzo.

- Ta suka kłamie. To dziwka. Sama nie wie, co mówi. Ona to zrobiła.

- W końcu zaczyna pan być rozsądny - odetchnąłem.

- Czy mogę już wyjść?

- Mieliśmy przecież jechać na policję - przypomniałem mu.

Nic na to nie odpowiedział.

- Sprawa z ciotką też została wyświetlona.
- Szeffie, kto panu przestrzelił marynarke? - wtrącił się Francesco.

- Urocza kobieta.

Partini zbladł.

- Zawsze cię przestrzegałem przed kobietami - grobowym głosem przemówił Francesco.

- Ta urocza kobieta twierdzi, że pan trzymał Carla Barenzo w chwili jego śmierci.

- ...?

- Milczenie pana jest dość wymowne. Nie oddam cię policji, chociaż na to zasługujesz, świniou.

- Czego pan ode mnie chce?

- Zaraz się przekonasz. Najpierw mi powiedz, w jaki sposób weszliście do hotelu niezauważeni?

Nie odpowiedział.

- Będiesz mówić? - spytałem łagodnie.

To poskutkowało.

- Kiedy weszliśmy, w portierni nie było nikogo. Zresztą Barenzo mówił nam, że tam prawie nigdy nikt nie siedzi. Jeden portier lata ciągle do swojej dziewczyny, a ten starszek albo śpi, albo siedzi w klozecie.

- Jak on mówi? Czy człowiek wykształcony mówi: „lata do swojej dziewczyny”? Czy człowiek może latać? - Francesco, mówiąc te słowa, z niesmakiem patrzył na reportera. Twarz Francesca była zabawnie wykrzywiona.

- Daj spokój - skarciłem swego pomocnika - żarty będą potem.

Francesco skrzywił się jeszcze bardziej, ale nie odpowiedział.

- Mów dalej - zwróciłem się do Partiniego.

- Weszliśmy tam...

- Czy Barenzo nie zdziwił się, że przyszliście razem? - przerwałem reporterowi.

- Owszem, zdziwił się, ale nie za bardzo. Potem zaczęliśmy pić. Kiedy wychodziliśmy, portiernia w dalszym ciągu była pusta.

- Dlaczego ją namawiałeś do zabójstwa?

- Nie namawiałem jej...

- Mów prawdę - przestrzegłem go.

- Nie chciałem stracić zarobków. A Barenzo to wredny facet.

- Nie wiedziałem, że mam do czynienia z estetą. Dlaczego wybraliście ten dzień? Dlaczego wybraliście poniedziałek? - poprawiłem się.

- On wtedy poszedł do pana. Myślał, że mu grozi niebezpieczeństwo ze strony jakichś „Amerykanów”.

- Cóż za słownik - syknął Francesco, patrząc na Partiniego.

- Mów dalej - rozkazałem reporterowi.

- Wiedzieliśmy, że zacznie pan szukać wśród facetów, którzy przyjechali z Ameryki.

- Dlaczego nie ożeniłeś się z nią?

- Chciałem, ale to nie miało sensu. Ona mnie też za bardzo nie kochała.
- Nie dziwię się. Wolaleś pieniądze, co?
- Tak.
- Ile wyciągnąłeś?
- Sześć milionów.
- Co z nimi zrobiłeś?
- Mam na koncie.
- Gdzie?
- W Wenezueli.
- Chciałeś wiać?
- Kiedyś tak. Ale nie szybko.
- Dlaczego rzuciłeś adwokaturę?
- To wredne zajęcie. Dziennikarka pozwala na zupełnie inny tryb życia.
- Jak sądzisz, czy w pokoju hotelowym zostawiliście odciski palców?
- Na pewno nie. Byliśmy w rękawiczkach.
- Przezorność - zachichotał Francesco - jest nader pożyteczną rzeczą. Hi, hi, hi.
- Przestań. Nie przeszkadzaj.
- Cieszę się, że ciebie szlag nie trafił, a ty mi nie pozwalasz się śmiać.
- Jak sądzisz - zwróciłem się do Partiniego - czy policja byłaby ucieszona, gdybym cię wydał?
- Tak - mruknął bez większego przekonania.
- Ja też tak myślę. Po co poszedłeś do tego pokoju kilka godzin po morderstwie?

- Dla reportażu. A dlatego poszedłem przed innymi dziennikarzami, że mógł mnie ktoś zobaczyć, jak wychodziłem z Marią. Wtedy miałem usprawiedliwienie.

- Przecież to było kilka godzin po morderstwie?

- Mówię o przypadkowych przechodniach. Ci nie sprawdzają godziny. Poza tym chciałem mieć najlepszy reportaż.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Nie wiem.

- Francesco, czy nie uważasz, że temu panu przydałby się porządny wycisk?

- Naturalnie - z zapalem zawołał mój pomocnik - on ma taką fatalną wymowę.

- Nie przesadzaj. Jest bardzo zdolnym reporterem.

- Nie wierzę! Jak zdolny reporter może mówić „lata za swoją dziewczyną”, czy coś podobnego.

- Francesco - odezwałem się poważnie - ten człowiek jest świnią, wielką świnią, dlatego sprawimy mu wycisk.

Pracowaliśmy przez pół godziny. Potem kazałem memu pomocnikowi odwieźć Partiniego do domu.

- Wóz mi pobrudzi - poskarżył się Francesco.

- Nic na to nie poradzę. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, szefie.

Wyszli. Ja natomiast szybko się rozebrałem i wskoczyłem do łóżka. Zasnąłem momentalnie.

Zbudził mnie dzwonek telefonu. Spojrzałem na zegarek. Była godzina dwudziesta minut sześć.

Sięgnąłem po słuchawkę.

- Umberto?

- Tak.

- Miałeś do mnie zadzwonić.

- Przepraszam, Franco. Zasnąłem.

- To nieważne. Sprawa Carla Barenzo rozwiązana.

- Co? - ryknąłem w słuchawkę.

- O godzinie czwartej po południu, dziesięć kilometrów za Rzymem, patrol policyjny zauważył wóz jadący z nadmierną szybkością. Wyciągnęli „lizak”, ale wóz nie stanął. Pojechali za nim. W pewnym momencie auto wpadło na słup betonowy. Okazało się, że wóz prowadziła kobieta. Straciła przytomność. Przewieziono ją do szpitala. Tam się ocknęła. Pomogli jej w tym lekarze. Wtedy zaczęła mówić. Zatelefonowano po mnie. Przyznała się do wszystkiego. Ma babka szczęście. Lekarze nie wróżą jej długiego życia. Pociągnie jeszcze kilka godzin. Przyjedź do mnie, to ci wszystko dokładnie opowiem. Ona coś o tobie wspominała.

- Niestety, nie mogę.

- Dlaczego?

- Kiedyś ci wytłumaczę. Do zobaczenia, Franco.

Położyłem słuchawkę.

Przypomniałem sobie twarz Marii. Twarz, która będzie żyć w mej pamięci przez wiele dni.